

Krzysztof Urban

DOŻYWOTKA



Krzysztof Urban

DOŻYWOTKA

SANKCJA

Wchodziłem po schodach rozdygotany. Za mną szedł gliniarz. Zastanawiałem się, czy nie dałoby się uciec, ale gdzież tam. Okna zakratowane, wąskie schody z poręczami do sufitu, na dole dyżurka pełna mundurowych. Chęć miałem i pewnie zapisałbym duszę diabłu, żeby tylko nie oglądać tych lastrykowych stopni i ścian pomalowanych olejną farbą, ale widać, los chciał mnie doświadczyć. Szansa była, ale czy warto brać się za coś, co nie wypali w stu procentach? Może coś bym wykombinował, ale ten za plecami? W dodatku głowy i kości nie miałem w najlepszej formie po wczorajszej zabawie. Nie dałbym rady przewrócić nawet dzieciaka, to o czym tu myśleć, kiedy kark grzał mi oddech dobrze zbudowanego osiłka.

Po co pakowałem się w to szambo? Szedłem z kolegą ulicą, zapytaliśmy jakiegoś gościa o godzinę i po chwili wywiązała się bójka. Nawet nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Kto zaczął i po co. Później zacząłem uciekać, nagle przewróciłem się, zrobiło się ciemno i znalazłem się na komisariacie.

Koledzy z osiedla opowiadali mi czasem, że znaleźć się w kryminale, gdzie sypia się na piętrowych łózkach, gdzie do

łaźni chodzi się raz w tygodniu, a za potrzebą trzeba stać w kolejce, to nie to samo co wczasy nad morzem. Dla mnie był to świat odległy i nierealny chociaż otarłem się już o niego. Czy los się na mnie uwziął i chciał mnie doświadczyć bardziej niż innych?

Chłopaki przestrzegali mnie, że wcześniej czy później wpadnę. Już raz mnie zatrzymywali, tyle że na czterdzieści osiem godzin. Obeszło się bez sankcji, ale wtedy uważali mnie za dzieciaka, bo nie miałem siedemnastu lat. Z poprzedniej wpadki udało mi się wyjść z wyrokiem w zawieszeniu, tym jednak razem nie zanośiło się, że sąd i prokurator potraktują mnie łaskawie. Napad rabunkowy – zbrodnia! Jaka zbrodnia? – pytałem siebie. Przecież nikogo nie stuknąłem. Na początku nie docierało do mnie co mi grozi. Myślałem, że za pobicie dostanę najwyżej kilka miesięcy do odsiedzenia i koniec. Ale rzeczywistość była o wiele gorsza. Facet, którego pytałem o godzinę zeznał, że zginął mu zegarek i że to ja z moim kolegą dokonaliśmy rabunku. Pobić, a pobić i ukraść, to dwie różne sprawy. W pierwszym przypadku można było dostać wyrok w zawieszeniu, a w drugim, kodeks karny przewidywał za ten czyn minimum trzy lata więzienia.

Śledczy straszył, że mniej jak pięć lat mi nie rąbną. Pewnie myślał, że odwieszą mi wyrok sprzed kilku lat, ale ja wiedziałem, że wtedy byłem małym dzieckiem. To co obowiązywało za nieletniego teraz, jako pełnoletni miałem czyste konto. Żaden sąd nie mógł odwiesić wyroku, który nie należał do mnie. Według prawa byłem już kimś innym. Gliniarz straszył. Nie najlepiej się czułem, ale podkrętki, którymi próbował mnie

wystraszyć, rozbawiły mnie tak, że roześmiałem mu się w twarz.

– Zaraz inaczej będziesz śpiewał – zaskrzeczał.

– Czy wy zawsze tak samo? – kpiłem z niego.

Byłem zły i nie miałem ochoty bawić się w podchody. Trochę wprawy już miałem w postępowaniu z gliniarzami. Mogłem kręcić, mydlić mu oczy i ciągnąć przestuchanie jak najdłużej, ale wolałem od razu dostać swoje i wrócić na dołek. Ledwie skończyłem mówić, już leżałem na podłodze. Czułem krew w ustach. Sprawdziłem językiem, czy wszystkie zęby są na miejscu. Rozcierając bolącą szczęką pomyślałem, że dobrze by było odgryźć się jakoś nygusowi. Wstając, wyplułem krew na podłogę i powiedziałem:

– Kolejność jak zwykle ta sama. Pytanie, potem w mordę. Żadnych zmian. Nic się nie rozwijacie.

Myślałem, że zaraz po raz drugi znajdę się na podłodze, ale śledczy zmienił taktykę. Popatrzył na mnie chytrze i zapytał:

– Czy oglądałeś „Korzenie”?

Zdziwiłem się. Po co pytał mnie o jakiś serial? Nie miałem pojęcia, czego ode mnie chce.

– Pomyliłeś się. Wprowadzamy zmiany. Wylądujesz na stole i dostaniesz po gnatach jak Kunta Kinte.

– To są zmiany? – drwiłem

– Ich przedsmak – przerwał mi śledczy – Po stole wskoczysz w tamtą piramidę...

Zerknąłem w kąt pokoju. Zobaczyłem stos zużytych opon. Nie scykorowałem, ale poczułem się nieswój. Sukinsyn planował jakąś sztuczkę. Nie domyślałem się jednak, do czego zmierza. Zaproponował urzędasowskim slangiem, że odstąpi od

ukarania, jeśli się przyznam.

– Do czego? Odwal się!

Przeliczyłem się z siłami. Do pokoju przyszło jeszcze dwóch gliniarzy. Stół przetrzymałem znośnie, ale wciśnięty w opony i okładany pałą po piętach, naprawdę inaczej zacząłem śpiewać. Na dołek nie wróciłem o własnych siłach.

Prokuratora zobaczyłem po trzech dniach. Jedną dobę trzymali mnie bezprawnie. Nie miałem wtedy pojęcia, że podejrzanego należy doprowadzić do prokuratury w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i przedstawić zarzuty, jeżeli jakieś są. Nic mnie to jednak nie obchodziło. Martwiłem się, z jakiego artykułu będę odpowiadał. Cały czas myślałem, że będzie to zwykłe pobicie, ale szybko się rozczarowałem. Marek, kolega z którym byłem do sprawy, przyznał się na wyrost. Przeczytałem jego akta po zakończeniu śledztwa. Siedziałem w szambie po uszy. Zegarek zginął naprawdę i to Marek go ukradł. Nie było wyjścia. Mogłem mówić, że tylko się szarpałem z facetem, bo wyzywał mnie od skurwysynów za to, że spytałem go o godzinę. A więc zostałem oskarżony o napad rabunkowy. Czyn którego się dopuściłem zagrożony był karą od lat trzech do piętnastu. Przyszłość wyglądała nie najlepiej.

Na początek trzy miesiące sankcji. Prokuratorzy też ludzie. Nie da się tak na łapu-capu. Trzeba spisać mnóstwo protokołów, spotkać się z podejrzanym, przygotować materiał dowodowy i kto tam wie, co jeszcze. Po co się spieszyć. Koszty sądowe, grzywna: licznik bije na konto przestępcy. A w dodatku

musi być moralnie. Rozpatrzyć trzeba starannie, bo przecież chodzi o człowieka, a nie o świnie w rzeźni, której nikt o nic nie pyta, tylko podrzyna jej gardło i po krzyku.

Denerwowało takie nadgorliwe wczuwanie się w potrzeby innych, staranie o wygodę i dobro bliźniego. Po co ta troska, resocjalizacja i podejmowanie decyzji za innych? Każdy chciał być zbawcą świata, ale Chrystusowie nie rodzą się co dzień. Pamiętam pierwszą rozmowę z wychowawcą po przyjeździe na śledczak; tłumaczył mi, jak służba więzienna otacza opieką skazanych, jak wiele wysiłku wkłada, by na nowo przywrócić społeczeństwu obywateli. To samo słyszałem u prokuratora. Kiedy spytałem go, dlaczego jestem oskarżony o napad, powiedział mi, że tak wynika ze wstępnego śledztwa. Pocieszył mnie i zapewnił, że prokuratura zrobi wszystko, by wykluczyć pomyłkę i wyroku niezgodnego z prawem nie będzie, bo prawo jest zawsze po stronie podejrzanego.

Wszystkie te bzdury widniały tylko na papierze. Wystarczyło znaleźć się na dołku sam na sam z profosem, a wszystkimi przepisami świata można było się podetrzeć. Człowiek dostawał w mordę i nie miał nic do gadania, nawet gdyby w sejmie uchwalili sto ustaw o ochronie praw człowieka. Po co robić taką szopkę? Bandzior był bandziorem i jakieś krzyki broniące go, gdy był okładany, wołanie o humanitaryzm, zarzucanie niemoralności były zbędne. Sąd, prokuratura, przestępcy, to taki sam biznes jak wszystko inne na świecie: taniec wokół pieniądza. Z jednej strony ustawy bronią godności bandyty, z drugiej – olewanie tych praw i samowola. Z roku na rok jednak przestępcom żyło się w więzieniach lepiej, bo

przecież kryminalista to nie samo zło... Prokurator i sędzia mają pracę, komornik ściąga forszę, murarz buduje kryminaty, klawisze pilnują, a poszkodowany wysiła mózgownicę, by odbić stracone. Złodziej nie odkłada na książeczkę, przepuszcza szybko forszę na balety. Pieniądz jest w ruchu i świat się kręci.

Uzasadnienie mojego zatrzymania było proste: trzymać z dala od porządnych ludzi, ponieważ czyn, którego się dopuścić jest wysoce szkodliwy społecznie. A co było nieszkodliwe społecznie? Ci w ministerstwach też szkodzili ludziom, a nikt nie wsadzał ich do puszki. Wręcz odwrotnie. Przypinali im medale. Co znaczyły moje narzekania? Tyle mojego, co sobie pogadałem. Wiedziałem, że należy prowadzić swoją politykę i nie oglądać się na innych.

Na dołku siedziałem tydzień. Śmierdziałem jak stary cap. Bez papierosów, mydła, wody i grzebienia. Wyglądałem jak strach na wróble. Gdy wychodziłem spod celi, żeby zabrać chleb ze smalcem, pytałem wciąż profosów, kiedy wywiozą mnie na śledczak. Powtarzali, że nie ma transportu. Nie ma – trudno, ale dlaczego przez tyle dni miałem leżeć na dechach? Jak chciałem zapalić, musiałem pukać w drzwi i prosić, by profos zechciał podać mi papierosa z depozytu. Chciał to dać, a jak któryś z zatrzymanych natarczywiej się domagał, wywlekał go na korytarz i raz dwa uciszał. Niektórzy robili sobie zabawę, gdy na dołku znalazł się ktoś zastraszonej. Kiedy Wydra miał dyżur – tysięjący profos o mocno zarysowanej dolnej szczęce – ci cwańsi i szukający rozrywek kosztem innych namawiali nowicjusza, by domagał się swojego.

– Co będziesz chujowi przepuszczał. Twoje szlugi, to ci się należą.

– To czemu sam nie wołasz? – wątpił któryś czasem.

– Przecież nikt o nie swoje nie będzie wołał.

Najczęściej taki bajer uspokajał nowego, a ten, nie mając pojęcia o niczym, pukał nieśmiało w drzwi i wołał:

– Panie strażniku, poproszę papierosa!

Delikatnego pukania i wołania profos w swoim kantorku nie słyszał. Trzeba było uderzyć parę razy glanem, aż echo niosło po korytarzu, dopiero była reakcja. Kiedy zjawiał się Wydra, zaczynało się przedstawienie. Skluczał głośno zamek, stawał z szeroko rozstawionymi nogami w drzwiach i trzymając się pod boki, mówił:

– Czego, kurwa? Srać się któremu zachciało? A może papierosa? Chę?

To „chę” kończyło wstęp. Zaczynała się druga runda. Amator fajek nieśmiało występował do przodu i strachliwie przebąkiwał:

– Ja, to znaczy... Przepraszam. Tak, ja chciałem. Czy ja mogę prosić, żeby pan mógł podać mi papierosa?

Wydra promieniał. Twarz cieszyła mu się od ucha do ucha, lecz po chwili cała radość w nim gasła. Dolna szczęka zaczynała mu pracować, chwycił gościa za klapy i wywlekał na korytarz. Potem rozlegały się jęki, odgłos kopania i nie mijała minuta, a Wydra stał na powrót w drzwiach i wpychał faceta do celi.

Wreszcie nadszedł dzień transportu do więzienia

śledczego. Najpierw odebrałem z depozytu sznurowadła, pasek, zegarek i klucze od domu. Forsy w kopercie nie było. Może nie miałem jak mnie przywozili? Byłem na dobrej bani kiedy zgarniali mnie z ulicy.

Wieźli mnie nyską z gwałcicielem. Nie odzywałem się. Od samego początku nie podobał mi się ten gość. Kiedy wrzucili go pod celę, był po niezłej wódce. Nie przeszkadzało mi to wcale, ale jak zaczął przymierzać się do szczania, jakby nie wiedział gdzie jest, poczułem, że go nie lubię. Krzyknąłem na niego. Ocknął się. Schował fiuta. Ale za chwilę znów to samo. Dyżur miał akurat Wydra. Przyszedł, gdy kilka razy kopnąłem w drzwi. Zabrał go, a kiedy wrócił i rzucił pół przytomnego na podłogę, nie było już kłopotów. Rano gwałciciel nic nie pamiętał. Zaczął opowiadać, że pił z jakąś babką, a potem chciał ją posunąć. Narobiła wrzasku, no i wylądował na dołku. Zapewniał, że jest niewinny, ale sankcję wiózł ze sobą, tak jak ja.

Wreszcie dotarliśmy na łąki. Zaprowadzili nas do pokoju, który wyglądał jak poczekalnia w przychodni. Za zakratowanym okienkiem siedział porucznik w granatowym mundurze. Kiedy wyczytał moje nazwisko, podszedłem i zacząłem podawać mu dane. Nazwisko, imię, datę urodzenia, gdzie pracuję, co potrafię, czy mam może wartościowe przedmioty typu zegarek, obrączka. Zeszło chyba z pół godziny. Później przyszedł młody plutonowy ze służby więziennej i zaprowadził nas do magazynu.

Na dołku, w świetle mdłej żarówki nie najlepiej

widziałem, jak wyglądają moje łachy. Kiedy się rozbierałem, dreszcz mi poszedł po plecach. Koszula czarna, rozdarta przy kołnierzyku, lepiała się od brudu. Marynarka poplamiona krwią, kurtka wyszargana błotem, a slipy szybko zwinąłem w kłębek i wyrzuciłem do kosza. Wstyd było oddać takie zafajdane gacie chłopakowi przyjmującemu depozyt. Mogłem zostać w swoich ciuchach jako śledczak. Ale jak tu chodzić w czymś takim. Wskoczyłem w państwowe szmaty. Zakładając więzienne kalessony, czyściutką koszulę, może nie najlepszego fasonu, ale pachnącą szarym mydłem, zeżliłem się na te brudne szmaciska i niewiele myśląc wszystko wyrzuciłem do kosza.

– Można było oddać do pralni – odezwał się złodziej przyjmujący depozyt.

Machnąłem ręką i ubrałem się do końca.

Oprócz ubrania dostałem kubek, miskę, talerz, łyżkę, dwa koce, prześcieradło i dwie ścierki.

Strážnicy więzienni prezentowali się o wiele lepiej niż gliniarze. Klawisz, który prowadził mnie podziemnym korytarzem, miał na sobie granatowy mundur, ciemnoniebieską koszulę, czarny krawat – słowem wysoki połysk. Szedłem przed nim, kierując się jego wskazówkami. Sam pewnie bym zbłądził. Kiedy wydostaliśmy się z podziemnego korytarza, zaczęliśmy kluczyć schodami i korytarzami zabezpieczonymi mnóstwem krat. Czułem się jak w labiryncie. Wszędzie czysto i cicho. Oprócz klawiszy nikogo nie widziałem. Zatrzymaliśmy się na czwartym piętrze. Po raz kolejny musiałem się rozebrać. Na każdym kroku zrzucąłem łachy: zmiana celi, złe spojrzenie, każdy powód był dobry do kipsiszu. Klawisze węszyli jak psy, a

gdy znaleźli coś trefnego, cieszyli się jak dzieci.

Nikt nie pamięta, jak to jest przy narodzinach – człowiek pojawia się na świecie i nie wie, co dalej. Wchodząc pod celę, właśnie tak się czułem. Nie miałem pojęcia, co jest za drzwiami z wizjerem. Bałem się. Odwrotu jednak nie było.

W celi czysto jak w pudełeczku. Wyobrażałem sobie, że zaraz obokoczą mnie podejrzane typki, będą czegoś żądać, dopytywać się, a tutaj spokój. Czułem ich badawczy wzrok na sobie. By nie wydać się natrętem, przejechałem oczami dyskretnie. Żadnej zakazanej gęby, jak to czasem oglądałem na filmach. Na jednym zatrzymałem się dłużej. Uśmiechnąłem się od ucha do ucha. Przy oknie stał Kogut, znajomek z podstawówki.

– Cześć Kogut – odezwałem się pierwszy.

On też cieszył się z tego spotkania.

– Za co się powaliłeś? Ile dostałeś? – zaczęliśmy się podpytywać.

Na chwilę zapomniałem, gdzie jestem. Kogut działał na mnie jak balsam. Zacząłem zgrywać chojraka. O swoich przygodach mówiłem, jakby to były skoki na bank. Każdy chce być ważny i wyjątkowy. Szybko jednak zamilkłem. Mój życiorys, w porównaniu z opowieściami innych, nie był szczególny. Kogut siedział za okradanie kurników i gołębników. Marek, tak jak ja, za rozbój, tylko że on z przedłużeniem. Na początku nie miałem pojęcia, co znaczyło to przedłużenie, ale jak opowiedział szczegóły zorientowałem się w czym rzecz. Dokonał napadu z użyciem broni, a tą bronią była gałąź, którą okładał ofiarę.

Marek uciszał gościa, żeby nie krzyczał i wziął, co było pod ręką. Mały Wiesiek za gwałty. Ten to był aparat. Działał w windach. Czaił się na klatce schodowej w bloku i czekał na jakąś samotną babkę, a kiedy ta wchodziła do windy wskakiwał szybko za nią i straszył nożem. Mówił, że brzytwa albo nóż na kobietę najlepsze.

– Nie piśnie nawet – mówił. – A weź pokaż babce giwerę, to narobi wrzasku i zaraz pół bloku masz na karku.

Zatrzymywał windę między piętrami i kazał się ssać. Potem zabierał wszystko, co cenne i ulatniał się. Nie chciał powiedzieć, w jaki sposób organizował sobie odwrót. Tajemnica zawodowa, mówił.

Lista przestępstw była długa. Domyślałem się, że sporo jest w nich bajeru, ale dobrze było pogadać. Staraliśmy się wypełnić czas, który wciąż przypominał, że jesteśmy za kratami.

Najgorzej dokuczał brak fajek. Ci, co siedzieli jakiś czas, mieli na koncie forszę i na wypiskę, dwa razy w miesiącu, kupowali papierosy. Ale kto tu miał kasę? Oprócz Pawła, wszyscy z nas siedzieli parę dni. Dzień uważałem za dobry, gdy wypaliłem jednego papierosa. Najczęściej jarałem skręty z uzbieranego tytoniu, albo z siana i wiórków drzewnych. Po takiej mieszance białka wypadały prawie z oczodołów.

Paweł, starszy celi, jakoś nie pasował do reszty chłopaków. Mówił niewiele, za to słuchał uważnie. Pilnował porządków, meldował stan przy apelu, a jak coś nie grało, klawisze jego w pierwszej kolejności objeżdżali. Wciąż ćwiczył podciąganie. Kibel obudowany był z dwóch stron kawałkami dykty, przymocowanymi do konstrukcji z kątowników. Na

jednym z tych żelastw dawało się jako tako pomóc. Robiliśmy czasem zawody, który z nas podciągnie się najwięcej razy. Paweł był bezkonkurencyjny, ale i tak nikt go nie lubił. Nie zauważyłem w nim, i pewnie inni podobnie, szczerości, takiego prostego zachowania, które budzi sympatię, gdy człowiek z człowiekiem usiądzie i pogada o dupie Maryni. Jedynie on nie opowiadał o swoich skokach, a kiedy zagadnąłem go, za co siedzi, zbył mnie mruknięciem. Podkręcić bajer potrafił, podpuścić i wprawnie zapytać, niby tak od niechcienia, jakby nic go nie obchodziło, ale o sobie, milczek. Po kilku miesiącach dowiedziałem się, że jest konfidentem. Nie wierzyłem w pomówienia, ale jak tu nie dać wiary. Wciąż chodził na przesłuchania i przynosił z nich torby z żarciem i kartony fajek. Nie słyszałem, żeby śledczy wspierał bezinteresownie złodzieja.

Na początku, jak wszędzie, trudno jest się połapać. Jednak życie na gwizdek szybko koduje się w głowie. Krok po kroku uczyłem się reguł i coraz lepiej orientowałem się w więziennym życiu. Jako małolatowi należały mi się trzy posiłki, w tym dwa dania na obiad. Tylko że drugie jadałem rzadko – zazwyczaj było nie do przełknięcia. Specjalnością łęckiej kuchni były „cyce”. Nikt nie odgadł, co to za przysmak, ale i rzadko jadł go ktokolwiek. Pokrojone w kostkę owłosione skóry i stare zwierzęce bebechy zapachem i wyglądem odstraszały najmniej wymagających. Zgredzi mieli trochę gorzej; oni skończyli dwadzieścia jeden lat i dostawali na obiad tylko litr zupy. Chyba dlatego, że byli już purchlakami i nie rosły im kości? Ale za to, raz w miesiącu, mogli brać na wypiskę trzysta papierosów, a

małolat tylko dwieście.

Na spacer nie zawsze wypuszczali o tej samej porze. Raz dziennie, w ciągu godziny, pozwalali maszerować w betonowej klatce, nad którą rozciągało się niebo, przesłonięte drucianą siatką.

Nieźlą miał głowę ten, co wymyślił spacerniak. Klatki w kształcie trójkątów, połączonych jeden z drugim, tworzyły duże koło. Z góry wyglądało to pewnie jak trójkątne topione serki, powkładane do okrągłego pudełka. W środku tego betonowego kręgu stała wieżyczka, w której siedział klawisz. Jeden strażnik doglądał setkę bandziorów na raz.

Największym urozmaiceniem jednostajnych dni była łaźnia. Raz w tygodniu był gorący prysznic i wymiana bielizny. Chodziliśmy po dwie cele na raz; dwunastu, czternastu albo szesnastu chłopaków w zależności od tego, czy było przepięnienie czy nie. Zwykle pod celą siedziało nas sześciu, ale czasem dorzucali ze czterech łebków i zaczynał się kocioł z balią. Sześciu – to już kolejka do kibla i ledwo można było się ruszyć w celi. W dziesięciu pozostawało siedzenie i leżenie na kojach, a rano mocne zwieracze i dużo cierpliwości.

Posiłki, spacer, łaźnia następowały po sobie w równych odstępach czasu i były jakby zewnętrznym życiem narzuconym przez regulamin. Oprócz tych stałych norm, istniały wewnętrzne zasady ustalane przez więźniów, zmieniające się często w zależności od tego, kto akurat miał najwięcej szlugów i herbaty. Kto miał ten towar mógł niejedno.

Raz w miesiącu dawali talon na paczkę żywnościową. Nie wszyscy wysyłali. Jak ktoś miał rodzinę w porządku, to podżarł smalcu ze skwarkami, przegryzając cebulą. Trzy kilogramy domowej michy – to już coś. Przy dobrym gospodarowaniu starczało na dwa tygodnie. Ja miałem szczęście. Matka przysyłała w każdy miesiąc. Odbieranie paczki to tak, jakby człowiek na wolności szedł do kościoła. Wychodziłem na korytarz, podpisywałem książkę odbiorów, wtedy klawisz rozpruwał pakę i sprawdzał czy nie ma nic trefnego. Patrzyłem na domowe rarytasy niemal jak na księdza, który podnosił monstrancję podczas mszy w niedzielę: wtedy cała reszta nie istniała.

Za czystość i porządek pod celą dostaliśmy mały bilard. Mieliśmy książki, szachy i warcaby, ale coś ekstra cieszyło. Po za tym, kiedy szedłem z Kogutem po nagrodę, udało nam się zebrać z popielniczek kilka niedopałków. Nie opowiadałem o tym nikomu. Później dowiedziałem się, że „ludzie w porządku” nie mogą palić z niewiadomego źródła. Wtedy nie miałem pojęcia, że w więzieniu istnieje podział na ludzi w porządku czyli grypsujących i frajerów. Nikt mi o tym nie powiedział. Zresztą nie miało to znaczenia. Chciało mi się jarać i pewnie gdybym wiedział, zabrał bym niedopałki i wypalił je. Zasady zasadami, a nałóg domagał się swego.

Śledztwo zakończyło się po czterech miesiącach. Podpisałem jakieś papiery i lada tydzień mogłem spodziewać się rozprawy. Wyroku się nie bałem, ale na myśl, że na sali w sądzie zobaczą rodziców i znajomych, i będę musiał w ich

obecności opowiadać od początku o swoim wyczynie, robiło mi się słabo. No bo jak tu zeznawać o takiej głupocie.

Przed rozprawą zachorowałem na anginę. Było to tak poważnie, że wylądowałem na pierwszym pawilonie, na szpitalce. Ale co tam choroba. Znalazłem się w luksusie, o którym nawet nie marzyłem. Łóżko pojedyncze, bez pięt. Nie trzeba było włożyć pod sufit i wdychać smrodu papierosów i skarpet. Kołdra w czyściutkiej powłoczce, wielka poducha, słowem żyć nie umierać. O bólu gardła szybko zapomniałem, nie mogłem jednak spać. Męczyły mnie koszmary i wciąż drapałem się po głowie. Niczego mi właściwie nie brakowało, nawet żarcie było inne, a białe pieczywo po ciągłym przeżuwanii czarnego chleba tak smakowało, jak golonka z piwem na wolności. Przepisali mi jakieś lekarstwa i zastrzyki z penicyliny.

Waldek, złodziej z drugiego łóżka, zapytał, czy przypadkiem nie mam wszy. Zdziwiłem się. Zaprzeczyłem, ale zgodziłem się, by sanitariusz sprawdził mi głowę. Waldek nie mylił się. Na trzy dni przed rozprawą ogolili mi głowę na zero. Wyglądałem teraz jak prawdziwy przestępca. Ale, co dobrze wygląda w jednym miejscu, w drugim jest niestosowne. Przekonałem się o tym już w sądzie. Ludzie patrzyli na mnie nie tak, jak zazwyczaj, lecz tak, jakby się mnie bali. Mama była przerażona.

Czekanie na sprawę przez kilka miesięcy odbierało pewnie parę lat życia. Byli i tacy, którzy zanim usłyszeli wyrok, musieli odsiedzieć w śledztwie rok albo i więcej. Jak tak dobrze się przysłuchiwałem, o czym najczęściej rozmawiamy pod celą, to

aż złapałem się za głowę. Ile dostanę? A może wyjdę z zawiasami? I tak w kółko. Każdy się śmiał, ale w sobie pewnie martwił się, aż mu kichy skręcało. Czasem przychodziło mi do głowy, czy takie siedzenie do sprawy z wciąż szarpanymi nerwami nie jest gorszą karą, niż sam wyrok.

Do sądów na rozprawy, na inny śledczak, albo na karniak z wyrokiem jechało się zawsze tak samo: w wielkiej budzie blaszanej, którą złodzieje nazywali „lodówka”. Nie był to najwygodniejszy transport, ale kto zwracał na takie drobnostki uwagę? Podczas przejazdu ze śledczaka do sądów, złodzieje bardziej myśleli o tym, z jakim bagażem wrócą, a nie o tym, czy jest im ciasno, albo że brak powietrza. Dzień rozprawy to istna kołomyja. Od samego rana nerwówka, poganianie, bez śniadania, szybko i jeszcze raz szybko. Klawisze musieli nas dowieźć jak najwcześniej i nawet gdy człowiek szykował się na rozprawę w południe, zabierał się z tymi, którzy mieli być sążeni z samego rana. Najpierw kocioł w lodówce, potem wyładunek na tyłach sądu, gdzie do każdego z osobna podchodził gliniarz, zakuwał złodziejowi ręce i prowadził na sieczkarnię.

Sieczkarnia mieściła się w piwnicach sądu. Zwozili tutaj złodziei z całego województwa. Jedną cele zajmowali chłopaki, drugą babki. Cela, gdzie mnie umieścili, wciąż była pełna. Ktoś wychodził, ktoś wchodził. Jedni zadowoleni, inni wściekli, a jeszcze inni patrzyli obojętnie. Jeden temat powtarzał się bez przerwy: „To nie ja. Wspólnik mnie sprzedał. Wszystko to pomówienie. Zajebię go jak wyjdę”. Ci, co miotali się najbardziej, wciąż mówili, że znaleźli się tu przez pomyłkę.

Nawet gdy nikt ich o nic nie pytał, podłazili do kogo bądź i wylewali na niego swoje żale. Ktoś postronny, pomyślałby, że spędzono tu niewinnych ludzi.

Marka przywieźli z Osowa. Nie widziałem go cztery miesiące. Nic się nie zmienił, nawet jakby podpał się na gębie. Usiedliśmy obok siebie na długiej ławie i gadaliśmy o wszystkim, tylko nie o sprawie. Sytuacja była jakaś taka niezręczna. Może się bał, że będę miał do niego pretensję. Zapomniałem już, jak to było na komendzie. Sam chwilami nie wytrzymałem, szczególnie jak siedziałem w piramidzie z opon. O co zresztą było się gniewać? Lubiłem go. Na wolności wypiliśmy niejedną butelkę i niejedną noc przetańczyliśmy na dyskotekach. Mimo wszystko lubiłem go.

Było chyba po dziesiątej, kiedy przyszli po nas. Nyska, którą jechaliśmy do Słupcy była z naszej komendy. Skuli nas razem i zamknęli z tyłu w zasiatkowanej blaszance. Przez całą drogę nie mówiliśmy do siebie. Czułem jak napięcie rośnie. Bebechy miałem tak rozdygotane, jak po całonocnym picu. Paliłem jednego za drugim, ale wcale nie było mi lepiej. Marek też chyba nie miał szampańskiego nastroju. Ogryzał namiętnie paznokcie i wciąż wycierał wilgotne ręce o spodnie.

Prokurator domagał się czterech lat. „To i tak dobrze” – pomyślałem. Nie było to moje pierwsze przestępstwo. W sądzie nie omieszkali mi przypomnieć, że już raz wchodziłem w konflikt z prawem za włamanie.

„Jeśli prokurator żąda czterech lat” – myślałem – „dostanę nie więcej jak trzy”. Nie pomyliłem się. Sędzia w

uzasadnieniu przeczytał, że ze względu na młody wiek i na to, że przed aresztowaniem pracowałem, sąd odstąpił od surowej kary. Dopiero teraz poczułem ulgę. Czteromiesięczne drzenie znikło.

Po powrocie ze sprawy przerwali mnie na inną celę. Nie lubiłem przeprowadzek. Zmiany były po to, żeby chłopaki za bardzo nie przyzwyczajali się do siebie. Jak złodziej ze złodziejem posiedzieli dłużej razem i polubili się, zaraz zaczynali wafłować: wszystko co mieli, dzielili między siebie po równo. Ci z administracji dobrze wiedzieli, co robią. Rozumieli, że przyjaźń to większa pewność siebie złodzieja, a im w kryminale wcale nie potrzeba było mocnych charakterów. Jak człowiek żyje w niepewności i wciąż musi przyzwyczajać się do nowych osób, staje się podejrzliwy – można wtedy łatwiej takiego podporządkować.

Pod poprzednią celą, byli oprócz Pawła, sami nowicjusze. Teraz wrzucili mnie do złodziei, którzy znali już co nieco więzienne życie. Nie ominęły mnie w ten sposób „gierki”, które w więzieniu są czymś w rodzaju chrztu. Na początku było „patrzenie przez lipo”. Stojąc na taborecie przed oknem musiałem opowiadać, co jest na zewnątrz. Wiedziałem, że to jakaś sztuczka, ale dopiero po siódmym uderzeniu w plecy zwiniętym w marchewkę ręcznikiem zrozumiałem, o co chodzi. Najpierw mówiłem, że widzę kratę, szybę, potem siatkę, wymieniłem jeszcze parę szczegółów, a kiedy ból stał się intensywniejszy, ruszyłem mózgownicą i olśniło mnie:

– Wolność jest za oknem!

Następnie trafiałem palcem w kukiel z zawiązanymi

oczami. Zabawa może była i śmieszna, ale nie dla mnie. Kiedy szedłem ze szmatą na oczach do drzwi, by trafić w wizjer, jeden z chłopaków stanął na drodze z rozwartą skrzynką na figury szachowe i przytrzasnął mi solidnie palec. Mogłem przerwać moją inicjację, ale widziałem, że w tej zabawie nie ma złości. Wszyscy chcieli się zabawić. Chłopaki pokładali się ze śmiechu. Nie protestowałem. Zgodziłem się na „kubany”.

Z zawiązanymi oczami czekałem na kolejną niespodziankę. Kiedy zdjęli mi ręcznik z głowy, zobaczyłem jednego z nich jak siedzi na najwyższej półce koi i przyciska klepką od podłogi trzy kubki do sufitu. Dostałem szczotkę na kiju i musiałem nią napierać na deseczkę jakiś czas, a następnie odrzucić szczotkę i łąpać kubki. Obiecali mi, że jak złapię wszystkie, następnych gierek już nie będzie. Do zadania przyłożyłem się starannie. Skupiłem się, wstrzymałem oddech, a kiedy odrzuciłem kij na bok z kubków chlusnęła woda

Był jeszcze „więzień w mandżurku”, „dentysta”, a na zakończenie „pilnowanie kostki”. Od razu domyśliłem się, na czym polega ostatnia zabawa. Wieczorem, po apelu, wszyscy rozbierali się, składali ubrania w kostkę na taboretach, a dyżurni wystawiali je na korytarz. Kiedy oddziałowy otworzył celę, wyniosłem taborety z ciuchami i zameldowałem:

– Obywatelu oddziałowy, tymczasowo aresztowany Adam Ciechań melduje się do pilnowania kostki.

Grałem tę rolę z dobrą miną. Po apelu jeszcze nigdy nie byłem na korytarzu. Ciekawiło mnie, jak wygląda rząd taboretów, na których równiutko, zgodnie z wymiarem, leżały poukładane ubrania.

– Dobra. Wyskakuj – powiedział rozbawiony klawisz.

Stałem pod ścianą w kalesonach i koszuli i przyglądałem się, jak korytarz wypełnia się taboretami. Po piętnastu minutach wszystko było gotowe. Zjawił się dowódca zmiany, żeby odebrać klucze i sprawdzić, czy zgadza się stan złodziei. Musieli jeszcze zrobić coś ze mną. Podeszli do mnie obaj.

– Za co siedzisz? – zapytał zmianowy.

Speszyłem się. Wstydzilem się przyznać, ale powiedziałem.

– No widzisz, jaki jesteś gambeta. Bić potrafisz, a na podpuchę się kupiłeś.

Nic nie powiedziałem. Uśmiechnąłem się tylko. Oddziałowy otworzył mi celę i rozbawiony krzyknął:

– Spierdalaj!

Z widzenia z mamą udało mi się przynieść sto złotych. Niewiele tego było, ale na kilkanaście szufladek herbaty wystarczyło. Cela, pod którą teraz siedziałem, znajdowała się w czwartym pawilonie na drugim oddziale. Pod nami, na jedyńce, siedziała recydywa. Za pieniądze mogli załatwić wszystko. List z prośbą o czaj spuściliśmy do nich specjalnym urządzeniem, którą w więzieniu nazywa się chabeta. W liście pytałem, czy mogą sprzedać nam trochę herbaty. Wieczorem przepukali do nas. Jeden z nich krzyknął, że jutro sprawa będzie obstukana.

Czekałem niecierpliwie. Parę razy piłem już herbatę, ale nie swoją. Miałem okazję się zrewanżować. Zamówiłem dwa przeguby. Transport miał być po wieczornym apelu. Tuż po

obiedzie klawisz otworzył celę i kazał wychodzić. Nie wiedziałem, co się dzieje. Na korytarzu stało już kilku mundurowych. Od razu zrozumiałem, w czym rzecz. Chodziło im o moją stówę. Ktoś z celi musiał nadać. Wszyscy podejrzewali Mańka, który nie miał nogi. No cóż, ułatwił sobie życie, jak mógł. Spieszyło mu się wcześniej na wolność.

Staliśmy na korytarzu z dziesięć minut. Dwóch klawiszy kipiszowało. Stowy nie znaleźli: miałem ją przy sobie. Myślałem, że sprawa szybko się zakończy, ale oni nie chcieli odpuścić. Kazali nam się rozbierać do rosółu. Spanikowałem. Nie miałem pojęcia, co robić. Byłem zły, że stracę kasę, a z wieczornego picia herbaty będzie klops. Nie poddałem się. Zdejmując spodnie, wyjąłem dyskretnie stówę i włożyłem ją do ust. Była szansa jedna na tysiąc, że się uda. Widać było, że klawisze znudzili się bezowocnymi poszukiwaniami w celi. Przeszukali ubrania, ale do ust nie zaglądali. Forsa ocalała.

Po kipiszu przepukali z recydywy. Mieli już herbatę. Zwinąłem stówę w rulon, przymocowałem do chabety i siedząc przy oknie, próbowałem przerzucić ciężarek przez małe oczka kratki. Nie było to łatwe. Z dołu zaczęli niecierpliwie pukać. Moje miejsce przy oknie zajął Darek. Miał szczupłe i długie ręce. Sprawa od razu ruszyła z miejsca. Nie należał do nowicjuszy. Na początku myślałem, że zabieram się do dziecinnie prostej rzeczy, ale pomyliłem się. Od naszej strony okno zabezpieczała masywna krata, wystająca do wnętrza na jakieś trzydzieści centymetrów, potem widniały ramy z szybami, a za nimi kolejna krata, siatka z drobnymi oczkami i na koniec blenda. Przestrzeń dzieląca obydwie kraty miała chyba

z sześćdziesiąt centymetrów. Każdy, kto nie miał doświadczenia, musiał przy oknie spędzić kilkanaście minut, nim ciężarek, zawieszony na sznurku, zjedzie na dół. Sprawa była pilna. W każdej chwili mógł wejść klawisz. Darek jednak uwinął się szybko. Po pięciu minutach z dołu dali znać, że wszystko gotowe.

Zaczęła się odwrotna procedura, najbardziej niebezpieczna. Do sznurka przyłączone były cienkie rulony, długości po dwadzieścia centymetrów każdy, wypełnione herbatą. Darek wciągał je ostrożnie, pomagając sobie żyrafą. Sztuka po sztuce, moje zamówienie wypadało na parapet. Było tego sporo. Przesypywałem herbatę do plastikowej torebki i modliłem się w duchu, żeby klawisz nie skluczył celi. Maniek siedział na taborecie przy drzwiach i nasłuchiwał, co dzieje się na zewnątrz. Wreszcie ostatni rulon znalazł się w celi. Puknąłem w podłogę na znak, że wszystko w porządku i że dziękujemy za towar. Przez okno dobiegł do nas okrzyk: „Gitara”. A więc i na dole nie mieli kłopotów.

Całą szóstką zasiedliśmy do blatu. Szufladką od zapalek zmierzyłem, czy recydywa nas nie oszukała. Szufladki były płaskie, ale ogólnie ilość trzymała się normy.

– No to buzujemy – zakończyłem, kiedy ostatnia porcja herbaty wylądowała w samarce.

Mimo, że Maniek coś tam od czasu do czasu szepnął komendantowi, w sumie cieszyłem się, że jest ktoś taki pod celą. Dziwnym trafem, po każdym kipiszu nic mu nie ginęło. Buzatek chował w protezie. Bez grzałki nie można byłoby zaparzyć herbaty.

Darek przymocował cieniutki przewód do kątownika, który był stelażem osłaniającym nasz higieniczny kącik. Drugi jego koniec zarzucił na wąż wystający z oprawki oświetlenia. Przewody buzały przytknął do kątownika i kranu. Po chwili woda w litrowym słoiku zaczęła się gotować. Wrzątek zasypałem czterema szufladkami. Cudownie było patrzeć, jak herbata naciąga i rozchodzi się jej aromat. Ile zabiegów, żeby wypić kilka łyków herbaty... Ale warto było. Przez cały dzień nie myślałem, że siedzę w więzieniu. Herbaciana sprawa pochłonęła mnie bez reszty. Czaj miał niezłego kopa. Do głowy zaczęły napływać dziwne obrazy. Zacząłem myśleć, że dobrze byłoby teraz siedzieć w domu, albo iść z kolegami na dyskotekę. Ale kiedy świat, do którego chciałem wrócić i ten tutaj, za kratami, zderzyły się ze sobą, odniosłem dziwne wrażenie. Przez chwilę nie widziałem różnicy między kryminałem, a życiem na zewnątrz. W celi odliczałem dni, kiedy wyjdę na wolność, starałem się o szlugi, herbatę i dzięki temu życie miało jakiś sens. Na wolności dzień mijał od zabawy do zabawy, marzeń o swoim samochodzie, wielkich pieniądzach i powodzeniu u dziewczyn, a kiedy to zniknęło, świat stawał się czarną dziurą z koszmarami i strachem. Zobaczyłem, że na wolności, tak samo jak tutaj, siedziałem za murem, a co gorsza, nie widziałem z tego wyjścia. Przeraziłem się. Odsunąłem słoik z herbatą, wstałem i zacząłem podciągać się na kątowniku. Kiedy spociałem się porządnie, wróciłem do normy. Chłopaki patrzyli na mnie zdziwieni, ale jak już usiadłem przy blacie i znów zacząłem pić herbatę, zapomnieli, co było kilka minut temu.

Śledztwo miałem za sobą. Myślałem, że wszystkie niepokoje miną i jakoś to będzie, ale życie niosło nowe niespodzianki. Przedemną trzy lata kryminału, a ja siedziałem bezradny i nie potrafiłem powiedzieć, co dalej. Taka bezsilność, kiedy człowiek właściwie może tylko patrzeć, co się wokół niego dzieje i wykonuje polecenia innych, robiła ze mnie parszywego niewolnika – i to na własne życzenie. Nie mogłem sobie darować, że dałem się zamknąć, ale z drugiej strony, takich jak ja wcześniej czy później i tak łapią i zamykają w klatce. Mogłem, oczywiście, siedzieć w domu cicho i jak ojciec chodzić do roboty na osiem godzin, odwalić co swoje i nikt by się mnie nie czepiał. Żyłbym sobie może nie najgorzej, ale i nie najlepiej i nie miałbym pojęcia, co to jest kryminał. Ale teraz, po czterech miesiącach zobaczyłem, że niewolnikiem jestem od zawsze. Mimo takich krótkich, beznadziejnych chwil, chciało mi się żyć i nie łamałem się na amen. Nie byłem sam. Tutaj, czy na zewnątrz, ludzie nie różnili się ode mnie niczym. Cały świat był do bani.

Po wyroku każdy złodziej staje przed komisją kwalifikacyjną. Zbiera się kilku urzędników z administracji więziennej i sądu penitencjarnego, zasiadają za stołem i radzą, którzy skazani zasługują na lepszy, a którzy na gorszy los. Robota nie jest skomplikowana, zupełnie jak dusze na sądzie ostatecznym. Jedni do piekła, inni do nieba. Wystarczyło, że naczelnik wpisał w odpowiednią rubrykę na przykład „P1”, a złodziej, który skończył dwadzieścia jeden lat, jechał do więzienia z obostrzonym rygorem. Litera „M” przysługiwała

małolatom i można było do niej dorzucić jedynekę, dwójkę, albo trójkę. Mnie uznali za mniej uciążliwego i przyznali „M2/O”. Nie miałem pojęcia, co to znaczy. Dopiero pod celą purchlak Gienio, który odgibał w młodości piątaka, truknął, że nie jest najgorzej i będę kiwał w ozecie. Spytałem go, co to jest ten ozet:

– Ośrodek zewnętrzny zakładu karnego – wyrecytował prawie jak wychowawca, ale za chwilę zaczął mówić normalnie:

– Pojedziesz pewnie gdzieś w góry i będziesz tam zapalał z cywilami. Na ozecie nie jesteś tak przegrany jak na karniaku. Robota na wolności, można zawędkować od cywila szlugów, a jak trafi się jakiś po chuju, to może załapiesz się czasem na gorzałę

Po komisji przetrzucili mnie na celę transportową. Stąd już tylko wyjazd w Polskę. Nie mogłem się doczekać, kiedy ruszymy. Zupełnie tak, jak na dołku w komendzie. Śledczaka miałem już dosyć. Ciągłe maszerowanie wąską ścieżką między kojami, spacer w betonowych klatkach i wysłuchiwanie dzienników radiowych, puszcanych przez betoniare, stało się strasznie nudne. Graliśmy w domino, w szachy, albo w karty, ale ile można było bębnić, kiedy dupa puchła od siedzenia na twardym stołku. Chciałem się ruszać, zobaczyć przestrzeń i zacząć coś robić.

Na transportówce siedziało nas chyba z dwudziestu: sami małolaci. Wszyscy byli ciekawi, gdzie nas powiozą. Każdy miał własny pomysł, gdzie odbębnić wyrok. Jedni chcieli w Bieszczadach, inni gdzieś koło ruskich albo na pojezierzu, a najbardziej wystraszeni słuchali z porozdziawianymi gębami,

nie zabierając głosu. Kiedy kajfusi, przy śniadaniu, zaczęli nam dawać papierowe torby z suchym prowiantem, a klawisz kazał zwijać mandzury, pod celą zaczął się ruch. Była to zapowiedź transportu. Rzeczywiście. Zaraz po jedzeniu zabrali nas do magazynu. Wszystko odbywało się w ekspresowym tempie. Jedynie kipisz był długi i dokładny. Znow musiałem stać z na golasa i nachylać się, żeby klawisz mógł zajrzeć między poślady. Nie lubiłem tego.

Przed magazynem stała lodówka. Wewnątrz znajdowały się dwa małe pomieszczenia dla złodziei i jedno dla strażników. Na tak niewielkiej powierzchni zmieściło się nas trzydziestu. Nie było ani jednego okna. Jedynie w suficie tkwiły trzy wentylatory, których za nic nie można było otworzyć. Zapowiadała się niezła parówka. Było jednak o wiele gorzej. Łać można było tylko na przystankach, chyba że ktoś zdecydowałby się na pory. Nie znalazł się jednak odważny. Kto by jadał w zaszczanym miejscu? Niejednemu rozsadało bebechy, ale jakoś wszyscy dotrwaliśmy do Lubowa. W porównaniu ze śledczakiem w Głownie kibel lubowski był gorszy od chlewu: smród i brud. Następny przystanek mieliśmy dopiero w Beskidach.

POWITANIE

Nie tylko ja byłem zdziwiony. Oczekiwaliśmy wielkiego muru, kogutów, a tutaj jak u Pana Boga za piecem. Na środku placu kwietnik, asfaltowe alejki, niewielkie domki jak dla dużych krasnoludków i wszędzie rozkwitająca zieleń. Całą grupą poszliśmy do podłużnego budynku. Weszliśmy do środka, a tutaj następna niespodzianka. Telewizor, gry, stoliki i krzesła. Nie wiedziałem, czy jestem na kolonijnej stołówce, czy w więzieniu. Nikt nas nie pilnował, niczego nie kazał. Porozsiadaliśmy się na krzesłach i czekaliśmy, co będzie dalej.

Czas mijał. Nikt po nas nie przychodził. Chciało mi się jarać, ale wszędzie wisiły tabliczki zabraniające palenia. Nie chciałem ryzykować i narażać się na mordobicie: gdyby tak któryś z tutejszych mądrali przypalił mnie na gorącym, zaraz byłaby poruta. Nie liczyłem na to, że tutejsi klawisze są łagodni. Wszędzie byli tacy sami. Nie rozumiałem, dlaczego strażnicy ciągle uprzykrzali innym życie. Nie spotkałem klawisza, który przyłapałby złodzieja na łamaniu regulaminu i nie skorzystał z okazji, żeby mu dokopać.

Łaziłem koło okien i popatrywałem na zewnątrz. Cisza i spokój. Za bramą przetaczała się leniwie furmanka, na której siedział złodziej i poganiał konia. Zachodziło słońce. „Co to jest?” – myślałem. „To miał być ponury kryminał?” Niczego nie rozumiałem, ale cieszyłem się jak dziecko. Zamknięty w lodowie przez cały dzień myślałem, że nic dobrego mnie nie spotka. Teraz patrzyłem na łagodne zbocza górskie, na domki ze szpiczastymi dachami i myślałem, że życie nie jest takie

najgorsze. Raz jest lepiej, innym razem gorzej ale ogólnie idzie żyć. Najprzyjemniejsza z tego wszystkiego było gapienie się w przestrzeń. Czułem się tak, jakbym wypił szklanę wina. Ostatnio oglądałem tylko ściany małych cel, a na spacerach, jak chciałem wyrzeć na świat, gały rozbijały się o mur. Na wolności też nie było jakoś okazji, żeby tak stanąć, zastanowić się i popatrzeć. Ciągłe tylko knajpy, kawiarnie, chętne panienki. Życie jak na karuzeli: co chwilę w tym samym miejscu i kupa bzdurnego chachania.

W oknie jednego z domków stał jakiś złodziej i nawijał coś na rękach. Nie umiałem czytać mowy pisanej dłońmi. Odwróciłem się i zapytałem, czy któryś gada witami. Na szczęście znalazł się jeden. Podeszedł do okna, stanął obok i zaczął wykrzywiać paluchy. Po chwili powiedział, że pytają nas, skąd przyjechaliśmy. Trwało to trochę nim pokazał na palcach, skąd się wzięliśmy. Robiło się nudno. Przestało mnie interesować o co pytają. Pomyślałem o domu. Nastrój wywołany krajobrazem zniknął. Denerwowało mnie, że nie wiem, gdzie jestem i co będzie dalej. Ale w kryminale każda chwila jest niewiadomą. Człowiek myśli, że już jakoś ułożył sobie życie, zorganizował kąt, ma wafli, a tu nagle przychodzi obcy człowiek, każe zwijać mandżur i goni do innej celi albo wsadza do samochodu i każe jechać na drugi koniec Polski. Nie ma na to silnych. Trzeba dostosowywać się, albo wypada się z gry, zupełnie jak z darwinowską ewolucją: nieprzystosowani do chasiora.

Wreszcie przyszedł jakiś mundurowy i wyczytał nazwiska. Ci, których wymienił, zostawali, reszta na samochód.

Było już ciemno. Nie miałem ochoty nigdzie się ruszać. Podobało mi się w tej świetlicy. Zamiast muru siatka, złodzieje mieszkali w domkach, telewizor. Szkoda. Lecz jakie miałem wyjście? Przygnębiony wyszedłem na dwór i wgramoliłem się na Stara z plandeką. Zupełny odjazd. Było nas dziesięciu. Nikt nas nie skuwał, nie zamykał w drucianych klatkach, żadnej eskorty. Wyjechaliśmy za bramę z rozdziawionymi gębami. Nic mi się nie zgadzało. Przecież wystarczyło przełożyć nogę za burtę pędzącego samochodu, jeden skok i już mnie nie ma. Wkoło pełno lasów, ale gdzie uciekać? Wszystko obce, żeby choć w pobliżu mieszkał jakiś ziomek, to jeszcze. Człowiek przycupnąłby na parę dni, dał znać do domu i jakby dobrze się ułożyło można by pochodzić parę lat po wolności. Tylko czy warto? Widziałem już, jak jeden z moich kolegów, Fijoł, ukrywał się. Gdy szedłem z nim ulicą, rozglądał się co chwilę i wpatrywał, czy w pobliżu nie kręcą się gliniarze. W domu nie spał, bo bał się, że mogą go śpiącego wyjąć z pościeli. Miał kasę, to jeszcze dawał sobie jakoś radę. Wyjeżdżał w teren, powywijał, coś ukradł, a jak dobra passa się kończyła, wracał do Słupcy i łaził po kumplach. Opowiadał wtedy o swoich skokach, bajerował i udawał, że wszystko jest glans pomada. Kolesie wspomagali go, bo przecież to swój człowiek, ale jak wyczuli, że jest pusty, odbijali od niego szybko i mówili, że sami mają kłopoty.

Nikogo tutaj nie znałem. Siedziałem przy tylnej burcie Stara, odchylałem plandekę i rozglądałem się. „Co za okolica?” – przemknęło mi przez głowę. Wszędzie ciemno, ani jednego światełka. Liczyłem, że może zobaczę drogowskaz, ale nawet

gdyby gdzieś tam stał, było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Byłem zmęczony. Marzyłem o spokojnym miejscu, byle jakiej koi i spaniu do rana. Trzy lata do odsiadki. Nie warto było chować się jak szczur i wciąż myśleć, kiedy mnie złapią. Co bym zresztą robił? Nie byłem bandziorem z krwi i kości. Pracowałem, czasem wypłem jak inni, spotykałem się z dziewczynami, ale żeby jakiś przestępczy świat, życie ze złodziejstwa? Nie tak wyobrażałem sobie przyszłość.

Ukrywać się? Gdzie? U kogo? Takich chłopaków jak ja było na pęczki, którzy myślą o wielkich pieniądzach i szerokim świecie, ale nie mają pojęcia, czym jest bogactwo i jak z niego korzystać. Patrzyłem, jak za burtą samochodu umykają zarysy drzew, widoczne w czerwonych żarówkach tylnych świateł stopu i zrozumiałem, że właściwie to jestem małym, nic nie znaczącym robakiem, który wyobraża sobie, że jest olbrzymem. Uśmiechnąłem się do siebie. Chciało mi się spać i było mi wszystko jedno, co się stanie. Bo jeśli byłem nikim, to jakie znaczenie miał mój pobyt w więzieniu, czy na wolności? Kiedy wyobraziłem sobie, że jestem małym, gównianym kawałkiem tłumu, ogarniał mnie szal i traciłem ochotę do życia. Dobrze, że byłem skonany. Poczucie, że inni mają a ja nie, że są tacy którzy coś znaczą, a ja wciąż muszę się podporządkowywać, nie mogło się rozkręcić. Podskakując na twardych dechach, trzymałem się kurczowo burty i bardziej musiałem uważać, żeby nie upaść na podłogę naczepy, niż wściekać na siebie.

Wreszcie samochód zatrzymał się. Drzwi szoferki trzasnęły. Noc przeszył wredny głos:

– Wysiadać skurwysyny! Tylko szybko, bo jak przyjebię

któremu w ryja, to popamięta mnie do końca życia.

Przywitanie nieciekawe. Zeskoczyłem szybko z samochodu i stanąłem przy kole. Tutaj nie było tak przyjemnie, jak w poprzednim miejscu. Dwa rzędy wysokiej siatki wokół oświetlonego kilkoma dużymi lampami pawilonu przypominały raczej ogrodzenie obozu koncentracyjnego, a nie zakładu karnego.

Nie zdążyłem się dobrze rozejrzeć, a znów usłyszałem ten sam paskudny głos:

– Ustawiać się w szeregu gnojki i nie gadać, bo was porozpierałam.

Klawisz był sam. Wiedziałem, że się nakręca i udaje, że się nie boi. Dziesięciu złodziei przeciw jednemu facetowi. Każdy pojedynczo dałby mu radę bez wysilania się. Klawisz bluźnił, a my staliśmy bezradnie z powieszanymi głowami. Czytał nazwiska i wyśmiewał się, że coś z nas za przestępcy, skoro żaden nie uciekł.

– Jesteście kupą tchórzliwego gówna i może tutaj choć trochę nauczycie się żyć, nie jak obwiste kutasy, ale jak porządni ludzie.

Gość kadził. Przestałem słuchać i czekałem, kiedy ruszymy do budynku. Marzyłem o łóżku.

Weszliśmy na pawilon. Za kratą stał jakiś zgredzik i dał nam szorstkie lniane wory mówiąc, że to do sienników. W prawo i w lewo biegł korytarz. Istne lustreczko. Lastrykowa podłoga lśniła. „Nieźle trzeba było się nabujać przy czymś takim” – pomyślałem. Na śledczaku dopieszczaliśmy podłogę, ale tam było drewno, materiał miękki, a tutaj kamień. Do

czegoś takiego trzeba było się chyba zabierać ze szlifierką elektryczną.

Po obydwu stronach korytarza zobaczyłem drzwi, ale nie takie, jak na śledczaku: żadnych rygli, zamków, kukli, tylko normalne, wolnościowe, jak w każdym domu. Dziwne, złodzieje tutaj pewnie sami je otwierali, wychodzili z cel i łazili jeden do drugiego bez przeszkód. Klawisz, który miał nocną zmianę, kazał wskakiwać nam do sali dziewiątej, szybko napychać wory sianem i do wyrek. Widać było, że wszystko ma gdzieś. Typ olewający: odwalić swoje i do domu.

Nieswojo mi się zrobiło, jak klawisz powiedział, że mamy wchodzić do sali. Przyzwyczailem się, że pod celą to, a tamtego przerzucili na inną celę, a jeszcze w innej to siedzą sami cwele i nikt nie mówił o żadnych salach. Ale kiedy nacisnąłem klamkę i poczułem jej kształt i na dodatek sam otworzyłem drzwi, poczułem, że wchodzę na salę, a nie do celi.

Pod oknami rząd dwupiętrowych, żelaznych łóżek. Na środku kupa siana pomieszanego ze słomą. Nie namyślałem się długo. Rozwarłem wór, wypchałem go porządnie i rzuciłem na dolną półę piętrowego łóżka. Potem wyszukałem jak najmniej wytarty koc, prześcieradło bez dziur, rozebrałem się i położyłem na miękkim, pachnącym sianie. Powoli zapadałem w sen. Przez głowę przewalały się obrazy, jak byłem na wsi u ciotki. Tam też spałem na sianie w wielkiej stodole. To był ten sam zapach i chrzęst przygniatanej, suchej trawy. Ćwierkania szykujących się do snu wróble mieszały się z krzątaniem złodziei napychających Iniane wory.

Sen plątał się z jawą, a może tak mi się zdawało.

Tkwiłem w półśnie i nie miałem ochoty otwierać oczu. Ostry dźwięk dzwonka świdrował mi czaszkę i nie wiedziałem, czy znajduję się u ciotki na wsi, czy w więzieniu. Dopiero gdy zobaczyłem granatową czapkę w uchylonych drzwiach, pojaśniało mi w głowie, a gdy do widoku dołączył głos klawisza, zwlokłem się szybko z koi.

Początki zawsze są przegrane. Nie znałem rytmu dnia, przyzwyczajęń i upodobań klawiszy. Apel też pewnie wyglądał inaczej niż na śledczaku. A co z żarciem i tysiącem innych rzeczy, które dzieją się, czy człowiek tego chce, czy nie? Jednak w jakiś dziwny sposób złodzieje szybko chwytają w czym rzecz i po kilku dniach, bez zbytniego wysiłku, wiedzą co wolno, a czego nie. To chyba strach przed nowym, nieznanym, przyspieszał pracę szarych komórek. Gdy miałem nauczyć się w szkole wiersza na pamięć, to za Boga nie mogłem spamiętać dwóch linijek, a tutaj sto rzeczy na minutę: odpowiednio się melduj, spodnie złożone trzydzieści na trzydzieści, nie bierz pojarunku od frajera, pucuj się, jak chcesz pierdnąć, nie mów tego, nie rób tamtego i kto wie, co jeszcze. Do tego jeszcze bajery, podkreśki w stylu: wity, szkity chuj przebity; sztany, glany, betoniara, grypsuje się. Pełno tego wszystkiego, a jednak głowa nie puchła tak jak od wiersza w szkole. Życie to życie, a nie zagadki i ćwiczenia umysłowe.

Korytarz cały był już zapchany złodziejami. Widok jak na defiladzie pierwszego maja. Wszyscy w więziennych gajerkach, w dwuszeregu, łapska przy szwie od spodni. Masa gał wybałuszała się na nas. Byliśmy nowi, trzeba było zobaczyć, co za typki przywieźli do ośrodka. Nie lubiłem tego badania.

Klawisz w stopniu porucznika szedł wzdłuż szpaleru stojących w dwuszeregu złodziei, zatrzymywał się co kilka metrów i wysłuchiwał meldunku od starszego sali o liczbie złodziei. Potem patrzył na listę, którą trzymał w ręku i sprawdzał, czy wszystko się zgadza. Do naszej grupy podszedł na końcu i powiedział, żebyśmy po apelu nigdzie się nie rozchodzili.

Apel długo nie trwał. Pawilon nie był znów niczym wielkim w porównaniu z więzieniem na Łękach. Pięć sal dla złodziei, łazienka, kibel, pokój biblioteczny, magazyn ośrodka, dyżurka, stołówka i kuchnia. W piwnicy mieściła się szatnia, kotłownia, prysznice i obieralnia. Na oko było nas może koło setki lub trochę ponad. Łęki to kombinat. Cztery olbrzymie pawilony, potężny mur, magazyny, garaże, kuchnia. Nikt nie wiedział, ilu złodziei tam trzymają.

Po apelu wszyscy rozeszli się do sal. Na minutę korytarz wypełniła cisza. Potem złodzieje pojawiali się znowu i schodzili na dół do szatni. Zamieszanie nie trwało długo. Odgłosy złodziejskiej krzątaniny cichły, aż wszystko zamarło. Staliśmy na korytarzu sami. Po godzinie pojawił się porucznik. Stanął przed nami i wyczytywał nazwiska. Gdy sprawdził, czy wszystko gra, powiedział, że jest tutaj komendantem i pilnuje, by skazani za bardzo nie kozakowali. Potem spytał, czy są wśród nas grypsujący, a jeśli tak, to niech przejdą na lewą stronę. Przez chwilę oglądaliśmy się jeden na drugiego, po czym, jak na komendę, przesunęliśmy się o dwa kroki na lewo.

Porucznikowi opadła szczęka. Zobaczyłem jego rzadkie, poczerwiałe i krzywe zęby. Stał zaskoczony. Widziałem, jak robi

się czerwony na twarzy, a oczy wychodzą mu na wierzch. Nie seplenił, ale miał jakąś wadę wymowy. Coś z nim było nie tak. Paskudny wyraz twarzy w połączeniu z rzadkimi, siwoczarnymi loczkami na głowie, sprawiał wrażenie, jakby nie był człowiekiem, a rodzajem szczura zmieszanego z bazyliiszkiem.

– Ja wam, kurwa, dam grypsowanie! Wy myślicie, że jak z Główna, to zaraz rozpiardolicie każdy kryminał! Zaraz kopsnę wam lek na cwaniactwo!

Odwrócił się i poszedł na dyżurkę. Teraz my staliśmy zaskoczeni. Nikt nic nie mówił. Na korytarzu słychać było dźwięk kręcącego się kółka od telefonu. Po chwili rozległ się głos komendanta:

– Przyjeżdżajcie. Tak, tak, same cwaniaczki.

Znów minęła chyba godzina. Oprócz pustego korytarza, niczego nie widziałem. Nagle coś wybuchło, najpierw raz, a za chwilę huk stał się ciągły. Zjawił się komendant i kazał wyskakiwać nam na dwór. Na placu przed pawilonem stało kilkunastu klawiszy i nie był to najciekawszy widok. Mieli pozakładane hełmy z przyłbicami, długie czarne pały, tarcze, jakby szykowali się na wojnę. Rzucali raz po raz petardy i świece dymne. Ustawili nas w szeregu. Serce podeszło mi do gardła. Bałem się nie na żarty. Kiedy na schodach pojawił się komendant, chłopcy z atandy przerwali na chwilę fajerwerki. Mówił, że to nasza ostatnia szansa, żeby wycofać się z grypsowania, bo inaczej powpycha nam tę grypserkę do gardła tak, że srać nią będziemy przez tydzień. I tym razem żaden chłopak nie pękł.

Zaczęli nas musztrować. Pompki, przysiady, bieganina

wkoło, rzucanie petard i czasem długa pała spadająca na czyjś grzbiet. Na początku się bałem, ale gdy tylko spostrzegłem, że to jakiś pokaz na zastraszenie, po cichu zacząłem się śmiać. Wyglądało to groźnie i czasem któryś z atandy rozgrzewał się zbytnio i walił pałą gdzie popadło, ale pod przyłbicami nie widziałem twarzy takich, jak miał Wydra na komendzie. To były takie same młode łebki jak my, tylko że oni stali po innej stronie. Spędzili ich tutaj tak samo jak nas i podjudzali, że trzeba kilku złodziejom z Głowna nalać oliwy do czaszek. Po co ten cyrk? Czy naprawdę ci z administracji aż tak bardzo bali się grypsowania? Nie wiem, czy któryś z nas miał pojęcie o grypsowaniu. Sam dobrze nie wiedziałem, czym to jest. Zastyszane od innych gadki, że trzeba przeciwstawiać się klawiszom i coś tam jeszcze. I po to ściągali kilkunastu facetów, żeby zmusić nas do nie grypsowania? Jak raz się do czegoś przyłożyłem, nie chciałem się w połowie wycofywać. Miałem już dość ulegania kaprysom innych. Jeśli ktoś na siłę w jedną stronę, to ja w drugą. Taką czułem zawziętość, że nawet gdyby mieli mnie skatować, powiedziałbym, że mogą mi skoczyć. Chciałem grypsować i nawet sam diabeł nie zmusiłby mnie do zmiany decyzji.

Biegałem po placu, robiłem pompki i było mi wszystko jedno, czym to się skończy. Wkoło słyszałem klawiszy dodających sobie animuszu i wrzeszczących:

- Kurwa!
- Zapierdalaj szybko, bo ci przyjebię!
- No, chuje głownieńskie, zaraz będziemy was dymać w dupę!

Na koniec chłopcy z atandy ustawili szpaler. Stali z gumowymi pałami w dłoniach, podnieśli przyłbice i patrzyli na nas uśmiechając się. Komendant znów pytał, czy są chętni. Wystąpiło trzech. Wrócili do pawilonu głównym wejściem i nikt ich już nie zaczepiał. Sam miałem chętkę iść w ich ślady. Szykowało się ostre pałowanie. Komendant kazał nam wyskakiwać z ubrań i wracać na pawilon dębową alejką. Miał poczucie humoru. Już jeden taki dąbek wystarczył, żeby na plecach wyskoczyła niezła pręga, a co dopiero cała alejka. Każdy z nas mógł się wycofać i wrócić tak, jak tamci trzej, ale jakoś nikt już nie pękł.

Patrzyłem na szpaler i wiedziałem, co za chwilę się stanie. Słyszałem, że najgorszą rzeczą podczas takiego pałowanego biegu jest upadek. Zwalisz się, to oprócz pały zaliczasz jeszcze twarde buciory. Skupiłem się w sobie i przyrzekłem, że mnie coś takiego się nie przytrafi. Ruszyłem pierwszy. Kiedy wbiegłem pomiędzy gumowe pałki, napiąłem wszystkie mięśnie, żeby jak najmniej bolało. Gdy minąłem kilku atandziarzy, zdziwiłem się: nie poczułem bólu. Po trzech sekundach byłem już na schodach i przechodziłem obok komendanta. Z góry widziałem, jak złodzieje z mojego transportu biegną alejką i nikt ich nie tłucze.

PRZYDZIAŁ

– Umiesz gotować jajka?

To były pierwsze słowa jakie usłyszałem od naczelnika pawilonu. Stałem przed nim wyprostowany; nie, nie na baczność – w więzieniu nie musztrują według regulaminu wojskowego, wystarczy stać jako tako sprężysto i zameldować się: „obywatelu poruczniku, skazany Adam Ciechań melduje swoje przybycie”. Taką formułkę trzeba było wyrecytować, kiedy władza wzywała. Gdy ktoś sam chciał zobaczyć się z kimś na górze, musiał jeszcze dodać: „i prosi o wysłuchanie”.

Na łękach naczelnikiem był pułkownik, ale w tym kurniku widocznie wystarczył porucznik. Niższy stopień, mniej główkowania. Zresztą, co on tutaj miał do roboty? Siedział sobie w pokoiku naprzeciw dyżurki, wygodny fotel, biurko, szafa pancerna pełna jakichś papierów, trochę ponawijał ze złodziejami, postraszył ich albo naobiecował złote góry. Umiał gość zagadać, odkryć czuły punkt człowieka i rozbudzić nadzieję na szybkie wyjście. Położył nawet przede mną paczkę szlugów i powiedział, że mogę je sobie wziąć, ot tak, za nic. Znałem te sztuczki z komendy. Zgrywał dobrego tatusia, który pragnie mojego dobra. Obłaskawić, rozczulić, a wtedy nijak odmówić współpracy, chociaż takiej niewinnej, kilka zdań, nazwisk, przecież nic się nie stanie.

Umiałem gotować jajka i nawet przyrządzić co nieco. Byłem po zawodówce kucharskiej i pewnie mieli to zapisane w moich aktach. Co prawda, nie zdążyłem jeszcze złapać drygu w tym fachu, ale praktyki przez trzy lata po różnych knajpach

czegoś mnie tam nauczyły. Co to były za czasy? W szkole same dziewczyny, a nas, chłopaków, tylko pięciu. Było z czego wybierać, ale jakoś żadna mi nie leżała. Kucharki chyba z natury rzeczy niewiele mają w sobie prezencji. Za to na praktykach, w knajpach, jak spojrzano się na kelnerkę, od razu robiło się gorąco. I nawet chętne były. Jak się udało jakąś zbajerować i zamelinować gdzieś w magazynie, na worach z mąką, to nawet nie musiała się rozbierać. Zawsze chodziły w krótkich spódniczkach. Ale cóż, dobre czasy minęły. Teraz mogłem sobie pomarzyć.

Zaczynałem być w niezłym nastroju. Sądziłem, że to dobry znak, jeśli naczelnik pyta mnie o gary. Widziałem już siebie w kuchni. Każdy mówił, że najlepsza fucha w wojsku czy w kryminale, to robota na kuchni. Ciepło, bebecchy pełne i jeszcze można zahandlować. Tutaj też pewnie szfindlowali. Napatrzyłem się po kuchniach, jakie przekręty robiło się na żarciu. Życie nie było łatwe. W sklepach zawsze pustki, ze wszystkim trzeba było kombinować. Dawniej, na kuchni, jak tak czasem udało mi się podprowadzić kurczaka szefowi, na pniu go sprzedawałem i jeszcze człowiekowi się kłaniali, prosząc o więcej.

Na śledczaku ciągle chodziłem głodny. Szamka, że tylko rzygać. Modliłem się w duchu i czekałem, kiedy naczelnik powie, że od jutra idę pracować na kuchnię. Ale on ani myślał mnie rozpieszczać. Spytał mnie, czy grypsuję. „No to żegnaj, kuchnio” – pomyślałem. Jak chłopcy z atandy ganiali nas po placu, widziałem go dobrze, jak stał w oknie swojego pokoiku i przyglądał się. Nie mógł nie widzieć, którzy z nas się wyłamali.

Może chciał potwierdzenia, tak sam na sam, bo człowiek w grupie inaczej, a solo też na inną nutę. Sprawdzał, czy będę miał odwagę powiedzieć mu prosto w oczy, że należę do podkultury więziennej. Czasem to oni potrafili podkręcić jakiś bajer, który mi się podobał. „Odstąpić od ukarania, przywrócić społeczeństwu, podkultura więzienna, troska o skazanego i jego resocjalizacja”. Dobrze było mieć w zanadru takie powiedzonko i wyjechać z nim podczas rozmowy.

Powiedziałem mu, że grypsuję, a ten z drugiej strony.

– A czy na pewno wiesz, co to jest i jak się tym je?

Zaskoczył mnie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zauważył w jakim jestem stanie, ale nie dorzucił do ognia. Zostawił mnie na chwilę z moim zakłopotaniem i odwrócił się do okna. Nie miałem zielonego pojęcia, czym jest grypsowanie. Słyszałem o jakichś obowiązujących zasadach i przestrzeganiu ich, ale szczegóły były dla mnie dopiero przyszłością. Z urywków zdań, zasłyszanych rozmów, tydzień po tygodniu, świat, gdzie się grypsuje, odkrywał przede mną swoje tajemnice. Złodzieje myśleli, że jak się powie „grypsuję” – to już wiadomo, że taki ktoś musi wiedzieć, o co chodzi i znać zasady. Nikt mi nie tłumaczył, na czym to polega.

Naczelnik patrzył w okno, ziewał i powiedział, niby od niechcenia, że do kuchni się nie nadaję, bo jedzenie mogłoby przejść grypsowaniem i kto wie, czy poprawni więźniowie nie struli by się od tego.

– Zresztą na kuchni jest zbyt nudno – mamrotał – mam coś dla ciebie lepszego. Grypsujący, to ludzie twardzi i silni, i należy im się coś porządnego.

Nie miałem wówczas pojęcia, o czym mówi, ale pewnie nie szykował dla mnie miejsca w sanatorium. Wkrótce przekonałem się, że praca, do której mnie przydzielił, mocno wchodziła w kości.

Rozmowa była zakończona. Odmeldowałem się i wyszedłem z przydziałem do grupy polowej. Wróciłem do sali. Nie chciało mi się z nikim rozmawiać. Nawet gdyby była herbata, pewnie bym się nie napił. Usiadłem na ławie przy stole i zacząłem rysować kalendarz. Najpierw dwanaście prostokątów, potem znów dwanaście i na koniec taka sama porcja. Trzydzieści sześć prostokątów z małymi kwadratami wyglądało na kilku kartkach niezłe. Talentu do rysowania nie miałem, ale linie wyszły równe, cyfry były zgrabne i wcale nie kojarzyły się z trzyletnim wyrokiem, a raczej z jakąś łamigłówką. Najlepszy był moment, gdy za jednym zamachem odfajkowałem ponad setkę odsiedzianych dni. Śledczak był już odfajkowany, ale to tylko cztery miesiące, wiedziałem, że następne kwadraty nie będą znikać tak szybko.

Po obiedzie wezwali nasz transport do magazynu. Zgredzik, który wręczał nam w pierwszą noc lniane wory, siedział za wielką ladą, wpisywał nasze nazwiska do kartoteki i zaznaczał w nich, co każdemu z nas wydaje. Było tego trochę: mocno zniszczone i nie doprane drelichowe bluza i spodnie, gumowany płaszcz brezentowy – cały poprzecierany i gumofilce – w środku przepocone i wilgotne. Zgarnąłem te brudne szmaty z lady i zszedłem do podziemi. Widno nie było, ale jakoś trafiłem, gdzie trzeba. W szatni stały wieszaki pozbijane z surowych desek, niskie ławeczki, by można było

przycupnąć i zawiązać buty, mnóstwo jednakowych płaszczy, bluz, spodni, gumofilcy i wielkich czarnych roboczych butów, pozwiązanych w pary sznurowadłami. Cały ten złodziejski majdan roboczy wisiał na gwoździach powbijanych w deski. Wszystko ginęło w świetle słabych żółtawych żarówek, a smród potu, krowiego łajna i wilgoci był nie do wytrzymania. Zawiesiłem swoje rzeczy na wolnym gwoździu, gumofilce postawiłem na betonowej podłodze i wróciłem na górę.

Na wieczornym apelu klawisz wyczytał moje nazwisko. Zostałem przydzielony do grupy polowej w Chojnicach. Nic mi to oczywiście nie mówiło i nie skakałem ze szczęścia. Chociaż – czy cieszyłbym się z czegokolwiek? Deptałem lastrykowy korytarz, wypastowany i wypolerowany na połysk, wśród gromady złodziei i czułem, że nie powinienem tutaj być, że śnię zły sen i wcale nie jestem kryminalistą. A jednak było jak było. Nie znalazłem się na końcu Polski, w jakiejś zapadłej dziurze, przypadkiem. Przypomniałem sobie swoją pierwszą sprawę. Wyrok w zawieszeniu: aktywny dozór rodziców i raporty do kuratorium. Tak jakoś sędzia sformułował końcowy werdykt rozprawy. Zostałem nieletnim przestępcą, ale co to właściwie znaczyło? W ekspresjaku nie raz czytałem: tam kogoś napadli, ktoś kogoś zgwałcił, a jeszcze gdzie indziej dokonano zuchwałej kradzieży. Ludzie lubili sensacje, ale jakby stanął taki jeden z drugim oko w oko z bandziorem, zaraz narobili by w spodnie. Przestępca inaczej wygląda, jak się siedzi z gazetą w fotelu, a inaczej jak się na niego trafi. Tak naprawdę w gazetach połowę rzeczy wyciągali z powietrza. Lubili pisać: groźny, niebezpieczny, wielokrotny recydywista, albo że maniak. Nie czułem się kimś

takim i nawet wkoło siebie nie dostrzegałem żadnych zwyrodnialców. Pewnie i tacy istnieli, ale większość chłopaków, którzy dostali się za kraty, po prostu gdzieś tam po drodze pobłądziła. Nie chciałem nikogo usprawiedliwiać ale też nie chciałem słuchać podbarwionych, wyolbrzymionych historii. Więcej w nich było hysterii niż prawdy. Ludzie chyba z natury lubią wyszydząć innych i jak podczytają jakieś gazetowe dyrdymały, zaraz uderzają w szyderczy ton. Nie byłem ślepy. Widziałem, co się naokoło wyrabia. Wszyscy kombinowali, każdy coś ukradł: jeden kurczaka z kuchni, inny papier z biura, a jeszcze ktoś z fabryki część od traktora. Ale to była szara codzienność, o której nikt nie pisał, bo wszyscy o tym wiedzieli ale nikt głośno nie mówił.

Pierwsze przestępstwo, które popełniłem mając czternaście lat nazwali w sądzie niebezpieczne społecznie. Wlazłem do jakiejś starego domu i porzuciłem kilka rzeczy w pokojach. Dlaczego zostałem uznany za przestępcę, a to co zrobiłem, nazwali włamaniem? Dom stał w zapuszczonym ogrodzie, brudny, odrapany i wcale nie przyszło mi do głowy, że ktoś w nim mieszka. W podstawówce, często buszowałem w opuszczonych domach. Pełno było takich starych ruder w okolicy. Nikt w nich nie mieszkał. Niezłe zabawy urządzaliśmy z kolegami. Były to dla mnie prawdziwe wojny w bunkrach.

Do środka tego domu wszedłem przez okno od strony ogrodu. Sędzia pewnie wyobrażał sobie, że zaplanowałem skok, by się obłowić. Ale sprawa wyglądała inaczej. Po lekcjach, jak zwykle, wracałem z kolegami do domu. Droga prowadziła koło tego zapuszczonego ogrodu i zobaczyłem kilku chłopaków, jak

myszkują w krzakach i popatrują na dom. Wszedłem przez dziurę w siatce i dołączyłem do nich. Było nas chyba dwunastu. Któryś próbował otworzyć okno, ale nie bardzo mu to wychodziło. Byłem najsilniejszy z paczki. Złapałem za framugę i jednym mocnym szarpnięciem wyrwałem ją. Przetarłem drogę do środka, i to stanowiło dla sędziego dowód, że jestem prowodyrem i przywódcą.

Zamyśliłem się i nagle usłyszałem nad uchem czyjś wrzask:

– Spierdalaj do sali! Co, kurwa, ogłuchłeś? Już po apelu.

Ocknąłem się. Stałem sam na korytarzu. Apel się skończył, a obok wrzeszczał klawisz i poszturchiwał mnie kluczem. Wzruszyłem ramionami i wróciłem na salę.

Nie poszedłem się myć. Złożyłem bluzę i spodnie w kostkę, położyłem na taborecie i fiknąłem w kojo. Ułożyłem się na boku i próbowałem zasnąć. Złodzieje kręcili się jeszcze po sali. Sen nie przychodził. Wreszcie zaterkotał dzwonek na ciszę nocną. Ktoś zgasił światło. Podniosłem się i usiadłem po turecku. Na dworze już pociemniało. Wysokie latarnie, ustawione w rogach ogrodzenia, oświetlały dobrze plac przed pawilonem, wysoką siatkę, małą kwietną rabatkę, przed którą, na dwóch metalowych słupach, przymocowana była tablica, z napisem: „RZETELNA PRACA, WYSOKIE MORALE, MIARĄ WARTOŚCI CZŁOWIEKA”.

„Znowu jakieś dziadostwo” – pomyślałem. Na wolności co krok wyłaniały się skądś napisy o socjalistycznej pracy, o godziwym życiu, przewodniej roli partii, ale co mnie to obchodziło. Kto się martwił, czy rządzi partia, Ruscy,

Amerykanie czy Murzyni. W domu, u rodziny, czy u znajomków – wszędzie to samo. Każdy myślał, jakby tu najlepiej się urządzić, załatwić coś po znajomości. Dziadek mówił, że posmakował rządów Piłsudskiego, międzywojnia, okupacji niemieckiej i wszędzie było jednakowo. Zawsze myślał, jak zakombinować, załatwić materiał na budowę domu, kupić lepszy kawał chabaniny i dobrze wypić. Teraz, po wojnie, za komuny, to nawet lepiej mu się żyło. Chodził do roboty na osiem godzin. Był stolarzem na kolei. Wciąż coś wnosił z zakładu, chodził na fuchy, nie przepracowywał się, a na pół litra i zakąskę zawsze skołował. A jak się przemęczył, brał zwolnienie i wylegiwał się w wyrze.

– Trzeba żyć spokojnie i nikomu nie włożyć przed oczy – mówił. – Nie wychylać się, ale też nie na końcu.

Kiedy przeszedł na emeryturę, dostał nawet dodatek kombatancki za to, że był na wojnie. Podnosił czasem koszulę i pokazywał mi blizny, mówiąc:

– To po szrapnelu.

Na imieniny przyjeżdżało do niego trochę rodziny. Najlepszy był jego brat. Jak już sobie podpili, zaraz się kłócili. Wujek wykrzykiwał i wyzywał dziadka od durni, że ten tylko o Niemcach, o okupacji, a dlaczego nie mówi, że Rusczy trzymają nas pod butem, a w Katyniu wymordowali naszych najlepszych. Nie miałem pojęcia, o co ta cała zadyma i który z nich ma rację. Dziadek bronił się i wyszydzał brata. Mówił, że to plotki i wciąż powtarzał:

– Stawiają ludzi pod ścianą i strzelają? Widziałeś szubienicę na ulicach, albo wisielca na latarni?

Dzwonek budził szybko. Zsunąłem się z koi i poszedłem się obmyć. W gębie miałem jak w trampku. Przez cały wczorajszy dzień nie szorowałem zębów. Zabrałem szczoteczkę, pastę i zaspany poczłapałem do łazienki. Gdy wszedłem, coś mi nie grało. Po prawej stronie złodzieje tłoczyli się przy kranach i jeden drugiego poganiał. „Ruchy, ruchy, ruchy” – darli japska. Po lewej zaś stało dwóch i spokojnie się domywali. W pierwszej chwili chciałem podejść do wolnego kranu, ale w porę zorientowałem się, że po lewej to frajerzy – nie grypsujący. „A więc o to biega” – zrozumiałem wreszcie. Jak kolacja, to nie grypsujący przy jednym blacie, a my przy drugim. W obiad to samo. Dobrze, że w bardachu można było się odlać, gdzie kto miał ochotę. Co to był za układ? Niby frajerzy byli od grypsujących gorsi, ale żyło im się wygodniej. Przy kranach luźno, na stołówce, przy śniadaniu i obiedzie, też nie musieli się tłoczyć, lżejsza praca i jeszcze wypuszczali ich wcześniej na wolność. Mimo wszystko nie zamieniłbym się. Robić z siebie padalca i nadstawiać dupy dla korzyści? Jakoś nie było jak tego połączyć.

Stołówka jak wszędzie. Trochę stolików, krzesel, dwa okienka, jedno do wydawania żarcia, drugie do brudnych platerów. Po prawej rząd stołów dla grypsujących, po lewej dla frajerów. Kiedy jadłem moje pierwsze śniadanie, zastanawiało mnie, w jaki sposób pomywacz rozróżniał michy dla grypsujących. Na sali człowiek nie mógł wziąć nawet noża od nie grypsującego, bo by się przestrelił, a wtedy co gorliwsi kręciliby aferę. A przecież nóż przy michach to małe piwo.

Chciałem sprawdzić, czy się nie mylę, bo może naprawdę ktoś tam sortował platery. Ale gdzie tam. Pomywacz zgarniał wszystko, co stało na okienku, kładł jedno na drugim i wsadzał do wielkiego zlewu z wodą. Nie dzieliłem się z nikim wątpliwościami. Czasem pewnie można było przymknąć oko na niektóre niedogodności.

Prawie codziennie na śniadanie dawali mleczną zupę i połówkę czarnego chleba. Tak przynajmniej się to nazywało. Więcej wody jak mleka, a jak człowiek miał szczęście, to trafił na jakąś kluskę, albo grudkę płatków owsianych. Można to było raczej nazwać kubkiem mlecznego napoju. Raz, jak któryś z grypsujących zapytał, dlaczego takie wodniste, kucharz odburknął, że leją wodę, żeby się mleko nie przypaliło. Chłopaczyna był nerwowy i wypłacił garkotłukowi blachę przez okienko. A kiedy ten zwałił się na podłogę, dorzucił jeszcze:

– Jaja sobie polewaj wodą, żeby ci się nie zapiekły.

Kucharz szybko poleciał na dyżurkę i naskarżył na chłopaka. Na drugi dzień złodziej stanął do raportu i dostał czternaście dni dech, a kiedy je odkładał zaraz poleciał w transport na karniak i tyle nacieszył się ozetem. Straszili go jeszcze, że wykręcą mu sprawę za pobicie, ale jakoś nic z tego nie wyszło.

Pół chleba to dużo i owszem, ale musiało starczyć na cały dzień: porcja na śniadanie, do tyrki i jeszcze na kolację. Na początku zjadałem wszystko rano i wcale nie czułem ciężaru w żołądku. Szybko jednak nauczyłem się dzielić pagaja na trzy, a jak już nabrałem wprawy, do całej połówki podjeżdżałem dopiero na kolację. Co za radość! Wieczorem człowiek nie

myślał już o robocie, klawisze zazwyczaj o tej porze byli w gorszej formie i mniej gonili. Złodzieje zbierają się do spania o głodzie, a tutaj na blacie moje kromale z maryską albo ze smalcem i w dodatku cały ich stos! Każdy złodziej to kałmuk i chart na żarcie. Przeważnie wszystko wtrąbia na śniadanie. Potem niejeden patrzył na moją wyżerę i przetykał ślinę. Błogo zasypiało się z pełnym żołądkiem.

Po śniadaniu poszedłem do szatni i chciałem się przebrać, ale gwóźdź, na którym powiesiłem swoje ciuchy, był pusty.

– Co, do kurwy nędzy – powiedziałem głośno. – To jeszcze w puszcze kroją?!

– Bierz, co jest, i tak swojego nie znajdziesz – usłyszałem głos z drugiego końca szatni.

Co miałem brać? Myślałem, że rzeczy, które wczoraj dostałem, to szajs nadający do wywalenia; teraz jednak zmieniłem zdanie. Tu i tam wisało coś podobnego do ubrania i stały jakieś porozdzierane buty. Tylko nie wiedziałem jak miałbym się w to przebrać. Wszystko wilgotne i śmierdziało, jakby to była ściera do kibla. Dałem sobie spokój i wyszedłem przed pawilon nie przebrany.

Złodzieje stali już w grupach. Klawisz z rannej zmiany przy głównym wejściu wyczytywał nazwiska z książki, która leżała na pulpicie.

– Popławski!

– Stanisław, Ignacy. Dwudziesty drugi trzeci sześćdziesiąty – wykrzykiwał złodziej swoje imię, imię ojca i datę urodzenia.

Jak z nowym transportem przyjeżdżał ktoś z artykułem za gwałt, klawisz wymagali od niego, żeby do swoich danych dopowiadał, za co siedzi, a kiedy ten, po dacie urodzenia, mówił, że z artykułu sto sześćdziesiąt osiem, zaczynała się szopka. Klawisz udawał, że nie bardzo się zna na kodeksie, bo na zadupiu krucho z książkami i że trzeba mu wyjaśnić po polsku, zwyczajnie. Gwałtciciel wstydził się, kręcił kinolem, ale mówił, że za gwałt.

– Jak to za gwałt? – udawał klawisz zdziwienie i była to chyba jedyna chwila w życiu ozetu, kiedy złodzieje i klawisz stawali się sobie bliscy.

– Ruchałeś na siłę?! Jak się dostaniesz na chlewnię, będziesz mógł podymać bez wysiłku.

Złodzieje pękali ze śmiechu. Klawisz udawał powagę, ale widać było, że ledwie może się wstrzymać, by nie dołączyć do setki bandziorów.

Przyszła kolej i na mnie. Stałem na samym końcu szpaleru. Jak już wyrecytowałem swoje dane, klawisz pokazał mi, gdzie mam dołączyć, ale za chwilę kazał mi stanąć i krzyknął:

– Co, do kościoła się wybierasz?

Wiedziałem, o co mu chodzi. Tłumaczyłem, że ktoś skubnął mi rzeczy, ale ten nie chciał słuchać. Powiedział, że na wolności to tak, może coś i ginie, lecz w kryminale nie ma takiej możliwości. Dał mi dwie minuty na przebranie. Wróciłem biegiem do szatni i wcisnąłem na siebie pierwsze lepsze szmaty. Po minucie byłem z powrotem i dołączyłem do swojej grupy. Za ogrodzeniem rozległ się terkot silnika.

– Paryska jedzie – ktoś krzyknął.

Z drogi, w stronę pawilonu, skręcał traktor z podczepioną przyczepą autobusową.

– Polówka z Chojnic, przygotować się do wyjścia!

Zza traktora wyłonił się klawisz w moro, podszedł do nas, policzył i kazał wsiadać do przyczepy. Sam wszedł na schody, patrzył przez chwile w księgę, pokwitował nasz odbiór, wrócił i wcisnął się do szoferki obok traktorzysty.

Było nas dwudziestu pięciu. Bardziej doświadczeni złodzieje biegiem ruszyli do paryskiej. Zajmowali lepsze miejsca. Przyczepa była stara, odrapana i śmierdziała w niej jak w oborze. Siedzenia pocięte z wystającymi sprężynami, wszystko zdezelowane, wzięte chyba ze złomu. Kiedy zaczęliśmy podskakiwać na wybojach, zapytałem jednego ze złodziei, dlaczego to pudło nazywa się Paryska. Zaśmiał się i powiedział:

– Bo jedziemy do Paryża.

W przyczepie rozległ się rechot. Niektórzy powyciągali fajki i zaczęli palić, ale nie tak oficjalnie, jak w kawiarni, z rozwalonymi nogami. Kulili się za oparciami siedzeń, żeby nie zauważył ich klawisz.

– Gdzie? – spytałem udając zdziwienie.

– Do Paryża, kureska twa mać. Potańczysz z kurwami, co latają bez gaci. Jedziesz na pigalak.

Jeszcze głośniej zaczęli się śmiać. Nabijali się ze mnie. Miałem ochotę niejednemu dać w zęby. Takie gadki jeżą, ale z drugiej strony, jak pomyślałem, wszędzie są starzy wyjadacze, którym wydaje się, że robią durni z nowych. Odpuściłem. Po co na samym początku szukać zadymy. Lepiej udawać naiwniaka. Jak człowiek da odczuć drugiemu, że jest od niego głupszy i

szuka pomocy, od razu znajdzie przyjaciela. Jeden mądrała z drugim wczuwa się zaraz w rolę i wydaje mu się, że jest figurą. Myśleli, że są kozakami, tylko tak naprawdę było na odwrót.

– Kopiec mówił co innego – udawałem zagubionego.

– Naczelnik? Ten stary chuj? On zawsze wciska kit. Naopowiadał ci pewnie, że jak będziesz dobrze pracował, to dostaniesz warunek. Ale w pegeerze nie da się dobrze pracować. Zresztą sam lukniesz. Co ci będę pierdolił. Masz, zajaraj. Pewnie masz przekręt z machorą?

Wzięłem szluga i odjarałem. Rzeczywiście, cienko było z fajkami. Dawno nie paliłem. Zaciągnąłem się i aż głowa odskoczyła do tyłu. Świat od razu wydał się weselszy. Smakowałem dym i patrzyłem przez okno. Nigdzie żadnych domów. Wszędzie góry porośnięte trawą, krzaki i drzewa. Droga, taka zwyczajna, bez asfaltu, pełna wybojów i kurzu. W Paryskiej sami złodzieje. Nikt nas nie pilnował, ale i teraz nikt jakoś nie chciał uciekać. Pustkowie. Nagle widok się zmienił. Zobaczyłem stodoły, garaże i rozdeptany, błotny plac, po którym łążyły krowy.

– Jesteśmy na miejscu? – zapytałem.

– Jeszcze nie. To pegeer Fiksa.

Ktoś mi jeszcze coś mówił, ale już nie słuchałem. Patrzyłem w okno i znów się czułem, jakbym był u ciotki na wsi. Traktor ciągnął Paryską powoli.

Wreszcie zobaczyłem cywila. Przez ostatnie miesiące oglądałem tylko więzienne gajerki i granatowe mundury klawiszy. Nie byłem pewien, czy to jest naprawdę wolnościacha. Widok nie ucieszył. Facet wystrojony w stary drelich i

postrzępioną watówkę, ubabraną zaschniętym gnojem, wyglądał jeszcze gorzej ode mnie. Włosy skołtunione, zarośnięty, jak jakiś dziki człowiek z lasu. Nigdy bym nie uwierzył, że spotkam w życiu gościa, który wygląda jak rozbójnik z bajki. Wszystko wydało mi się nieprawdziwe. Czułem się dziwnie, jakby ktoś rozwalił mnie na trzy kawały. Zabłocony pegeer Fiksa nakładał się na wspomnienia z wolności, gdzie hulałem i żyłem beztrosko, i nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie dreszcz, który wlał mi w kości, jak zobaczyłem wewnątrz siebie jeszcze kogoś. Obserwowałem, wspominałem i wszystko było glans, lecz teraz świat wydał mi się odmieniony. Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem: w swoich myślach, w Paryskiej, czy też w parku z kumplami przy butelce wina? Aż zakręciło mi się w głowie.

Papieros wypalił się już prawie cały i przyjarał mi usta. Ból poskładał mnie do kupy i znów siedziałem w Paryskiej. Oderwałem dyńkę od szyby i opadłem bezwładnie na oparcie. Chyba nikt nie zauważył, co się ze mną działo? Kogo zresztą obchodziły moje sprawy? Każdy zajęty własnym główkowaniem, starał się żyć na swoje kopyto, a cudze problemy miał gdzieś. Wszyscy liczyli, ile zostało dni do wyjścia. Ale po co im wolność? Złodzieje sami montowali sobie podpuchy i kombinowali, że w kryminale jest inaczej – tak mi się przynajmniej zdawało. Im częściej porównywałem więzienie z życiem na zewnątrz, tym mniej widziałem między nimi różnic. Zaczynało mnie to wkurzać.

„Co jest grane?” – warczałem na siebie. – „Miałem bujać się dożywotnio z napisem na marynarce „Zakład Karny”? Skoro

tu i tam jednakowo, po co się wysilać? Klapnąć na tyłku, siedzieć, a na końcu zdechnąć jak pies pod płotem i nikt niczego nie zauważy. Wciąż tylko: ale bym wypił mocnego czaju, zajarał, przekimał, bo zmęczony, a ten to frajer, tamten palant. Marzyło mi się, żeby ktoś zapytał: „A jak tam dzisiaj?” „Czy mógłbym w czymś pomóc?” Akurat, mogłem jedynie marzyć. Na wolności ludzie też biegali ciągle za swoimi sprawami; czy któryś spojrzał na drugiego? I wciąż w tym zabieganiu, mało tego, że sąsiad czy rodzina znikali z przed oczu, to jeszcze ludzie przestawali zauważać samych siebie i wciąż rozprawiali o lepszym jutrze. Złodziej też truł jak połamaniec: „Jak wyskoczę, dopiero będzie kozackie życie”. Akurat. Jeśli od razu nie zaczął, to nigdy nie zacznie.

Wreszcie dojeżdżaliśmy. Wzdłuż drogi, po prawej, jak patrzeć w kierunku jazdy, stało kilka domów. Nieduże, z dwuspadowymi, ostrymi dachami i zadbanymi ogródkami robiły wrażenie. Nawet niezłe chaty. Z lewej zaczęły się wyłaniać ogromniaste stodoły, obory, jakieś budynki i coś tam jeszcze, ale kto by to nazwał. Jak zorganizować robotę na praktykach w kuchni albo ugotować zupę wiedziałam jak się urządzić i co jak się nazywa. Tutaj jednak, gdzie człowiek spojrzał, same nowości, a jak się nie wie, to trzeba wprawy.

Traktor zatrzymał się przed garażami. Wyskoczyłem za innymi. Klawisz zdążył wygramolić się z szoferki, podszedł do nas i od razu z rozkazami: „W dwuszeregu, odliczyć, wyrównać, nie gadać”. Chciałoby się wypłacić blachę takiemu, żeby nie mamrotał. Co to za mania, żeby tak wciąż drzeć japę?

Staliśmy na wybetonowanym placu, przed wielkimi

wrotami. Gdy patrzyłem z Paryskiej, wszystko wydawało się jakieś mniejsze, a teraz, z parteru, urosło. Nie opodał stało kilku cywili. Jeden z nich, postawny, z czarną czupryną poprzetykaną siwizną, podszedł do klawisza, podał mu rękę i spytał:

– Ilu dzisiaj?

– Dwudziestu pięciu.

– Co to, nowa dostawa? – ze śmiechem dopytywał się dalej.

Klawiszowi widać spodobały się słowa cywila. Przetarł wąs i znów zaczął mędrkować:

– Tylko uważaj, chłopaki, kurwa, przyjechali z Główna.

Daj im widły z bezszęcznymi trzonkami, żeby sobie nie pojebali odcisków.

Cywile buchnęli śmiechem. Trzęśli przez chwilę kałdunami, ale gdy czarnowłosa odezwał się, ucichli jak na komendę.

– Czygiert, przynieś widły.

Był chyba tutaj jakimś kierownikiem. Widać miał postuch i umiał rozkazywać, ale nie tak, jak klawisze. Gdy któryś z naszych opiekunów odezwał się, zaraz załatywało bluzgami, a u tego można było usłyszeć trochę ciepła, zupełnie tak jakbym rozmawiał ze swoją babką.

Czygiert spojrział na niego i powiedział:

– Dobra, panie brygadzisto – odwrócił się, otworzył drzwi, za chwilę wyniósł dwie pary widel i krzyknął:

– Choć tu który, kurwa mać. Sam przecie nie wezmę na raz piętnastu par.

Jeden ze złodziei wszedł za Czygiertem. Wystawiali widły

przed budynek i opierali je o ścianę.

Tymczasem brygadzysta ustawiał ludzi do roboty. Kilku wysłał na obory, jednego do koni, a reszta widły w łapska i na stok. Coś mi się zdawało, że klawisz miał rację, gdy mówił o odciskach. Nie czekałem na czyjś rozkaz. Podeszedłem do kupy widet, wybrałem co lepsze i zadowolony chciałem wrócić na miejsce, ale trafiłem na przeszkodę. Przede mną stanął złodziej i wyjeżdża z pretensjami:

– Te są moje. Spierdalaj.

Poniosło mnie. Chciałem trzepnąć go w ramię, albo wypłacić blachę w czoło, i zapytać, gdzie moje robocze buty, płaszcz i cała reszta, ale jakoś w ostatniej chwili odtajalem w środku nie wiadomo dlaczego i odpuściłem. Oddałem mu widły. Poczekalem, aż wszyscy wybiorą coś dla siebie. Dzień nie zaczął się najlepiej. Najpierw ciuchy, a potem krzywe stylisko z sękami.

Poszliśmy za brygadzystą. Klawisz nas nie upominał, żeby któremuś czasem zachciało się uciekać. Poszedł w stronę domków i do końca roboty już go nie widziałem.

Droga za pegeerem spadała w dół, wrzynała się w strumień i to był jej koniec. Później zaczynały się łąki. Po kamieniach przeszliśmy na drugą stronę wody i przez jakieś dziesięć minut maszerowaliśmy pod górę. Pachniało ściętą, podeschtą trawą. Ładnie tu było. Nawet skowronek gdzieś tam w górze trelował. Brygadzysta wziął od jednego z nas widły, podeszedł do ściętego rzędu trawy i zaczął go roztrzasać. Zbite zielsko rozsypywało się po łące.

– Tak ma to wyglądać – mówił. – Jak przetrząsniecie całe

pole, macie fajrant. Gdyby który czegoś nie wiedział, niech pyta Fareckiego.

„Jakie pole?” – pomyślałem. To jakieś bezkresne hektary z nieskończonymi rzędami ściętej trawy, które ginęły za wzniesieniem, a kiedy spojrzałem dalej, pokosy wciąż się pojawiały i nie było widać ich końca. Nie chciało mi się wierzyć, że doczekam dzisiaj fajrantu. Może wieczorem?

Najgorzej jest zacząć. Tylko mnie się nawet zaczynać nie chciało. Kij od wideł jakoś nie leżał. Skóra wydelikatniała przez ostatnie miesiące, jak urzędasowi za biurkiem. Robota niby łatwa, ale wszystko zniechęcało: powyginane widły, przekręt ze szlugami, no i robota za darmo. Trawa aż się prosiła, żeby przygnieść ją cielskiem, zapalić papierosa, pobajerować i gapić się w chmury. Tylko skąd tu wziąć choćby parę ziarenek machory? Nie miałem co liczyć, że któryś złodziej wyskoczy z pakulcem i zacznie częstować. W więzieniu nikt nie rozdaje szlugów za darmo. Towar deficytowy, ciągły przekręt. Papieros i herbata w kryminale to jak kasa na wolności. Jak ktoś ma karton fajek i parę przegubów czaju, to jest gość. Każdy się uśmiecha, zapyta, jak tam zdrowie, a może pomóc, ogolić, przynieść coś. Wszystko czego dusza zapragnie. A jak człowiek goły, nikt pierwszy nie powie nawet siemanko. Zastanawiałem się, dlaczego tak jest. Nawet babcia, kiedy czasem dałem się namówić, czytała, że ten, co ma, będzie mu dodane. Na prosty rozum to sprawiedliwie by było, gdyby wszyscy mieli po równo. Nikt nikomu wtedy nie zazdrości, nie zagląda do cudzego gara i nie wchodzi po palcu do dupy. Dałem jednak spokój kadzeniu. Głowa zaczęła mnie boleć. Jak na jeden dzień i tak za dużo

miałem główkowania. Niech mądrzejsi szukają odpowiedzi. Zresztą mój czas na myślenie się skończył. Obok stał Farecki i wykrzykiwał:

– Coś, kurwa, do sanatorium przyjechał? Widły w łapy i zapierdalaj.

Zdębiałem. Najpierw wrzeszczał, żeby oddać mu widły, a teraz pogania, jak klawisz.

– Chory jesteś? – zapytałem. – Może ci trzeba czegoś sztywnego do dupy?

Farecki strefił. Szczeka mu trochę polatała, odwrócił się i zaczął przetrząsać trawę.

– Posuwaj bracie – odezwał się złodziej z rzędu po lewej. – Jestem tu już parę miechów. Na fajrant Farecki jak nic nada cię do Kołtuna i kwit masz nie wyjęty. Kutas pracuje na wokandę.

– Grypsujesz? – zapytałem. Nie wiedziałem, czy znowu nie trafiłem na kogoś, kto poleci zaraz na skargę. Kiwnął głową i powiedział, że ma na imię Andrzej. Miałem ochotę wypłacić mu blachę, bo jak grypsował, to dlaczego trzymał cicho gębę? I co z tego, że Andrzej?

Co tu się dzieje? Mam bać się kwitu i pozwalać żeby jakiś pajac cwaniakował, a ja nic? Miałem gdzieś kwity! Jak żyć to żyć, a nie latać jak szczur po dziurach. Teraz zrozumiałem, dlaczego kilku klawiszy może utrzymać w ryzach bandę skazanych. Ludzie sami siebie pilnują. Wystarczy dobry bajer, wizja, że prawdziwe życie zacznie się dopiero po warunkowym zwolnieniu, zachęta i wszystko się toczy jak po maśle. Z jednej strony klawisz Kołtun, z drugiej wcześniejszy skok do domciu,

a z trzeciej Farecki i inni. Koło się zamknęło. To była pierwsza lekcja, która nauczyła mnie, że różnicy między mną a nie grypsującym w ogóle nie ma. Ważne kto jaki był wewnątrz siebie a nie jak się nazywał.

Chwyciłem mocno za widły i zacząłem przetrząsać trawę. Właściwie nie było tak strasznie, mogłem trafić gorzej. Szedłem powoli stokiem, wywijając widełkami, majowe słońce świeciło nad głową, ptaki, owady i jeszcze jakieś tam duperele, o których piszą w książkach wrażliwi na wdzięki natury. Mimo tego piękna wolałbym, przebywać na innym łonie niż natury. Nic mnie nie obchodziły piękne widoki. Dyskoteka, kameralne spotkanie w dwie albo trzy pary z butelką wina, to był mój żywioł i tam czułem się dobrze. Jak siedziałem z kumplami w parku na zwalonym pniaku, przy butelce wina, też oglądałem niebo, ptaki, tylko widoki wolnościowe były jakby ładniejsze, chyba dlatego, że doprawione mocnym dymem i chłodnym trunkiem. Jak sobie wspominałem dawne czasy, wściekłość mnie brała. Miałem ochotę wrócić i przyłożyć Fareckiemu widłami, żeby ulżyło. Ale co? Ruszyć gościa i dostać za niego jeszcze dwa lata? Wystarczyło mi moich trzech!

Gadanie z samym sobą niczego nie zmieniało, rozdrażniało mnie tylko coraz bardziej. Wziąłem się porządnie do roboty. Trawa fruwała jak siemasz. Szedłem krok po kroku i nie zauważyłem nawet, jak wyprzedziłem wszystkich. Ktoś za mną krzyknął:

– Co, na wokandę pracujesz?

– Spadaj! – krzyknąłem. Chciałem się zmęczyć i to tak, żeby ból wlał aż do jaj i żeby nic, prócz niego, mnie nie

męczyło. Nie spostrzegłem, a już stałem na końcu pokosu. Wziąłem się za drugi i tak wciąż, do fajrantu, aż zjawił się brygadzysta z Kołtunem.

– Coś widać, że ci z Główna to nie takie lenie – zaczął brygadzysta.

Patrzył i nie mógł się nadziwić, że nie widzi rzędów pokosu, a równe pole zasłane rozsypaną trawą.

Sam nie mogłem uwierzyć. Wszyscy porządnie wywijali widłami. Może głupio im było, że ja posuwam do przodu bez ustanku, a oni zostają w tyle? Nikt nie lubi być ostatni. A może czuli ból podobny do mojego i nie chcąc myśleć, że stali się wszarzami, zasuwali bez wytchnienia?

– To chyba jakieś pochwały trzeba by im wpisać – znów odezwał się brygadzysta.

Kołtun wzruszył ramionami, cmoknął i powiedział:

– Zobaczmy. Po co się śpieszyć? Pierwszy dzień są w polu. Machnął na nas ręką i krzyknął:

– Wracamy!

Dopiero teraz poczułem zmęczenie. Wystarczyło kilka minut bez roboty, a ciało ostygło, zapadło się i dalej ani rusz. Łapska piekły jak cholera, że nijak było trzymać widły, stopy paliły niemiłosiernie, ale nastrój miałem i to całkiem niezły. Myślałem, że zaraz wrócę na pawilon, zdejmę śmierdzące buty, coś przetrączę i odznaczę następny kwadracik w kalendarzu: obiad zjedzony, dzień zaliczony.

Nareszcie odwrót. Zeszliśmy ze stoku, potem wrota przy garażu, miejsce w Paryskiej i jazda przez wyboistą drogę. Gdy gnaty bolą i człowiek przez pół dnia marzy, żeby się rozwalić i

odpocząć, to cielsko ma gdzieś niewygodę. Zniknęły sprężyny fotela, dziury i pocięty skaj w przyczepie. Siedziałem z zamkniętymi oczami i czułem, jak cały paruję. Gdy już trochę odtęchłem, pomyślałem o żarciu. Poranna, wodna zupka dawno już wyparowała, a wiosenne słońce wyciągnęło ze mnie całą wilgoć.

Moje ciuchy wisały tam, gdzie je zostawiłem rano. Usiadłem na ławeczce i zacząłem się wolno przebierać. Poczekiałem, aż wszyscy pójdą na górę, a kiedy było już pusto, wyszukałem jak najlepsze drelichy, wsunąłem je w szmaty, w których dzisiaj pracowałem i powiesiłem tak, żeby było widać co gorsze kawałki. Nie miałem zamiaru znów bujać się z samego rana i myśleć, w czym pojedę do pegeeru.

Zadowolony poszedłem do łazienki, umyłem ręce i na stołówkę. Przy okienku kolejka była już długa, ale stoliki wolne. Dobrze, że wszyscy na raz nie schodzili z tyrki. Jakby tak stu chłopów weszło na raz do tej małej salki, trzeba by chyba jeść jak na dworcu, na stojąco. Jedne grupy były już po obiedzie, oborówki od Fiksa poszły na drugą zmianę, a my dopiero zabieraliśmy się za wiostowanie. Stałem na końcu. Nie zdążyłem odebrać zupy, a złodzieje, ci bardziej obcykani w układach, zaliczyli już pierwszą zupę i ustawiali się ponownie. Szybkość była gwarancją dolewki. Co za widok! Chłopaki wypijali raczej z michy zupę, niż ją jedli. Najczęściej dokładkę dostawało tylko dwóch pierwszych. Ten nachalny pośpiech nie bardzo mi przypadł do gustu, ale czas zmienił moje spojrzenie. Po kilku tygodniach na ozecie, kiedy żołąd skwierczał dzień po dniu, jak skwarki na patelni, stałem się najlepszy w dokładkach.

Opracowałem metodę, która sprawdzała się bez pudła. Jeśli stanąłem pierwszy w kolejce po obiad, sprawa była przesądzona. Pomysł był prosty. Idąc do stolika traciło się cenne sekundy na dojście, siadanie, podnoszenie łyżki. Więc z marszu, z michą w rękę, przechodziłem od razu z początku na koniec kolejki i przesuwałem się krok po kroku w stronę okienka wypijając zupę. Nie musiałem wcale się tak spieszyć i martwić, czy mnie ktoś uprzedzi. Jak już pierwszy z grupy dostałem zupę, nie było mowy, żeby mnie ktoś ubiegł.

Dwie michy to było już coś. Żołądek się rozpychał, nie ssał, tak że przy drugim daniu można było porozkoszować się smakiem. Raz wskoczyłem na kucharza, kiedy nakładał kartofle i kaszankę na plater. Strasznie cieniował. Wyciągał z gara drewnianą łopatką porządną porcję kartofli, ale na talerz nie zrzucał wszystkiego, tylko przycierał tak zręcznie o rant aluminiowego platera, że połowa spadała na powrót do gara. Zajeżył mnie.

– Co tak cieniujesz? – zapytałem trochę z humorem, tak żeby z nim za bardzo nie zadrzeć, bo wtedy żegnajcie dolewki.

Z kucharzem nie ma co podskakiwać. Trafi się jakiś mściwy egzemplarz, to dokąd będzie kucharzył, co gęstsze odcedzi, a da samą wodę.

Nic mi nie odpowiedział. Nakładał następne porcje, jak gdyby nigdy nic. Na drugi dzień, kiedy nasza sala miała dyżur przy obieraniu kartofli, zjawił się w piwnicy. Chwilę postął, popatrzył i odezwał się:

– Wiesz teraz dlaczego nakładam małe porcje?

„O co mu chodzi?” – pomyślałem i spojrzałem

zdziwiony.

– Spójrz, jak grubo obieracie, a co gorszy ziemniak odrzucacie w obierzyny.

Miał rację. Nie zdążyłem przyjrzeć się łupinom, a już zniknął. Coś jednak nie grało. Po chwili zrozumiałem, że kucharz mówił innym językiem. Nie kurwował. Słowa jakoś tak gładko wychodziły mu z gardła, zupełnie jakbym słyszał profesora w szkole.

– Co to za jeden? – zapytałem.

– Jechowiec. Nie wpierdala kaszanki.

– Siedzi za wojsko.

Atmosfera od razu się poprawiła. Zaczęliśmy rechotać. Żeby nie gubić wątku dorzuciłem:

– To krwi w kaszance nie może zjadać i przez to ma kołpoty z babkami.

– A po co mu babki? Oni i tak przed ślubem nie mogą se pojebać.

– No to skórą może ruszyć – zasuwał już jeden przez drugiego.

– Pierdolnięty jesteś. Bez żony to oni mogą, ale tylko w nocy, kiedy śpią. Wtedy Pan Bóg ich rozgrzesza. Ręka masuje bez woli. Nie ma grzechu.

Wszyscy ryknęliśmy śmiechem. Obieranie poszło teraz szybko. Kartofle wpadały do gara z pluskiem i nim się spostrzegliśmy, było po robocie.

GRYPSOWANIE

Nikt mi nie mówił, kto szpaci na ozecie, a jednak instynkt mnie nie mylił. Bezbłędnie odgadłem, że Michał jest tu pierwszy i ma najwięcej do powiedzenia. Gdzieś tak po dwóch tygodniach od przyjazdu zawołał kilku chłopaków z naszego transportu na bajerę. Zdążyłem się już przyzwyczaić do chodzenia z sali do sali. Na początku jakoś tak z nawyku nie ruszałem się z miejsca. Zdawało mi się, że nadal jestem pod celą na śledczaku i tylko zgrzyt zamka podrywał mnie na nogi i zmuszał do ruchu.

Sale na całym pawilonie wyglądały jednakowo. Jak równość to równość. Administracja tak wymyśliła i złodziej nie miał prawa niczego zmieniać. Zresztą po co? Jak by tak każdy urządzał się na własne kopyto, zaraz zaczęłyby się porównywanka. Tam ładniej, tu gorzej, zazdrość, a na końcu mordobicie. I tak było pełno powodów, dla których niejeden miał chęć utopić drugiego w bardachu. Odstęp od normy, a zaraz znajdą się tacy, co będą skurwysyńsko zezować. Taki Kazik na przykład. Na wolności był krawcem. Jak dostał więzienny gajerek, zaraz go zaczął przerabiać, dopasowywać do swoich gnatów i wyszedł z tego całkiem niegłupi przyodziew. Inni też zaraz chcieli mieć podobne, ale to kosztowało. Niedrogo, ramka szlągów, parę szufladek herbaty, albo coś z szamki. Nie każdy miał, a zazdrość brała. Zakapowali chłopaczną do naczelnika, że kombinuje. Zabrali mu wypiskę na trzy miesiące. Dobry był z niego złodziej. Nie grypsował, ale trzymał się porządnie. Czasem żał było patrzeć, jak sam siedzi w kącie i je kolację. No bo ani

przy blacie z grypsującymi, ani z frajerami. Wywinął jakiś numer, ale dokładnie nikt nie wiedział, co i jak. Poprzedni szpąciciel zabronił mu grypsować, poleciał w transport, a Paweł nie bardzo chciał go podnieść na grypsującego, bo nie znał sprawy. Schować do wora łatwo, ale skiciorować trudniej. Trochę śmiesznie brzmiało, jak podnosili do grypsowania jakiegoś chłopaka. Padała wtedy formułka: „W kicior co do ciebie” i z nie grypsującego robił się człowieczyna w porządku. Zupełnie jak czarodziejskie zaklęcie.

Żelazne, dwupiętrowe łóżka stały w rzędzie pod oknem. Niezła była z nimi robota. Po zasłaniu musiały wyglądać jak spodnie wyprasowane do kantu. Prześcieradło wywinęte na brzegi koca, poduszka wyrównana, w nogach czyściutka platerka złożona w trójkąt i żadnych zmarszczek czy dołów. Jak złodziej pościelił na wariata, po powrocie z tyrki miał kwit i rozbebeszone kojo do spodu.

Na ścianie, po lewej i prawej stronie od wejścia, wisały szafki na żarcie i osobiste rzeczy. Tylko to było takie gadanie. W kryminale nie ma niczego prywatnego. Rzeczy osobiste? Owszem, ale jedynie jak złodziej potrafił sobie wyobrazić. Pierwszy lepszy mundurowy, kiedy miał ochotę, mógł przewiskać szafkę, uznać cokolwiek za trefne i zrobić z tym co chciał. Ale mało tego. Niejeden, jak wrócił z roboty, a trzymał fajki w szafce, nie zobaczył ich już nigdy. Złodziej złodziejowi podprowadzał, co się dało.

Nad drzwiami wisi głośnik radiowęzła, popularna betoniara. Tutaj, na ozecie, można było nawet czasem posłuchać porządnej muzyki. Na śledczaku puszczały tylko

pierwszy program i słuchowiska. Rzygać się chciało od ciągłego słuchania wiadomości i jakichś porąbanych pogadanek. I żeby chociaż mówili o różnych rzeczach, ale nie, wciąż to samo. Nad socjalizmem zachwyty, a cała reszta to kurestwo. Kawałki o umiejętnym zachowaniu w różnych sytuacjach życiowych dawało się jakoś przełknąć, ale odnosiłem wrażenie, że ci z administracji mieli chyba złodziei za stado baranów, które potrafi tylko żreć i chodzić do kibla. No bo jak zaczynali nawijać, że przy stole to trzeba siedzieć tak, a nie inaczej, z krzesłem obchodzić się według ustalonych prawideł, nie siorb, nie mlaskaj, widelec w lewej, nóż w prawej i może jeszcze żeby knaga nie stała, bo stół się uniesie i kulturalne towarzystwo poplami sobie przyodziewę, to co o tym myśleć? No dobra, to jeszcze przechodziło, mógł przecież trafić się jakiś złodziej z wiochy zabitej dechami, który widział tylko wóz i brony, a żarcie posuwał drewnianą łyką z gara. Ale jak usłyszałem o moralności socjalistycznej i jakimś internacjonalizmie, kichy się przewracały. Mnie nie obchodził ustrój, że rządzi ten czy tamten, tylko jak ktoś wciskał mi ciemnotę, że wszystkim jest dobrze i niczego nie brakuje, a na dodatek, że wszyscy myślą jednakowo, to miałem ochotę zajebać czymś w betoniare, żeby nie kadziła. Na ozecie nie świrowali już z pogadankami i nawet często puszczała trzeci program i człowiek mógł postuchać Cepelinów albo Epitafium King Krimzon. Co to była za muzyka! Włosy stawały dęba, a wewnątrz to aż coś płakało.

Na środku stały dwa wielkie stoły pociągnięte szarą, olejną farbą. Do tego solidne ławy w takim samym kolorze, kilka taboretów i w rogu chasior na fajans.

Kiedy tylko wszedłem na salę, wydało mi się, że jest to spotkanie inne od normalnych. Zwykle złodzieje siedzieli przy stole albo na taboretach. Do apelu wieczornego był zakaz siadania na łózkach. Czasem ktoś klapnął na koi, ale ogólnie złodzieje unikali podpadek. Nikt nie chciał za głupotę zaliczać kwitów. Potem naczelnik zabierał korespondencję, wstrzymywał wypiskę albo wysyłał na dwa tygodnie na dechy. Ale chyba najbardziej człowiek się pilnował z raportami, ze względu na wokandę. Było nie było, każdy kwit oddał od warunku. Ja sam, mimo, że miałem chwilę, kiedy wszystko mi wisiło i za nic nie sprzedałbym skóry za wcześniejsze wyjście, po cichu liczyłem, że może jednak uda się jakoś urwać przynajmniej kilka miesięcy i zamiast w pegeerze cieszyć się życiem na wolności.

Obok Pawła siedział Piotr. Obydwaj przylecieli z karniaka w Bigoszczy. Jak się dowiedziałem, że mają za sobą już dwa lata, trochę im zazdrościłem. Do wolności zostało im dwanaście miechów, a mnie taki kawał czasu. Na każdego jednak przychodzi pora. Kiedy kręciłem się za panienkami i piłem dobre piwo, oni w tym czasie przeżywali smutniak i pili gorzką kawę z buraków. Kurewska mać, samo życie, jedni to, drudzy tamto.

Paweł był szczupły, wąty, gadanę miał wolną, jakby zastanawiał się nad każdym słowem. Zawsze mówił konkretnie. Facet z jajami. Nie był taki narwany jak ja, ale gdyby tak do czegoś doszło, wolałbym mieć jego za plecami, niż jakiegoś kozackiego krzykacza z wielkimi bicepsami. Jak coś truknął, to święte: zdecydowanie i stalowa wola.

Piotr był zupełnie inny. Blondyn, z metr osiemdziesiąt, dobrze zbudowany, nie mógł usiedzieć na miejscu. Ostry złodziej. Jak ktoś mu wszedł w drogę, to się nie opalał, walił w ryja i patrzył, czy nie poprawić. Był prawą ręką Pawła, czymś w rodzaju osobistego goryla. Paweł pracował głową, Piotr mięśniami.

Na taborecie, pod oknem, między łózkami, stał stoik z zajechnym czajem. Taboret elegancko przykryty białą platerką, ramka szluców, prawie jak na przyjęciu urodzinowym. Paweł nie wołał nas, nawet nie kiwnął ręką, ale gdy spojrzałem na niego, wiedziałem, że nas zaprasza. Miał wycucie. Nie dał człowiekowi stać jak pęta, co to wchodzi do obcej sali, nikogo nie zna, rozgląda się, miota i nie wie, co ma ze sobą zrobić. Usiadłem naprzeciw niego i wcale nie byłem skrępowany. Chciałem go zapytać, czy mogę wziąć papierosa, ale on uprzedził mnie. Poczęstował fajkami wszystkich po kolei. Piotr rozlewał herbatę. Odkręcił lekko wieczko, tak by nie wypadały fusy i przechylił stoik. Do takich chwil ciągnie chyba bez przerwy. Zapach herbaty, pół litra na stole, kino, zakupy, poker albo zbijanie kabzy to były ludzkie rzeczy, dzięki którym człowiek zaznawał odmiany, a codzienna harówka nie zabijała.

Uczta się zaczęła. Zaciągałem się i czekałem, kiedy przepłuczę sobie gardło herbatą. Dym zagęszczał się coraz bardziej. Jak tak sześciu chłopów na raz zacznie palić, to jeszcze idzie wytrzymać, ale gdy wszyscy przyjarają, to siekiera w powietrzu. Można wietrzyć, otwierać okna, kiedy na dworze jest ciepło. Zimą złodzieje woleli kisić się w dymie, niż dygotać pod kocami z zimna. Chłodu to każdy miał w bród w pegeerze.

Kożuchów nie dawali, a praca w cienkiej kurteczce gdzieś w górach przy kurewskim mrozie, albo ostrym wietrze wcale nie rozgrzewała.

Pierwszy zaczął pić Paweł. Nim oddał bajzelek następnemu, zapytał:

– Chyba wszyscy grypsują?

– Ma się rozumieć.

No tak, tylko skąd Paweł mógł wiedzieć, że tak jest. Zresztą nigdy nie ma pewności, czy ktoś po cichu nie kapuje. Długo nie byłem na oziecie, ale coś tam już wiedziałem. Jeden dzień w tygodniu każdy złodziej miał wolne. Bydlaki i świny w pegeerze żarły piątek świątek i złodzieje jeździli do roboty przez okrągły tydzień. Klawisz miał grafik, ile który przerobił i codziennie ktoś szedł na wolne. Tak było we wszystkich grupach. Do tego zostawali jeszcze chorzy, tacy naprawdę i symulanci. Codziennie na pawilonie kręciło się kilkunastu chłopaków. Tylko w niedzielę był spokój: widzenia z rodzinami, a naczelnik miał wolne. Ale w normalny dzień wszyscy ci, którzy nie szli do tyrki, odwiedzali pokój naprzeciw dyżurki.. Wiadomo, o czym naczelnik podkręcał: ciągle na jedną nutę. A przestań, a po co ci to, grypsowanie to dziecinada, a jak już musisz to powiedz chociaż, co tam w pracy, na oziecie, czy nikt nie planuje ucieczki, a może ktoś komu dokucza, wysyła na lewo grypsy? I co? Może wszyscy mieli twarde dupy?

Słoik z czajem poszedł w ruch. Upijaliśmy po łyczku, bo inaczej się nie dało. Wrzątku i tak nikt by więcej nie upił, a chciało się – na zapas. Idę o zakład, że żaden z naszego transportu nie powiedziałby, kiedy znów trafi się taka okazja.

Jak już było, to lepiej sparzyć sobie gębę, a wypić więcej od innych. Zimnego się nie dało, bo zaraz brało rzyganie i całą przyjemność szlag trafiał.

Piliśmy i nikt nic nie mówił. Dopiero gdy skończyła się pierwsza porcja, odezwał się Paweł. Był zadowolony, że w naszym transporcie nie było prawie frajerów. Dodał, żebyśmy uważali na nawijkę i w ogóle, na to, co robimy.

– Pewnie znacie trochę zasad. Jakby coś było niejasne, jestem pod ręką. Na razie nikt nikogo za wychyłę po mordzie bił nie będzie, ale jak któryś za mocno podskoczy, wpadnie do wora i po krzyku.

Paweł przestał mówić. Pewnie chciał zobaczyć, czy nie mamy jakichś wąków, albo pytań. Przypalił kolejnego papierosa i wypił łyk herbaty. Może bym zagadał, ale nie bardzo było o czym. I tak z tego, co powiedział, połowy nie załapałem. Nagle otworzyły się drzwi. Nim odwróciłem głowę, usłyszałem jak Piotr jęknął:

– O kurwa, Kurzela.

Wiedziałem, że zaraz będzie dym. W głosie Piotra nie usłyszałem zachwyty. Już po chwili i mnie zachciało się jęknąć. Kurzela był najgorszym klawiszem na ozecie.

– No, co tak, kurwa, siedzicie! Nie ma kto zameldować? No, wy tam – wskazał na nas ręką – do was mówię.

Paweł wstał pierwszy, przesunął się między naszymi kolanami, podszedł do Kurzeli i powiedział spokojnie:

– Najbliższy wejścia albo salowy melduje, panie oddziałowy.

Na sali było paru złodziei bliżej drzwi. Kurzela speszył się.

Chyba nie spodziewał się, że na świecie żyją jeszcze ludzie, którzy potrafią pogadać spokojnie. Pewnie przez całą swoją karierę miał do czynienia z kurwami, pierdolnięciami i kminą więzienną, a tutaj pełna kultura. Chyba podwójnie go ten spokój rozwścieczył. Przytknął Pawłowi klucz do klapy i ryknął:

– Ty mi grypserze jebany nie będziesz przypominał regulaminu! Rozwalasz dupę na koi z kolesiami, czy nie? Regulamin mówi – nie wolno! To co mi skurwielu będziesz mydlił oczy meldowaniem. Wszyscy macie kwity. Nazwiska!

– Nie ja zacząłem o meldowaniu, panie oddziałowy.

Zachciało mi się śmiać i to tak, że ledwie wytrzymałem. Paweł go punktował. Mnie to zaraz pewnie by poniosło i zastanawiałbym się, czy nie odciąć się ostro, albo nic bym nie zrobił, tylko stał jak gambeta z zaciśniętymi ze złości zębami. A Paweł cykał spokojnie i miał gdzieś krzyki Kurzeli. Niby spokojnie, grzecznie, ale oliwa ciekła na ogień, aż skwierczało. Dobra robota.

Gadzina poczerwieniała, gały wylazły mu na wierzch i jeszcze bardziej wrzasnęły:

– Co kurwa!? – i uderzył.

Od razu wiedziałem, że Paweł to złodziej nie z pierwszej łapanki. Znał chyba Kurzelę i przewidział, co ten może wywinąć. Zrobił unik, ale nie tak, by ręka klawisza nie sięgnęła celu, ale żeby cios miał jak najmniejszą siłę. Zachwiał się i zrobił krok w tył.

– Nazwisko! – krzyczał Kurzela.

– Dereń.

– Macie raport za nie przestrzeganie regulaminu.

Kurzela ochłonął. Jak zaczął na oficjalną nutę, przez „wy” można było się domyśleć, że dopiero teraz dotarło do niego, co zrobił i pewnie gacie wypełniły mu się do połowy. Paweł nadal na luzie robił pod niego podjazdy.

– Nie chciałbym pana straszyć, ale napiszę skargę.

Kurzela stał zmieszany i nie wiedział, co ma zrobić. Odwrócił się, zrobił krok do przodu, nagle stanął i rzucił przez ramię:

– Za pięć minut chcę cię widzieć na dyżurce.

Paweł zamknął za nim drzwi. Wrócił do nas, usiadł na łóżku, jak gdyby nigdy nic wypił tyk czaju i zaczął mówić:

– Z tymi padalcami i tak się nie wygra. Mój stary, jak siedział, opowiadał, że gdy oddziałowy wchodził pod celę, wszyscy stawali twarzą do ściany i nikt nawet głośno nie oddychał. Mógł ci łeb rozwalić, oszczać cię, a raz był świadkiem jak klawisz przyprowadził jakąś lafiryndę, kazał się jednemu złodziejowi rozebrać, wypałować na jej oczach i spuścić na kumpla. Złodziej nie mógł postraszyć, że napisze skargę. Gdyby tak któryś podskoczył, zaraz by go ugotowali. Człowiek wychodził na wolność szczerbaty albo o kulach, jeśli w ogóle zobaczył cokolwiek. Teraz jest trochę lepiej. Czasem przyjedzie jakaś kontrola, skargi docierają do centralnego zarządu, a gdy któryś z gadów przesadzi, to go wywalają na pysk.

Nie bardzo chciało mi się wierzyć w to, co mówił.

– Kit żenisz z tą lafiryndą i trzepaniem konia.

Paweł nie przejął się moją gadaną.

– Chcesz , to wierz. Mówię ci tylko to, co mi stary opowiadał.

– A ona? Co robiła ta laleczka? – ciekawiło mnie.

– Pierdolnięty jesteś?! Czy ja tam byłem?!

– Pewnie wepchnęła sobie paluch. – dołączył do rozmowy Piotr. Powiedział to tak lubieżnie, że wszyscy aż przełknęli ślinę.

– Pogadajcie sobie o dupach, a ja muszę iść na dyżurkę.

Paweł wstał i wyszedł z sali. Bez niego zrobiło się nieswojo. Herbata stała w słoiku, papierosy leżały na taborecie, ale jakoś straciłem chęć do ucztowania. Niby można było jeszcze pogadać, bo temat był, zaczął się i wystarczyło jedynie podkreślić bajerę, a z opowieści Pawła zrobiłaby się pewnie orgia z kilkoma dupkami, tylko bez Pawła atmosfera nie była już ta. Czułem przez skórę, że będzie drętwo i to nie dlatego, że chłopaki byli jakimiś lebiegami, ale jak taki pała Kurzela wlezie w bajerę, nastrój zaraz pęka i zamiast gadulcy o dupkach, zaczyna się narzekanie i wyzwiska. Kurew i pierdolnięć każdego dnia sypało się w opór, ale opowieści o wolnościowych numerach z panienkami, opisów jak rozpina się ich staniki, zdejmuje koronkowe majteczki, palce, liźnięcia i kupa innych szczegółów, to był towar pożądany i poszukiwany, a nie: „Ten w dupsko rżnięty, padluch, niech bym go, kurwa, dorwał na wolności...?” Tępotą i szarzyzną. Do życia potrzebne są kolory, mocniejsze bicie serca, a nie na okręte jedno i to samo.

Podniosłem się z koi i bąknąłem:

– To na razie.

Wróciłem na swoją salę. Byłem ciekawy, czy Paweł dostanie kwit. Raporty wypisywali klawisze z propozycją rodzaju kary. Dla złodzieja najprzyjemniejszą rzeczą było jak usłyszał, po

zaliczeniu kwitu, że odstąpiono od ukarania. Ale nikt z grypsujących nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Frajerzy, owszem, mieli taryfę ulgową, ale tak naprawdę, to oni dla administracji więziennej byli poprawniejszymi skazanymi od grypsujących. Jak dechy, to któryś z naszych, a jak widzenie bez dozoru – nie grypsujący. Pewnie i ja mógłbym iść na zieloną trawę z dziewczyną, gdyby przyjechała na widzenie, tylko najpierw musiałbym podpisać u naczelnika filipinę. Dla mnie to nie był interes. Pobawić się z panienką na takim widzeniu, to dobra rzecz, nie powiem, ale czy warto było za chwilę zabawy przestać grypsować. Tak zwani poprawni skazani mogli sobie wmawiać, że grypsowanie nic ich nie obchodzi, że zasady, wory, miękki czy twardy w dupsku, są dla grypsujących, a ich nie dotyczą, ale prawda wyglądała inaczej. Chciał czy nie, czuli, że są na boku i żyją na gorszych prawach. To było widać w ich twarzach. Donoszenie jak by na to nie patrzył zawsze będzie kurestwem, a wtedy i kurewskie życie. No bo jak inaczej? Człowiek, który zgadza się kapować za wokandę, nie może podskoczyć, staje się niewolnikiem. Krótko mówiąc: miękka dupa.

W łazience nikogo. Nie od razu zorientowałem się, o co chodzi. Rano był zwykle tłok, a tu puchy. Chciałem umyć zęby, ale kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, co jest grane. Gumowy szlauch, którym polewało się posadzkę w kiblu, leżał wzdłuż ściany na wszystkich kranach.

– Przestrzelone, co?

Odwrociłem się gwałtownie. W drzwiach stał Kurzela i

uśmiechał się.

– Co, nie myjesz się?

– Już się umyłem.

– No to jeszcze raz. Będziesz zdrowszy – nalegał.

Prowokował mnie wyraźnie. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Gdyby tak zamiast mnie stał tutaj Paweł, nie otworzyłby pewnie gęby. Szlag mnie trafiał, że jestem bezsilny. Na wolności zapaliłbym go w te jego obfite usta i byłoby po sprawie. Ale przedłużony wyrok mi się nie uśmiechał. Ciągłe presja. Uderz współskazanego – dwójak dodatkowo niewyjęty. Idź na zryw, to samo. Lepiej nie pytać, co czeka za klawisza. Pewnie zaraz by chcieli dać krawat. Co krok to kara. Za to dechy, za tamto zabrana wypiska, odebrana korespondencja, szlaban na k. o., wstrzymane widzenia, jednorazowe krótkie ostrzyżenie włosów, obcięte o dziesięć procent wynagrodzenie za pracę.

Za robotę wpłacali na konto dwadzieścia pięć procent. Marne grosze, ale na wypiskę coś tam dało się kupić. Reszta szła na opierunek, żarcie, światło i pensje dla klawiszy. Gdy złodziej wychodził na wolność po trzech latach, to za kasę z konta mógł sobie kupić butkę albo papier toaletowy.

Najlżejsza była nagana na osobności, tylko jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, jak to mogłoby być. Na osobności? Więc nikt inny tego nie mógł słyszeć i zobaczyć. Mnie się taka przyjemność nie trafiła, ale niezły ubaw miał ten, co wysłuchiwał takiego upomnienia. Pewnie komendant albo naczelnik szli z delikwentem do bardachy, zamykali się w kabinie i wygłaszali: „Udzielam ci nagany na osobności”. Słyszac

o czymś takim, to nie wiadomo, co robić: śmiać się, zwiesić głowę czy wzruszyć ramionami?

Wiedziałem, że to robota Kurzeli. Nudziło się pewnie nygusowi i chciał się rozerwać. Może z nim coś było nie tak. Pewnie mu nie stawał i żona zabawiała się z jego kumplami. Nie miałem zamiaru być kukłą na sznurze, tak jak sobie umyślił. On pociągnie, a ja zacznę podskakiwać. Zaciąłem się i nic nie mówiłem. Zauważył to i dał spokój. Kiedy tylko zniknął, poszedłem na salę do Pawła.

– Widziałeś, co w łazience? – zapytałem go.

– Mm hm – mruknął pod nosem, przypalił szluga i wyciągnął do mnie paczkę.

Wyjąłem sztukę i odpaliłem od niego.

– To co robić?

Paweł podszedł do szafki, wyciągnął z niej dwie ramki szlugów, dał mi je i powiedział:

– Pójdiesz do kotłowni, dasz fajki palaczowi i powiesz, żeby nagrzał wody, do wrzątku. Ale dopiero kiedy Kurzela zmieni się z Recydywą. Weźmiesz dwóch chłopaków, wyniesiecie szlauch, wrzątkiem polejecie krany, trochę wyszczotkujecie i po kłopocie.

Zabierałem się i chciałem przed wyjazdem do pegeeru coś zarzucić, ale Paweł zatrzymał mnie.

– Chodź. Przydrynisz. Do tyrki jest jeszcze trochę czasu.

Po dwóch łykach miałem już dość. Na puste bebechy czajura jakoś nie idzie. Zaraz mdli, w gębie zbiera się ślina, że nie wiadomo co z nią zrobić, a jak się przeholuje, można puścić pawia. Paweł zauważył, że mi nie idzie i zaczął się śmiać:

– Za rok pastówę weźmiesz na połyk i nawet cię nie wykrzywi. Musisz trochę bebechy przepalić.

Może miał rację, ale teraz woląłem przetrącić jakiegoś kromala, żeby minęły mdłości. Paweł domyślił o co mi chodzi. Usiadł przy blacie, podsunął plater z kanapkami, które przygotowywał Piotr i kiwnął na mnie ręką. Nie dawałem się zapraszać dwa razy. Czegoś takiego dawno już nie oglądałem. Biały chleb z masłem. Na jednych kromalach szproty w pomidorach, na innych grube plastry żółtego sera, obok pełny pojemnik cukru i jakieś herbatniki. Trochę głupio mi się zrobiło, że tak szybko usiadłem przy blacie, jak jakiś wygłodniały fajansiarz, ale gdybym nawet niczego nie miał spróbować z tego stosu ekstra wyżery, to chociaż dobrze było popatrzeć i powąchać.

– No, co tak się czaisz. Zarzucaj.

Paweł zachęcał, ale ja chciałem zatrzeć swój niedawny pośpiech i zacząłem się wykręcać, że muszę na stołówkę, że zupa mleczna i coś tam jeszcze. Nie zwracał uwagi na moje gadanie i jednym słowem skrańcował moje wykręty.

– Wpierdalaj.

Pańskie żarcie. Na wolności to byłby szajs i pewnie bym nie spojrział na coś takiego. Jak nie było golony z chrzanem, grzybów marynowanych, albo kawału jakiejś wędzonej chabaniny, to głodowa. Zabrałem się za szamkę, ale nie tak jakbym chciał. Nie wypadło tak na raz wsadzić sobie do jaźwy całego kromala, bo by pomyśleli, że wypłoch. Smakowałem powoli rybę i ser, słuchając bajery. Paweł z Piotrem opowiadali, jak ich przywitano w Bigoszczy. W porównaniu z nimi, miałem

bułkę z masłem. Gdy ze złodziejami z transportu rzucili ich na pawilon, z kibli powyskakiwali feści ze szczotami i ganiali ich po korytarzu, pośród śmiechu klawiszy. Tylko oni dwaj mieli fart i uchronili się od przestrzelenia. Piotr w ostatniej chwili złapał taboret i tak cmyknął jakiegoś festa w plegary, że puściła mu się z gęby krew i w sekundę zaliczył glebę. Kiedy brał się za następnego, klawisze przerwali zabawę. Zobaczyli, że trafił się ostry złodziej.

– Nic by się nie stało, gdyby i nas machnęli berłem – mówił Paweł – ale z grypsowaniem już kiszka. No, nie byłiby z nas frajerzy, byłoby się „za”, ale to już nie to. Do końca wyroku przy oddzielnym blacie, nikomu z naszych człowiek nie przybiłby piątki – wszystko oddzielnie. Można być festem, ale kurwą nigdy nie zostanę. Stary do końca życia pewnie by się do mnie nie odezwał.

No tak. On nawijał, a ja nie łapałem, o czym. Chciałem się zapytać, co to za jedni, ci feści, ale wyobrażałem sobie, że jak złodziej znajdzie się już na karniaku, to powinien o wszystkim wiedzieć i wstyd pytać. Nie chciałem też, żeby pomyśleli, że mają przed sobą gambetę, co nic nie słyszał. Tylko nie wiedzieć, jeszcze gorzej. Przemogłem się i spytałem, kim właściwie są ci feści.

– To parówy – zaczął Piotr. – Najpierw grypsowali, potem siedli na chuj i zaczęli zwalczać naszych. Spodobało się to klawiszom i zaczęli na nich mówić „fest chłopcy” i tak zostało.

Wejście do kotłowni było na tyłach pawilonu. Zupkę mleczną odpuściłem sobie. Po takim śniadaniu grzech byłoby zalewać żołądek wodą. Przebrałem się w robocze ciuchy i

poszedłem do palacza. Ten to miał fuchę. Zimą ciepętko, trochę poszufłował, popalił i wyrok leciał. Na kuchnię miał dwa kroki, to pewnie i podżarł nieźle. Wszyscy ci, co mieli robotę na ozecie, nie mieli przekrętu. Zawsze jakiś złodziej miał do nich interes. Kręcili z klawiszami, to i mogli więcej od pozostałych. Naczelnik na takie fuchy nie dawał małolatów. Same zgredziki, tak pod trzydziestkę. I dobrze. Co by człowiek załatwił z jakimś młodym narwańcem? Zaraz by latał i wrzeszczał, jaka z niego figura i że nie ma sprawy nie do obstukania. A tak, spokojnie, po cichu, jak się miało kasę, to na święta można było zaprawić się deko.

Dwie ramki szlugów, jak się przyoszczędziło, stykało na cztery dni jarunku. Palacz bez zająknięcia wziął fajki i powiedział, że nie ma sprawy, i jak tylko zobaczy, że paryska wróciła, zrobi co trzeba. I tak palił, i tak. Kucharz musiał mieć parę w kotłach. Wystarczyło, że odkręcił odpowiedni zawór i już ciepła woda leciała z kranów. Gdyby Kurzela to zobaczył, zaraz narobiłby dymu. Ciepła woda na co dzień dla złodziei? Dostałby chyba zawału. Raz w tygodniu, w łaźni, jak człowiek postął pod gorącym, to dla niego za dużo. Ale on miał dzisiaj noc, a na ranną dwunastkę przychodził Recydywa. Ten to miał dokładnie wszystko gdzieś. Ciągłe podcięty i nieobecny. Pokazywał się na apelu, mówił, że ma być spokój i porządek:

– Wy macie swoje sprawy, ja mam swoje.

Złodzieje lubili, gdy miał zmianę; z nim było zupełnie inaczej niż z innymi. Błysk na pawilonie i nikt nikogo nie musiał poganiać i drzeć japska. Jeśli coś było nie tak, jeden drugiego pilnował i mówił żeby poprawić. Recydywa nie łaził po salach,

nie węszył i nie cwaniakował. Kiedy miał nockę, do rana można było przesiedzieć przy czajurze na bejerze i wcale mu to nie przeszkadzało.

Palacz słowa dotrzymał. Po obiedzie z Rogalem i Czarnym wyszorowaliśmy krany. Woda była chyba gorętsza od wrzątku. Musieliśmy uważać, żeby się nie poparzyć. Para buchała, jak w ruskiej bani. Trzeba było otwierać okno, bo jeden drugiego nie widział. Nim wynieśliśmy szlauch, założyliśmy gumowe rękawiczki. Wszystko, co z bardachy, przestrelone. A w kiblu, bez rękawic, ani rusz. Ale to też tylko pozory. Rękawice były zwykle dziurawe i czy się chciało, czy nie, przy sprzątanu naleciało szparami trochę wody. Nikt o tym głośno nie mówił, bo kto by wtedy grypsował? Wszyscy chodziliby przestreleni. Czarny mówił, że jeszcze jako niełat, kiedy siedział w zakładzie, numery takie jak teraz z łaźnią, nie przechodziły. Raz przestrelony kran, klamka czy cokolwiek, zostawały już do końca przestrelone. Chłopaki chodzili bez przerwy z foliowymi torebkami na rękach i wszystko, co przestrelone, dotykali przez nie. Inaczej do wora i złodziej frajer.

– Był nawet jeden, trochę wystraszony, nieśmiały, dobry chłopak. Otwierał drzwi do sali i nie wiedział, że klamka jest trefna. Jakiś nadgorliwiec to zobaczył, powiedział „chuj ci w dupę” i chłopak był w worze. Chodził potem, prosił, dawał papierosy, forszę, żeby tylko mógł nadal grypsować, ale szpącący zakładem nie chcieli się zgodzić. Kiedy chłopak nie odpuszczał, wymyślili, że aby „odstrzelić” ręce, trzeba je wypalić. Czasem palnie któryś jakiego babola i nie zastanowi się. Kazali mu polać ręce czymś palnym i podpalić. Myśleli, że

chłopak na podpuchę się nie kupi, ale ten wziął sobie to poważnie do serca i przyjarał łapska. Zabrali go do szpitala i więcej w zakładzie się nie pokazał. Korzyść z tego była chociaż taka, że przestrelone klamki przestały istnieć.

Drzwi od kibla na pawilonie były wciąż nie domknięte. Pewnie sprężyna pękła w zamku i nie odbijał skobel. Żaden z klawiszy nigdy nie wspominał, że trzeba je naprawić. Na ozecie przez głowę nikomu nie przeszło, żeby cokolwiek nie grało, albo był gdzieś syf. Wszystko dopięte na ostatni guzik. A z zamkiem nie. Kurzela, Kołtun albo Kaftan urządzali sobie zabawy co jakiś czas. Jak grypsujący jedli obiad na stołówce, albo kolację na sali, to drzwi musiały być zamknięte. Wtrącając przy drzwiach otwartych to tak, jakby się było w kiblu. Czasem bardach się zamykał, ale co z tego? Nawet gdyby zamek był dobry, i tak zasada „żarcie tylko przy zamkniętych drzwiach” obowiązywała przez cały czas. Przecież złodzieje nie chodzili się odlewać na gwizdek o ustalonej porze. Ciągłe ktoś latał za potrzebą i kibel na okrętę był nie zamknięty. Kurzela bardzo często wchodził podczas obiadu, stawał w otwartym przejściu, rozglądał się, jakby kogoś szukał, czekał i uśmiechał się.

– Co, grypsówka, skończyli szamać? To po co siedzicie, jakby wam jaja powrastały w krzesła?

Zadowolony był z siebie. Stał zwykle w rozkroku i wydawało mu się, że jest królem świata. Wyczekiwał, czał się, że może kogoś poniesie i będzie mógł sobie pocwaniakować. Ja też nie byłem święty, miałem jakieś odchyły i czasem przychodziły do łba pomysły, że szkoda gadać, ale nie tak bez

przerwy. Człowiek też się pośmiał, zagadał do drugiego po ludzku, a i serce ścisnęło się z żalu, jak komuś działa się krzywda. Kurzela wciąż jedno: kopać i gnoić. To nie mogło być normalne. Gość nadawał się do Tworek.

Nie grypsującym w ogóle nie przeszkadzały otwarte drzwi; wiosłowali zapamiętane i nie przejmowali się niczym. Czasem któryś z naszych nie wytrzymał, wstawał gwałtownie od stołu i wychodził. To była woda na młyn dla Kurzeli. Mnie też się raz zdarzyło, ale potem żołądek przytępił mój honor. Powiedziałem sobie, że niby dlaczego przez takiego wszarza mam sobie odejmować michę od ust.

Czasem zastanawiałem się, czy niektórych zasad nie dałoby się zmienić. Czy rzeczywiście otwarte drzwi mogły komuś zaszkodzić? Nawet patrząc od strony higieny, żadna zaraza nie mogła się przecież przedostać z bardachy. W kiblu nic nikomu nie groziło. Zawsze wysprzątane, zasypane jakąś chemią. Nie grypsujący jedli i żaden się nie rozchorował. Jedyne, co mogło grozić złodziejowi, to upadek we własne gównno, jak miał słabe nogi. Na wolności siadało się wygodnie na dzbanie, czyściutka deska, gazeta, papieros, a tutaj nie. Dziura w podłodze, dwa występy, żeby postawić stopy i trzymanie dupy w powietrzu.

Na początku najtrudniej z gadulcem. Wciąż musiałem się pilnować, żeby nie robić wychył. Wargi to nie wargi, ale usta: owszem, one były, ale u kobiety. Zazwyczaj, przy kolacji, na ławie przy blacie, złodzieje siedzieli jak śledzie w beczce. Gdyby któryś truknął: „weź się posuń” – klops na wiankach. To tak,

jakby powiedział, chuj ci w dupę. Zaraz w ryło, straszenie: „jak ci jebnę z bani, to cię otumani”, do wora, obrażalstwo i kto wie, co jeszcze. Takich słów było na pęczki. Człowiek się gubił i myślał, że nie da rady, ale po czasie, nie wiadomo jak i kiedy, ciachałem kminą jak stary. Jednego razu bajerzyłem z koleśkiem. W pewnej chwili zaczął wciskać mi popelinę. Jak mnie coś zajeżyło, nie bardzo zastanawiałem się, co mówię. Z rozpędu wypaliłem:

– Co ty, kurwa, głupi jesteś?

– Jak to kurwa? – oburzył się – Kurwa twoja mać! Żadna kurwa!

Pajac był. Wiedział doskonale, że nie to miałem na myśli i nie chciałem mu ubliżyć. Później, jak już odkiwiałem nieco z wyroku, można było pobajerzyć na luzie ze starymi kumplami. Ale najczęściej złodzieje zachowywali się tak, jakby ktoś im ślepią pozawiazywał – niczego nie widzieli i wciąż im coś nie pasowało. Przeprosiłem pacana i wytłumaczyłem, że po prostu połknąłem gdzieś to „twoja mać” i wyszło jak wyszło, ale bez urazy. Dobrze, że nie był kot i sprawa rozeszła się po kościach. Ale nie raz widziałem podobne scenki, jak za nieopatrzne słowo ktoś dostawał niezłą chłostę.

Czarny siedział tutaj chyba najdłużej. Opowiadał, jak z jednym transportem przyleciał cwel. To dopiero była zadyma. Grypsujacy wpadli w panikę. Cwel na ozecie, to sprawa ze wspólnymi michami przy obiedzie już nie przechodziła. Cwel to najgorsza trucizna. I nie było już, że gorąca woda, że płyny do mycia naczyń. Cwel się wżerał w całe aluminium michy i święty

Boże nie pomoże. Ściągnęli atandę, jak grypsujący zrobili głodówkę. Postraszyli, postraszyli i wyszło szydło z wora. Dopiero wtedy Czarny zrozumiał, dlaczego naczelnik dokładnie wie, co się dzieje na ozecie. Pełno było cichaczy, co to na pokaz grypsują, a po cichu kapują. Najczęściej to byli ci, którym niedługo przysługiwała wokanda.

Grypsujący zawsze miał gorzej. Żeby tak któryś dostał pracę bez dozoru. Niejeden z grypsujących chętnie załapałby się na taką fuchę. Najczęściej robotę bez dozoru dostawali ci, co mieli paść krowy. To dopiero była leserka. Brał taki elektrycznego pastucha, coś do żarcia, wyganiał stado cielaków albo krów na stok, ustawiał pręty, rozciągał drut, podłączał akumulator, a sam walił się w krzaki. Popatrywał od czasu do czasu na zwierzaki, przepinał druty i wylegiwał się przez pół dnia. Nikt go nie pilnował, żadnego klawisza, gadania, zrób to, zrób tamto. Wychodził z pawilonu sam, wracał sam i przez cały dzień nie musiał nikogo oglądać. Z wolnościówką to już długo na ozecie nie pobyl, najwyżej kilka miesięcy, potem wokanda i do domu. Niejedno przekleństwo taki usłyszał, bo złość brała, że samemu trzeba odwalić wyrok od gwizdka do gwizdka, a on niedługo zmieni więzienny gajerek na wolnościowe ciuchy.

Właściwie na każdym kroku grypsujący miał przegrane. Kiedy na widzenie przyjechała do mnie matka i chciała mi dać coś do jedzenia, na pawilonie miał dyżur akurat komendant. Rzadko się zdarzało, by któryś z gwiazdkami przychodził do pracy w niedzielę. A jednak. Nie przełknąłem wtedy ani kęsa. Naopowiadał matce bzdur, że należę do podkultury więziennej, że upokarzam innych więźniów, utrudniam pracę administracji.

Wyglądało to na jakąś gazetową sensację, a nie zwyczajne więzienne życie, gdzie od rana do wieczora, z ciągle głodnym żołądkiem, wywijano się widłami.

– Jak pani syn przestanie grypsować, będzie mógł zabierać z widzeń, co tylko będzie chciał.

Mama podchwyciła słowa komendanta i prawie przez całe widzenie płakała prosząc, bym przestał z tym grypsowaniem.

A cóż ja mogłem zabrać z tego widzenia? Rodzina mieszkała z sześćset kilometrów stąd, widzenie raz w miesiącu, i to tylko wtedy, gdy ktoś przyjechał, bo komu się chciało telepać przez prawie całą dobę, żeby pogadać godzinę? O tym samym można było napisać w liście. Niezły był skurwysyn z tego komendanta. Nie rozmawiał z matką na osobności. Powiedział jej o grypsowaniu, gdy podawała mi kanapkę. Podeszedł do stolika i zaczął truć, tak żebym słyszał, że wbrew regulaminowi, że grypsowanie, ale czasem można przymknąć oko, kiedy skazany wykazuje odrobinę dobrej woli. Widział, że matka płacze, że jest nieszczęśliwa i zamiast przestać, odejść i dać spokój, to jeszcze dorzucił, że mógłbym wcześniej wrócić do domu, bo gdy więzień jest poprawny, administracja sama występuje z wnioskiem o warunkowe zwolnienie.

Nienawidziłem go. Przyrzekałem sobie, że jak tylko wyjdę na wolność, przyjadę tutaj i rozwalę mu ten kędziorowaty łeb. Ale złość szybko mija. Z czasem przyzwyczałem się do takich gadek, a i oni nie naciskali mocno, gdy zobaczyli że twardo obstaję przy swoim.

SMOLARZ

Nie słyzałem, żeby ktokolwiek z cywili w pegeerze powiedział na niego inaczej niż Smolarz. Złodzieje raczej nie odzywali się do niego, a i on nie szukał ich towarzystwa. Był od wszystkiego. Kazali, to jeździł detem, wielkim traktorem na gąsienicach, ubijał trawę w silosie, zajmował się stajnią, naprawiał wozy, zwoził zielonkę z łąk, wywoził gnój z obór. Wszystko umiał i zawsze był potrzebny. Smolarz to, Smolarz tamto. Właściwie złodzieje i cywile nie wchodzili mu w paradę. I nie dlatego, że wyglądał jak z piekła rodem, ale miałem wrażenie, że stoi przed nim ściana; człowiek chciał się zbliżyć, a tu trach łbem o coś twardego. I właśnie najdziwniejsza w nim była ta dwoistość. Z jednej strony strach, ale jak tak zaszło się z drugiej, przyciągało i uroczyło. Niski, żylasty, z wciąż skudlonymi, czarnymi włosami na głowie. Skóra na twarzy ciemna jak u diabła. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, myślałem, że to jakiś zapuszczony lump, który zamelinował się na zadupiu, bo gdzie takiego gałgana do porządnego miejsca? Ale kiedy przyjrzałem mu się lepiej, zauważyłem, że coś jest nie tak. Twarz, owszem, jak u żuła pod budką z piwem, podziurawiona, pomarszczona z niejednym widocznym przechlaniem, nocnym niedospaniem, ale ta jego gęba nie pasowała do reszty. Ciuchy doprane, podniszczone, ale co dzień inne, ogolony, ruchy lekkie jak u chłopaczka, ale nie nerwowe, jakby stary księżulo wybrał się na spacer. Nie mówił wiele. Kiedy brygadzysta dawał mu jakieś polecenie, kiwał tylko głową, że się zgadza, że potwierdza i szedł do roboty.

Od początku, jak tylko znalazłem się w Chojnicach, nie mogłem zrozumieć jednej rzeczy. Dla mnie był to koniec świata. Gdybym mógł, rozwalilibym to w cholere, nasadził chojaków i zrobił z tego rezerwat. Co ludzi ciągnęło do takich miejsc? Ani zarobić, ani porządnie się ubrać, bo gdzie iść: do kościoła, knajpy, czy do kina? W pegeerze można było popatrzeć jedynie krowie pod ogon. Może przywiązanie do ziemi, tradycja. Babka mówiła mi kiedyś, że najlepiej żyć i umierać tam, gdzie człowiek się urodził, ale pegeerowcy i tego nie mieli. Pozjeżdżali się z różnych stron, dostali po kawałku ziemi, mieszkanie służbowe i wiedli swój zasrany przez krowy żywot. Może tylko dyrektor pegeeru miał trochę oleju w głowie. On to był gość. Zawsze biała koszula, zamszowa marynarka, spodnie z porządnego materiału i gdyby nie gumki na nogach, bo po błocie i łąnie w pantoflach nie bardzo, można by myśleć, że przyszedł na bankiet. A jaką miał gębę? Gładka, ogolona i wypasiona. W porównaniu z robotami pegeerowymi wyglądał jak ksiądz przy umrzyku, a w dodatku umiał się jeszcze ustawić. Słyszało się co nieco od cywili. Po cichu mamrotali, że pegeer co roku miał deficytu na kilkaset milionów. Co, może nie skasował paru złotych dla siebie? Pokazał się od czasu do czasu, potem jechał do stolicy, załatwiał dotacje, robił kasę, a robole siedzieli po pas w gównie i przyglądali się, jak rogaczna marnieje. Wszyscy się starali, ale o swoje, bo pegeer był czyj? Niczyj. Państwowy. Co lepsza pasza szła na lewo, a krówska żarty podgniłą zielonkę i zatęchłą trawę. Nawet jak były same straty, to kogo oskarżyć? Robola? Może? Czasem, jak ktoś przypalił zwykłego pracownika na wynoszeniu paszy. Zabrali wtedy premię i po sprawie. A jak

ginęło sporo, to kogo? Dyrektora? Za co? Przecież ten burdel nie był jego prywatnym folwarkiem. W państwowym straty są zawsze. Należał pewnie do partii, miał układy, a swój swojego broni. Można powiedzieć, że wilki przeredziły nieco stado, trawa słabo rosła, bo deszcze, albo susza i pokrywało się straty z państwowej kasy. Pięćset hektarów ziemi to nie w kij dmuchał: trudności być muszą.

Smolarz jaki był, taki był, ale mógł wyjechać gdziekolwiek, urządzić się, a nie siedzieć za grosze w brudnym pegeerze i wywozić gówna po bydlakach. Znał robotę, a w Polsce fachowców jak na lekarstwo. Nie narzekał, solidny, zawsze w robocie na czas i nie zaprawiał się z rana. Co go tu trzymało?

Minęło parę tygodni, nim dali odpocząć. Łazić tak przez cały dzień po górach, przerzucać widłami trawę bez żarcia i picia, to można się wykończyć. Nie wiem dlaczego, ale któregoś dnia brygadzysta przydzielił mnie na silos. Właśnie wtedy zobaczyłem Smolarza. Siedział w decie, jeździł tam i z powrotem i gąsienicami ubijał zielonkę. Widziałem jakiegoś małego paskudnika w szoferce, ale nic mnie to nie obchodziło. Cieszyłem się, że można posiedzieć i nikt się nie pruć nad uszami, a nawet gdyby chciał, nie było za co. Robota szła w etapach. Co jakieś pół godziny przyjeżdżał traktor ze świeżo ściętą trawą, szofer kiprował towar, a my go rozrzucaliśmy. Reszta należała do Smolarza. Tylko na silosie można było poleserować legalnie. Rozwalić się wygodnie można było, a jakże, ale dopiero po zgaszeniu światła na ciszę nocną. W

pegeerze praca i tylko zapieprzanie się liczyło. Na ozecie też wciąż zajęcie; jak nie dyżur na sali, to w kiblu, w szatni, albo obieranie kartofli.

W takim kołchozie wszystko miało inny wymiar niż to, co do tej pory widziałem. Wielkie stodoły, chlewnia, ogromne łąki, stada bukatów i silos, który rósł każdego dnia coraz wyżej. To była dopiero konstrukcja! Dwie ogromne ściany, zbudowane z grubych bali i desek, powypierane długimi tykami, żeby det Smolarza nie rozsadził trawy na boki, stały równoległe do siebie, oddalone jedna od drugiej dziesięć metrów i ciągnęły się na odległość przynajmniej trzydziestu metrów. Musiało to wszystko być wielkie. Bydlaków co niemiara i żeby nie chodziło tałatajstwo głodne, żarcie szykowaliśmy zawczasu i w dużej ilości. Dojazd na silos można było raczej nazwać taplarowiskiem, a nie drogą. Błoto, koleiny, wyrwy, że traktor ledwo mógł przedrzeć się przez to dziadostwo. Skoro całe lata traktory wciągały przyczepy na silos tą samą drogą, a sok z trawy wyciskany gąsienicami deta lał się na okrętę, to trudno, żeby nie zrobiło się małe bagienko. Czasem trzeba było podkładać dechy pod koła, bo traktor się zaklopsował i ani rusz. Najbardziej lubiłem oglądać silos z daleka. Było w nim coś mrocznego i niesamowitego. Drewniana konstrukcja, bale, dechy i łąty, zżarta przez fermentujący sok i zniszczona przez słońce i wiatr, wyglądała jak wiekowa, obronna palisada w kolorze starych mebli. Robiła wrażenie a zarazem miała w sobie urok. Może budziła wspomnienia? Człowiek bywał czasem w starych winiarniach i łykał trzygwiazdkowego mioducha; widział okopcone beki, stoły z zeszłego wieku, światło ze świec, a teraz

marzył i tęsknił za lepszymi czasami.

Na silosie byłem chyba dwa tygodnie i ani razu nie słyszałem, aby Smolarz narzekał, albo skarżył się. Robił, co do niego należało, wciąż patrząc przed siebie. Któregoś dnia zagadnął mnie i poczęstował papierosem. W pewien sposób czułem się wyróżniony: do tej pory nikt nie widział, żeby Smolarz wyjechał do złodzieja z pakulcem, a na dodatek jeszcze zagadał. Nie raz złodzieje próbowali wydębić od niego chociaż pojarkę. Odmawiał. Nie dziwiłem się. Gdyby tak chciał każdego chętnego zadowolić, musiałby przynosić do pracy karton szlugów. Na wolności pewnie nie zwróciłbym uwagi na taki drobiazg: ktoś częstuje – bierze się i jara. Normalka. Ale tutaj, w tym dziadowskim pegeerze i parszywym ozecie, okruczeństwa, sympatii, deko przyjaźni czy dobry gest, były potrzebne tak, jak haust powietrza tonącemu.

– Adam jesteś? – zagadnął i podał mi papierosa z ręki.

– Tak, a co?

Nie chciałem, żeby wypadło tak ostro i zaczepnie, ale odzwyczaiłem się już od wolnościowej bajery. Jak by tak człowiek siedział od urodzenia w kryminale, nie miałby pewnie pojęcia, że istnieją takie słowa jak: dziękuję, proszę, gdyby pan zechciał. Może takie ą, ę, ależ, były gładsze, ale w kryminale z czymś takim nie można było wyjeżdżać. Zaraz komentarze, że lewus, magister albo mądrala. Między złodziejami czy się chce, czy nie, szare komórki we łbie nasiąkają walką, zadziornym gadulcem i kombinowaniem. Pokażesz słabość, zaraz obsiadną jak muchy cukier i zeżrą z gnatami.

Niby nic, a jednak poczułem się wyróżniony.

Zapomniałem już, jak to jest, kiedy naprawdę człowiekowi na czymś zależy. Zauważyłem, że jestem jak cycek, który dopiero uczy się życia i niezdarnie stawia pierwsze kroki. Dom, szkoła, kumple, przygodne miłostki i ludzie w autobusie, wszystko to znałem, ale gdy miałem właśnie przed oczami i smakowałem, nie miałem pojęcia, czym to jest. Moje życie było oczywistością, nie miało dla mnie tajemnic, bo jadłem, spałem, chyba kochałem, tylko że była to chińszczyzna i żeby nawet sam pan Bóg mi tłumaczył, jak ważne rzeczy dzieją się wokół, wyśmiałybym go i pomyślał, że świruje. Teraz wystarczył jeden papieros, pytanie: „Adam jesteś?” i zobaczyłem, że Smolarz to taki sam człowiek, jak ja. Co za szambo! Strach na komendzie, czekanie na wyrok, trzęsawca serca w nowym miejscu – to pestka w porównaniu z odkryciem, jaki ze mnie gnojek. Tamta niepewność: ile zaliczę lat do odsiadki, czy mocno dostanę od glińiarza, mijają wcześniej czy później. W szambie, które napompowałem sam sobie, siedziałem odkąd pamiętam i wcale nie zapowiadało się, że z niego wyjdę, a co gorsze – nie wiedziałem nawet, jak to zrobić.

Chciałem podziękować Smolarzowi, zagadnąć, ale on przesunął już drążek w kabinie do przodu, nacisnął pedał gazu i gąsienice zaczęły na nowo miażdżyć trawę. Gdy odjechał, czułem się tak, jakbym przed chwilą spotkał się z matką. Jedynie ona wobec mnie była łagodna i naprawdę szczerą. Smolarz, mimo chropawego głosu i paskudnej gęby też miał w sobie coś niezakłamanego, spokojnego, co nie goniło go wciąż do przodu. To, czym zajmował się akurat, siedzenie za drążkami w traktorze, podanie papierosa, było dla niego w tej chwili

najważniejsze i warte uwagi. Patrzyłem za nim i myślałem, że patrzę na matkę, ale to nie mogła być ona. Przecież nie paliła, a Smolarz właśnie przypalał szluga.

Otrząsnąłem się. Za dużo, jak na raz. Nie chciałem się przyznać do tego, co zrozumiałem. Zacząłem uciekać. Dopiero krzyk złodzieja – gdzie leczę? czy mi odbiło? – ocucił mnie i spostrzegłem, że naprawdę biegnę. Wróciłem i po chwili wszystko było glans. Znów czułem się panem siebie i kląłem nawet w duchu, że dupa mi zmiękła. Kimże był ten Smolarz? Ilu ja takich widziałem w parkach, pod kioskami z piwem albo w smażalniach. Wałęsali się, dziadoki, wyżerali resztki z kartonowych platerów, a czasem próbowali wyrwać łyk piwa od kogoś. Goniło się fajansiarzy. Niejeden dostał kopa. Starąłem się wcisnąć Smolarza między nich, ale jakoś nie pasował. W wyjadaczach i wyrwikuflach nie było niczego, co mogłoby zaprzątnąć myśli. Owszem, człowiek pogonił jednego, drugiego, wypłaciło się dziadowi blachę, ale więcej było śmiechu i politowania niż złości. Nad Smolarzm nie dało się litować ani robić podśmiewanek, nawet tak na siłę, ze staraniem – wyszłaby lipa. Można było go polubić albo znienawidzić. Żadnych pośrednich kombinacji i udawania. Dziś tak, a jutro inaczej – nie szło tego ugryźć. Trzeba się było zdecydować raz i do końca, bo inaczej człowiek siedział w nieprawdziwym, zupełnie jak manekinem na wystawie sklepowej przebrany w ekstra szmaty. Patrzyłem za nim, jak jeździ tym swoim wielkim traktorem i ciągnęło mnie, żeby wleźć do szoferki i złać go do nieprzytomności. Czułem dzięk nienawiść i nie wiedziałem dlaczego. Nie znałem go, nic mi nie

zrobił, nie powiedział złego słowa, a jednak chciało się go zapalić w gębę. Co za kocioł? Skopać i jednocześnie podać rękę!? Tego jeszcze nie przerabiałem. Coś się we mnie skittłasiło. No bo jak to? Chcieć kumplować, tak od serca, a za chwilę spuszczać chłostę? Trochę nieelegancko, ale tak naprawdę jarzyła taka huśtawa, prawie jak przy czaju, kiedy serce zaczyna mocniej pracować, a bańka wchodzi na wysokie obroty.

Zacząłem go obserwować. Takie palenie na przykład. Smolarz ćmił szluga i to mu wystarczało. Co za skurczybyk z niego? Jak jarał, wydawało się, że nie myśli, co będzie jak dopali, czy zdąży ubić zielonkę, czy pójdzie na wódkę po robocie, ile zarobi w tym miesiącu. W nim tego nie było. Palił to palił. Zupełnie jakby nie żył ciągiem od urodzenia do śmierci, ale tkwił w krótkich chwilach. Jak się zaciągał, to właśnie wtedy rodził się i umierał, jak naprawiał wóz, świat był dla niego wozem, a jak wywoził gnój z obory, to czuł jego smród, a nie, że kurewska robota i co by było gdyby? Żył tym, co właśnie się działo, przeżywał te swoje krótkie chwile i to one były dla niego całym światem. I widać było, że nie ma problemów, że jest szczęśliwy. Człowiek wciąż za czymś gonił, starał się i walczył, a i wszyscy obok robili tak samo. Klawisze popędzali, żeby był porządek na pawilonie, naczelnik pilnował, żeby grypsujący nie dokuczali za bardzo frajerom, złodzieje wciąż myśleli, skąd wykombinować szluga i przydrynić czajury. Nowelki o dziewczynach na wolności, wciąż nowe bandyckie życiorysy świeżo przybyłych złodziei, wszystko jak wahadło w starym zegarze: raz w tym co było, raz w tym co będzie.

Niezadowolenie i nieszczęścia. Smolarz jakby na opak wszystkim wczepiony był w to, co robił, widział, czuł i wahał, i to mu wystarczało. Wydawało się to jakieś niedorzeczne, kizskowate, pozbawione radości i wielkich wizji. Lecz gdzieś tam w łepetynie stukał jakiś dzięcioł i rwał się do takiego życia.

Odkąd poczęstował mnie szlugiem kłaniałem mu się, kiedy tylko się napataczał. Na początku nie lubiłem tego. Głupio czapkować komuś w więzieniu. W kryminale wystarczyło do klawiszy meldować się, a do kumpla powiedzieć „siemanko” – i po krzyku. Takie „dzień dobry”, „do widzenia”, to jakby człowiek na nowo uczył się ludzkich obyczajów – za nic nie pasiło. Niektóre gesty czy podkrętki może na wolności były normalką, ale wśród złodziei nabierały innego znaczenia, zupełnie tak, jakby pójść na dyskotekę z dziewczyną i zamiast mówić do niej Aniu, z wdziękiem szeptać: ty dziwko. Kumple nawet zaczęli się ze mnie naśmiewać:

– Coś taki kulturalny?

– Opuść sobie, przecież to dziad, którego nawet w dupę nie warto kopnąć.

Mimo to, wbrew sobie i wszystkim, kłaniałem się Smolarzowi. Po paru razach miałem dość tego. Truteń nie odpowiadał na moje ukłony, ale jak zobaczyłem, że chciwie łypie gałami i cieszy się na mój widok, jeszcze chętniej zacząłem go pozdrawiać. Skrywał się pod gęstą czupryną, ciemną skórą i zniszczonym ubraniem, ale oczy świeciły mu na kilometr. Białka odcinały się od czarnej gęby i to był jego jedyny słaby punkt, przez który można było wleźć do środka i wytargać tajemnice, które dołował. Wiedział o tym i chyba dlatego, kiedy tylko ktoś

zaczynał mu się przyglądać, przypalał papierosa, wypuszczał kłęby dymu i przecierał oczy, jakby ten dym mu przeszkadzał, a tak naprawdę, robił sobie z niego tarczę.

Przeklinałem Smolarza. Wiedziałem, że oprócz odwołania wyroku będę główkował nad nim, co to za jeden i co w nim siedzi takiego, że nie daje mi spokoju. Lubiałem jasne sytuacje, poukładane: ten jest taki, a tamten siaki. Od naczelnika wiedziałem, czego się spodziewać: śpiewał na jedną nutę. Może w domu, jak tak ucałował żonę, zmieniał się, ale mnie nie interesowało, jakie szopki urządzał z rodziną. Z kalwiszami też nie było wielkich łamigłówek. Kurzela pruć się na okrętę, Recydywa wciąż zaprawiony, Grypser wystraszony, a reszta? Też posuwała w szablonie. Siedziałem już ponad pół roku i już na blat byłem przekonany, że naprawdę nie ma wielkiej różnicy tutaj, czy na wolności.

W kryminale złodzieje przewijają się na pęczki, niby wciąż nowe gęby, inne humory, zmieniające się życiorysy, ale jak się zastanowić, wspomnieć, wszystko można było wrzucić do jednego worka. Za kratami, na zewnątrz, też się wciąż coś działo: dzisiaj prywatka, jutro balecik i wciąż młyn. Może różnica między cywilem a złodziejem polegała tylko na tym, że jeden żył uczciwie, a drugi wywijał. Ale nie byłem tego taki pewien. W więzieniu miałem pewne ograniczenia. Nie mogłem wyskoczyć na piwo, wyrwać dzierlatki z dyskoteki kiedy chciałem. Ale czy na wolności nie było ograniczeń? A jak się zachciało takiej dupeczki z klasą, na wysoki połysk, to trzeba było mieć kasę, ekstra brykę, bo nawet najlepszy gadulec nie poparty rajstrem

szmalu można było wywalić do fajansu. Ludzie wszędzie są tacy sami. Zabiegani, wciąż narzekali i martwili się, czy starczy do wypłaty, męczyli się myślami, trochę ukradli i tak się toczyli z tym światem. Ale co w takim razie było ważne? Narodziny? Śmierć? Tak na prosty rozum, co człowiek wie o tych dwóch rzeczach? Nic. Jak się rodzi, to jeszcze czacha mu nie pracuje, a jak umiera, to już tej czachy nie ma. Tego się bałem i to mnie przerażało. Bo jaki sens? Czułem przez skórę, że Smolarz mógłby odpowiedzieć na niejedno i spytałem go raz, o co w tym całym bałaganie chodzi i gdzie w tym moje miejsce? Puknął się palcem w czoło. Mało brakowało, a naprawdę bym go wtedy uderzył. Zajeżył mnie niemiłosiernie. Ja do niego ze sprawą, poważnie, a ten jaja sobie robi. Siedział na decie w szoferce i zauważył, co się kroi. Dodał gazu, aż gąsienice wyrzuciły do tyłu kupę trawy i odjechał. Po dziesięciu minutach zatrzymał się obok, wychylił z szoferki, wyjął szlugi i zaczął częstować. Miałem mu ochotę powiedzieć, żeby je sobie wsadził, ale jakoś nie mogłem. Odwróciłem się i poszedłem rozwalać nową kupę trawy, którą przywieźli. Smolarz znów zatrzymał deta obok mnie i ponownie wyjeżdża ze szlugami.

– Jak popatrzysz, to zobaczysz – powiedział

Coś mu się chyba w głowie pokręciło. Moja złość jednak w jednej chwili zmieniła się w sympatię. Wbiłem widły w trawę, odwróciłem się do niego i spytałem, że niby gdzie mam patrzeć. Na tę śmierdzącą kisonkę, na sranie byków, a może w obłoczki i podziwiać jak płyną? Smolarz zaczął się śmiać jak ropuch, a ja za chwilę razem z nim. Wziąłem papierosa i przypaliłem.

– Nieźle jest tak posrać pod obłokami – powiedział,

nacisnął pedał gazu i odjechał.

SIANO

Słowa Smolarza mocno weszły mi w głowę. Na debila to on może wyglądał, ale na pewno wiedział, co mówi. Chciałem go wtedy, na silosie, zapytać, o co biega, tylko zamiast jego głosu usłyszałem trzask zamykanych drzwiczek i ryk silnika. Nawet gdy machałem ręką, żeby się zatrzymał, udawał, że musi przejechać jeszcze tu, potem tam i posuwał jak wariat do fajrantu, bez względu na to, czy trawa była ubita, czy leżała zwalona luzakiem. Ale w harówie szybko odechciewa się główkowania. Nie było czasu splunąć, bo wciąż poganiali. Jak się zapala do wyczerpania, ma się raczej ochotę gdzieś przekimać, a nie filozofować. Zresztą nie za bardzo miałem głowę do takich rzeczy. Wolałem konkrety. Jak złapałem dziewczynę za poślady, to wiedziałem, co trzymam, ale jak ona odpychała mi ręce i mówiła o jakiejś miłości platonicznej, o achach, ochach, że może kwiaty, wiersz przeczytać, to miałem ochotę postukać się w czoło i pożegnać z nią na zawsze. Po co komu właściwie mędrkowanie? Zapuszkowali mnie, więc byłem więźniem, a nie marginesem kwalifikującym się do resocjalizacji. Wygłupy też czasem lubiłem, każdy ma jakieś słabości, ale żeby zaraz nazywać to degradacją moralną, życiem poza nawiasem? Jak ktoś miał być nygusem to nim był, a ubieranie tego w mądre słowa mieszało tylko w głowach. A jak komuś nie bardzo szło myślenie, to dobrą bajerą z mądrymi słowami można mu było wcisnąć każde kłamstwo i nawet się nie zorientował, kiedy w bandycie zaczynał widzieć świętego, a na porządnego gościa patrzył jak na zbrodniarza, który nadawał się pod krawat. Babka

miała rację, gdy powtarzała, że najlepiej mówić: tak to tak, a nie to nie, bo inaczej świat staje do góry nogami.

W pegeerze ciągle kiszonka i siano. Wszyscy zapalali, żeby bukaty nie chodziły głodne i rosły jak najszybciej. Co z tego? Krówska się nażarły, nawaliły, potem szły pod nóż i zapychały nienasycone bebechy głodomorów. Nie było sprawiedliwości na świecie. Żeby chociaż złodziej miał gram tłuszczu z tego, co robi. Niektórzy z klawiszy mówili, że na głodniaka lepiej się pracuje i pomysłu lotny, ale ja wolałbym zarzucić kawał chabaniny z młodego bysiora: wtedy wigor męski jak siemasz i życie nabrałoby kolorów. A tak co? Złodziej zasuwał jak dziki osioł i miał z tego jedynie głodówę oraz marnego klocka. Efekt był taki, że jak poszło się za stodołę, to nawet muchy nie chciały przylecieć, bo do czego? Po smutniaku, kartoflach i maryśce, żołąd wciąż pusty.

Pierwsze siano z łąk trzeba było zwozić do stodół. Kiedy brygadzysta uznał, że najwcześniejsze pokosy są już gotowe, zaczynało się zbieranie. Trawa musiała być taka akurat, że jak się wzięło w rękę szeleściła i pękała. Sporo trzeba było się nawywijać widłami, żeby zielsko przeszło, a jak już doszło do siebie, ładowało się towar na przyczepy i wio do pegeeru. Słońce świeciło przez parę dni, więc robota nie szła na marne, ale czasem było i tak, że trawa już prawie jak krepina, że tylko piczy włos brakował jej do zupełnej suchości, a tu w nocy przychodził deszcz, polewał jak z sikawy i z pachnącego siana robił się parujący klops. Trzeba było robotę zaczynać od nowa i

też nie było pewności, że pogoda znów nie zrobi sobie jaj i w ostatniej chwili nie porozwala planów brygadzysty. Dla złodziei nie ma różnicy: mokre, suche w jeden kij dmuchał. Ale osobiście wolałem, żeby szło gładko. Atmosfera wtedy łagodniejsza. Cywile mniej nerwowi, brygadzysta nie latał spanikowany i nie wyżywał się na nas za to, że pogoda dziadowska. Tak naprawdę, zawsze było coś nie tak. Bo gdyby o pogodę jedynie chodziło to palicho, pogoda jak pogoda, raz słońce raz deszcz. W niebie jakoś tam zawsze pozwalali zrobić na ziemi, co trzeba. Tutaj chodziło jeszcze o sprzęt, traktory, przyczepy, urządzenia i dobre chęci. Zawsze jest tak, że jak zbuduje się dom na gównie, to on się szybko rozwali, czy się tego chce, czy nie. A w Chojnicach wszystko stało na czymś śmierdzącym. Wciąż się coś psuło, nie było tego, brakowało tamtego, bo kto miał dbać. Do takiej roboty trzeba było zapachu, zamięłowania, żeby wszystko trzymało się kupy. Pamiętam, że jak babka szła na własne pole pielic grządki z warzywami, to oczy jej błyszczały z radości. Doglądała tego swojego zielska, jakby to był jakiś obsraniec w pieluchach, potem zbierała wyhodowane, szła na targ, a jak udawało jej się coś sprzedać, chowała kasę do pitra zadowolona, coś tam liczyła, myślała i wtedy chciało się na coś takiego patrzeć, chociaż ja nie bardzo załapywałem, że z babraniny w ziemi można tak się cieszyć. Zawsze mówiłem, że do gnoju stworzony był cham, a nie porządny człowiek. Pewnie los mnie za to pokarał i sam stałem się chamem w gumofilcach, uwalanym po pachy. Jak patrzyłem na zagony babki, uśmiech sam rozpląwał się po pysku: grządki równiutkie, przejrzyste, czysto, a choć czasem babka też ponarzekła, że za dużo

deszczu, za mało słońca, albo przymrozek za mocny przed ogrodnikami, to i tak zawsze jakoś wychodziła na swoje. Ciężko porównać pół hektara babki z masą ziemi w pegeerze, ale wydawało mi się, że chodzi o to samo. Tutaj na żadnej twarzy nie widziałem tej radochy, co u babki. Jedynie Smolarz podchodził do sprawy inaczej. No, może nie tak, jak babka, ale bez grymasów, jak pozostali cywile. On robił równo, solidnie, powoli i dokładnie – ani się cieszył, ani zajeżał.

Najlepiej, kiedy z rana przydryniło się czajury: robota paliła się wtedy w rękach. Szło jak po maśle. Robiliśmy nieraz między sobą zawody, który z nas nabierze najwięcej suchego trawiska i wrzuci go na przyczepę. Czasem kopy na widłach były tak duże, że stylisko gięło się jak witka albo pękało z trzaskiem. Złodziej się cieszył, bo miał przerwę od roboty. Musiał zejść do pegeeru po nowe, więc w czasie drogi odpoczął. Ale czy warto było? Ze złamanych wideł robiła się poruta. Ile wystuchiwania, straszenia, a odpoczynku w sumie tyle, co nic. No, ale droga w samotności miała jakiś urok. Klawisze wmawiali nam, że zwyczajnie odwalamy leserkę, celowo, by zakłócić rytm pracy. Ale oni zawsze musieli coś powiedzieć, żeby nie wyjść z wprawy.

Najgorszy z konwojentów był Kaftan. Bez przerwy łąził za nami, nawet kiedy robota wypadła pod granicą czeską. Nie odstępował nas ani na krok. Martwił się nami jak pasterz owieczkami. Niby nie poganiał, nic nie mówił, ale dobrze obserwował i na fajrant, bez zmrużenia oka, wypisywał kwity. Ustawiał nas w dwuszeregu, maszerował wolno przed frontem, popatrywał, zastanawiał się, a potem ogłaszał, że ten a ten, za

niewydajną pracę, zostaje ukarany raportem. Winnych wskazywał palcem.

Lepszy był Kołtun. Jego widzieliśmy tylko na początku roboty. Mieszkał na skraju pegeeru i pewnie chodził do siebie by tuczyć świnie na państwowej paszy. Nikogo to zresztą nie obchodziło. Najważniejsze, że nie pokazywał swojej wstrętnej gęby. W pawilonie potrafił dać się nieźle we znaki. Kumple mówili, że Kaftan i Kołtun to pestka przy Kurzeli. Wcale nie wątpiłem, chociaż z moją grupą nigdy nie jeździł i całe szczęście. Dosyć go było na pawilonie i gdyby jeszcze trzeba było znosić jego towarzystwo w robocie, pewnie niejeden siwy włos dodatkowo wyskoczyłby na baniaku. Wolał chyba być koło domu. Przy pegeerze Fiksa, tego bliżej ozetu, nie widziałem takich domków jak w Chojnicach. Stał tam szary blok, składany chyba z betonowych płyt i pewnie w nim mieszkali pozostali klawisze. A właściwie kim oni byli? Do porządnej roboty się nie garnęli, wszystko na gotowca: mieszkanie służbowe, ciuchy też od państwa, żadnych odcisków na rączkach, jeszcze pewnie zniżka na opał, elektrykę oraz przydział środków czystości. I wszystkie te dobroci po to, żeby bliźniego kopać w dupę.

Z sianem było różnie. Jak dobrze podeszło, szło na stodoły, a gdy pokropił je parę razy deszcz, wywalane było na silos i nic się nie marnowało. Co nie co już wiedziałem – do czego służy siano, a nawet gdzie się je przechowuje. Niby nie było się czym chwalić, ale jak trafił się złodziej, który całe życie kręcił się z nabojką po mieście, a mięso dla niego to nie bukat w oborze, który pożera siano, tylko kawał chabaniny na talerzu w

knajpie, który kelnerka przynosi z półlitrowką, wtedy czułem się od takiego mądrzejszy. Czasem nawet nie mogłem zrozumieć, dlaczego chłopaki nie mają pojęcia o wsi. Przecież już w elementarzu, w pierwszej klasie, uczą dzieci jak na wsi jest sielsko, anielsko. Że to była lipa – wiadomo. Później zrozumiałem, czemu wieś to dla nich czarna magia. Gdy przychodził taki kozak z listem w ręku i prosił, żeby mu przeczytać, to wszystko od razu było jasne: gamoń. A z gadany, z postawy, człowiek nie domyśliłby się za nic, że analfabeta. Stary, zamiast prowadzić dzieciaka do szkoły, posuwał z nim w miasto na kieszeń albo na włamsko, edukował w fachu, i nie było czasu na szkołę. Lekcje taki miał, a jakże, przy butli, przy panienkach i z gliniarzami. Inteligentny, szybko załapywał, co i jak, i bajerował jak niejeden profesor. Ze mną było inaczej. Posyłali mnie do szkoły, chcieli ze mnie zrobić mądrego, ale ja i tak miałem swoje ścieżki. W rodzinie sami porządni, na państwowych posadach: „rzetelna praca, wysokie morale”. Takich władza lubiła. Pomnażali zasoby kraju, a ja – czarna owca. Mama w zaopatrzeniu, stary gdzieś tam brygadzystą, dziadek na emeryturze, a babka w fabryce i przy domu, na swojej ukochanej działce. Jedynie siostra starego mieszkała na wsi i żyła z babraniny w gnoju. Chętnie do niej jeździłem na wakacje. Dobrze mi u niej było. Najbardziej z tej wsi to lubiłem spanie w stodole, na sianie. Gramoliłem się po drabinie na sąsiek i miałem poczucie, że to najbezpieczniejsze miejsce na świecie. A jaki zapach: mroczyło do kości. Na drugim sąsieku wujek układał zwykle snopki wymłóconego żyta. Tam już nie lażłem. Ze słomy wyłażą kolki i wystarczy przewrócić się na bok

na czymś takim, a miało się wrażenie, że ktoś strzykawkę łąduje w cielsko.

Gdzie tam stodoły w pegeerze do prawdziwej wiejskiej stodoły! Jak już się u ciotki wpakowałem na górę, na siano, i leżałem cichutko, stodoła była jak żywe stworzenie. Z dachu dochodziły jakieś chrobotania, świergot wróbli, które mościły sobie w słomianej strzesze miejsca do spania. Ściany obite deskami trzeszczały, pracowały od porannej rosy, albo południowego słońca. Na dole po klepisku ganiały myszy, przepędzane czasem przez kota, a kiedy ktoś przejeżdżał drogą, zaraz słychać było dźwięk łańcucha i ujadanie psa. W pegeerze stodoły były jak fabryki. Na dole hala z rzędami stanowisk dla bydła, na górze miejsce do składowania siana. Otynkowane ściany, pobielane wapnem, przypominały więzienną szpitalkę, gdzie panuje porządek i nie ma miejsca na nic, co jest wbrew regulaminowi. Jedynie gniazda jaskółek poprzyklejane na łączeniach ścian ze stropem przypominały, że są gdzieś jeszcze prawdziwe stodoły.

Dlaczego od razu tego nie zauważałem? Łaziłem jak ślepy i wszystko robiłem po omacku. Czy musiałem przyjechać na ten wygwizdów i dostać porządnie po gnatach, żeby z oczu zlazło bielmo? Zaczynałem nawet myśleć, że spotkało mnie szczęście, że kryminał uratował mi życie i pozwolił zobaczyć, że na świat i ludzi można patrzeć nie tylko przez butelkę, zabawę z dziewczyną i pełny portfel, ale cieszyć się jedynie z tego, co się widzi, słyszy i dotyka. Ale żeby to odczuć, trzeba było nauczyć się patrzeć. I wtedy szlag mnie trafiał za tę naukę. Miałem dość takiego doświadczenia. Dostawać każdego dnia kopa od losu i

chłostę to nic przyjemnego. Co to za mądrość i gdzie sprawiedliwość?

Skąd to wszystko się we mnie brało? – pytałem siebie. Noce spędzone w dyskotekach, szybkie zmiany dziewczyn, szybkie numerki, wygłupy, pogoń za tanią rozrywką – wszystko to przemykało przede mną i nie zostawiało śladu. I niby dziadostwo, zaszary pegeer, ale jak jechałem na przyczepie z sianem, które własnoręcznie załadowałem, czułem jakiś dreszcz na skórze, przez głowę przemykały obrazy z dzieciństwa: jak pomagałem ojcu w drobnych pracach, albo jak na wsi, u ciotki, spędziłem wakacje przy żniwach. Te wspomnienia, kiedy sam czegoś dokonałem, zrobiłem własnymi rękami od początku do końca, powiązały się w całość. Siedziałem na przyczepie z sianem i śmiałem się do mojego dzieciństwa, którego już tak dawno nie wspominałem. A kiedy wdrapałem się na strych stodoły i wraz z innymi złodziejami odbierałem siano, które wdmuchiwała wielka rura ustawiona na dole, w powietrzu pełnym kurzu, potu i zmęczenia, wpadałem w trans i jak wariat, bez opamiętania, przesuwałem siano na koniec strychu. Pieniądze jakoś tam zdobywałem, ale one nie miały tak naprawdę wartości: łatwo przyszły, łatwo poszły. Z sianem na odwrót; ciężko przychodziło, że pot jaja zalewał strumieniem, ale zostawało poczucie, że ma to jakiś sens, że to na zawsze moje i nikt nie może mi już tego odebrać. Przyjemne było to uczucie, ale buntowałem się przeciw niemu. Może przyzwyczajenie, jakiś nawyk, nie pozwalały mi cieszyć się przez cały czas. Nachodziły mnie chwile, że miałem ochotę rozpieprzyć wszystko dookoła i uciec w góry, zaszyć się w jakiejś

jamie i spać do końca świata. A jak nie mogłem zdecydować się na ucieczkę, bo bałem się, że i tak mnie złapią, wywleką z kryjówki i dołożą kilka następnych lat do odsiadki, to szukałem ujścia dla swojego gniewu. Okazje były co krok, same się napataczały. W górach żyło pełno zwierzaków. Czasem, jak przewalałem pokos, trafiała się pod nim miedzianka. Cywile nazywali tak małe, brązowe węże, których tutaj było sporo. Gdy go już dojrzałem, do nory wąż nie wracał. Dostawał, gadzina, kilka wideł w oślizłe cielsko i albo od razu odjeżdżał do Bozi, albo czuł jeszcze jak obdziera się go ze skóry. I lżej się robiło. Chociaż, jak się zastanowiłem, była to jakaś makabra, ale złość na siebie samego i niemoc, że człowiek nie potrafi zrobić ze sobą porządku, że nie jest panem samego siebie, odlatywały razem z wężyskiem.

Urządzenie do wdmuchiwania siana było zmyślne. Przypominało trochę olbrzymią maszynkę do mielenia mięsa. Różnica polegała na wielkości i dodatkowym osprzęcie. Machina miała długą rurę podczepioną tam, skąd wyłaził pocięty chabanina. Biegła pod kątem i ginęła w drzwiczkach poddasza stodoły. Zamiast po drabinie, ktoś chudy mógł wejść na strych przez taką rurę. Fucha pod dachem była stokroć gorsza niż stanie na dole. Rozpędzone łopatami wirnika powietrze wpychało na górę siano, a przy wylocie, było tak, jakby smok z paszczy zasuwał dymem i gorącym powietrzem. Człowiek wychodził po robocie cały czarny, z ustami pełnymi suchej śliny, zapaćkanymi i piekącymi oczami, kaszląc jak cholera. A na dole – tak jakby kobieta pichciła obiad w

niedzielę: widełkami, małymi porcjami, żeby rura się nie zapchała, hop sianko do wielkiego leja. Świeże powietrze, dupsko nie spocone, oddech całą gębą – a elektryka odwalala najcięższą robotę. Na strychu bieganina jak w ukropie. Mało tego, że trzeba było jak najszybciej odbierać siano spod dmuchawy, bo chwila nieuwagi i wylot zaraz cały zapieprzony, to jeszcze trzeba było je przesuwac w drugi koniec strychu. A pegeerowska stodoła to nie ta, co na wsi. Tu było jak w hangarze samolotowym, gdzie wciąż układało się siano, a wolnego miejsca pozostawało bez przerwy mnóstwo. Gdy ułożyliśmy świeży towar, to wydawało się, że siańska wpadło na górę od pyty, ale na drugi dzień, kiedy wszystko się uleżało, widok jakby wcale się nie zmienił. Z początku, gdy nie mieliśmy jeszcze wprawy, biegaliśmy jak głupcy z pełnymi widłami i więcej było przeszkadzania niż ułatwień, ale później ustawialiśmy się w rzędzie, jeden drugiemu przerzucał towar i robota szła taśmowo.

Brygadzysta kazał uważać na wilgotne siano. Poinstruował nas, że kiedy trafi się mokryzna, to żeby nie upychać jej według kolejności, ale zostawiać gdzieś na wolnym, przestronnym miejscu, by doschła. Ale kto tam wiedział, które jest które. Jak kłęby trawy przemieszane z suchym powietrzem i kurzem wpadały do środka i mieszały się z tym, co już było, to nawet gdyby się chciało, nie dało rady odróżnić suchego od wilgotnego. Może brygadzysta miał wprawniejsze oko, albo może gdyby tempo było wolniejsze, dałoby się wychwycić, co trzeba. A tak, wszystko mieszało się razem i szło na jeden stos. Z jednej strony kazali uważać, a z drugiej – szybko pracować.

Pośpiech z uwagą to tak, jakby ogień z wodą. Gdybyśmy zaczęli uważać, przyglądać się, badać trawka po trawce, dmuchawa zapchałaby się szybciosem. Na dole klawisz, albo któryś z cywili, zaraz by zaczęli krzyczeć, że się opieprzamy, straszylby raportami, wyzywał od nierobów, że sabotaż, że chcemy spalić silnik w dmuchawie i czort wie, co jeszcze. Ładowaliśmy siano nie zawracając sobie głowy odrobiną wilgoci. Kiedy przyszła zima i zwałało się je dla bydłaków, efekty szybkiej roboty wychodziły rogaciźnie bokiem. Przyrody nie da się oszukać. Jak wilgotne przywali się kupą, to żeby nie wiem co, siano zaparzy się i zrobi kwaśne. Gdy widłami podebrałem w jakimś miejscu, to aż buchał dym. Z zielonej trawy robiło się coś szarosiwego, jakby ogień spalił suche jesienne łęty ziemniaczane. Bydełko za nic nie chciało żreć takiego gówna. Brygadzista chodził wtedy i klął jak szalony:

– Skurwysyny, złodzieje, do kryminału was powadam!

Nikt się tym nie przejmował. Tyle jego, co się nakrzyczał. My podlegaliśmy klawiszom. Brygadzista poganiał i wrzeszczał też na nas, ale tak naprawdę, to on mógł złodziejowi nagwizdać. Z cywilami co innego; gonił ich i straszył zwolnieniami z pracy. Często obiecywał, że rozpędzi wszystkich i najmie do roboty porządnych, ale jakoś mijały miesiące, a nikt nowy nie przychodził, bo i któż by się zgodził na robotę na takim zadupiu? Ci, co już pracowali, byli tu chyba tylko z powodu mieszkań. W kraju własne cztery kąty to towar chodliwy. Jak już ktoś miał gdzie mieszkać, a w dodatku jeśli chata była za darmo, trzymał się jej rękami i nogami.

Tyle hektarów, trawy, maszyn, kupa ludzi, a kiedy przychodziła wiosna, nie było co wrzucić do żłobu. Połowa paszy rozkradziona, kiszonka niestrawna – zgniła, siano jak parujący klops. Chyba bardziej smakowałoby człowiekowi niż bydłakom. I co było robić? Ciotka na wsi załamałaby pewnie ręce i rozpaczała przez parę tygodni, gdyby coś takiego ją spotkało, a w pegeerze jakby na odwrót. Może o czymś nie wiedziałem i nie był to pegeer, lecz stacja doświadczalna i wszystkie chwytły były dozwolone. Dyrektor załatwiał skądś forszę, kontraktował siano u chłopów i po kłopotcie. Nawet krówska poznawały się, że z państwowym coś nie tak. Wołały prywatnie, od chłopów, ale one może też się nie znały, tak jak ja. Może powinny zacisnąć szczęki, narazić się na sraczkę i żreć zgniłe w imię lepszego jutra.

Kiedy strychy w stodołach i oborach były pełne, zaczynało się układanie stogów. Tutaj nie dało się na łapu capu. Z dmuchawą można było robić sobie przerwy, a ze stogiem to tak jak z dziewczyną: gdy się zaczęło to już trzeba było do końca, bo inaczej finał mógł być nieciekawym. Pogoda musiała być jak marzenie. Niechby brygadzysta wypatrzył gdzieś podsinioną chmurę na niebie – stóg musiał poczekać. Trochę deszczu i cały wysiłek szedł na marne. Po drugie, raz rozpoczęta robota musiała być skończona jak najszybciej, a pośpiech nie mógł oznaczać dziadostwa. Budowlę z siana trzeba było zrobić solidnie, równo ułożyć i dobrze zaplanować. Stóg powinien być akurat, ani za mały, ani za duży, a zależało to od tego, ile siana leżało na łąkach. Niewesoło by było, gdyby zamierzyć się na wielgachną kolumbrynę, a później zabrakłoby

siana na jej dokończeniu. Nie powiem, brygadzysta jaki był, taki był, ale oko to on miał. Połaził trochę po stokach, ze wzniesień pooglądał, ile leży towaru i wiedział, jakie wymiary musiał mieć stóg. To była dopiero połowa dzieła. Aby ułożyć dobry stóg, taki żeby nie zwałił się od byle podmuchu wiatru, albo pod własnym ciężarem nie poleciał na bok, trzeba było dobrej ręki, ludzi i sprzętu. Na podstawę szła pierwsza zwózka. Zrobić obrys to żadna filozofia. Brygadzysta zaznaczał palikami narożniki i pierwszy lepszy złodziej mógł pobawić się w murarza. Dalej? O, tu już trzeba było artysty. Na oko, zdawało się, że takie układanie to łatwizna, kolejność zawsze ta sama: najpierw brzegi, potem środek – warstwa za warstwą i kolos rósł powoli. Łatwo szło, gdy stóg miał dziesięć centymetrów. Im wyżej, tym gorzej. Tak na metrze od ziemi człowiek miał wrażenie, że porywa się z motyką na słońce. Pięć metrów szerokości, z dwanaście długości, to jakby na statku przy huśtającym się morzu. Nigdy nie wiadomo, czy poziom trzyma z prawej, czy z lewej.

Mistrzem w układaniu był Smolarz. Niby nic nie robił przy stogu, ale to właśnie dzięki niemu wszystko szło gładko i równo. Stał między złodziejami i wymawiał tylko dwa słowa: „tutaj”, „tam”. Czasem osobiście ruszył widłami, przesunął pecynę trawy o kilka centymetrów, podważył, wzruszył. Nigdy nie zszedł na dół popatrzeć, czy ściany są równe. Ten cholernik stał niewzruszenie do końca, aż nie położył ostatniej warstwy zadaszania. Po takiej robocie niczego nie trzeba było poprawiać. Żadnych sznurków, poziomic, a kiedy się patrzyło z dołu na ściany, na szpiczaste zadaszanie, nie można było

uwierzyć, że nie zlażł ani razu na dół, żeby sprawdzić, czy boki gdzieś nie lecą. Bryła równiutka jak z szablonu. Na koniec robił kosmetykę. Długimi drewnianymi grabiami, szcesywał wystające kępki siana, by woda w razie deszczu nie miała gdzie się zatrzymać.

– Jak pan to robi, że stóg jest taki równy – pytałem Smolarza.

– Trzeba równo układać.

– Ale jak? Wiem, że równo, ale pan to nigdy nie chce nic powiedzieć.

Nie raz prosiłem go, żeby wyjawiał mi swój sekret, ale on uporczywie powtarzał, że żadnych tajemnic nie ma. Nie wierzyłem mu. Raczej główkowałem, że to, w jaki sposób zabiera się za robotę, jest nadzwyczajne i skomplikowane, zupełnie jak czarowanie w bajce. Do czego przyłożył łapę, wszystko mu wychodziło. Dla mnie coś takiego było nie do pojęcia. Ja też czasem spróbowałem tego, co on, tylko moje wysiłki, to tak jak narysować kółko od ręki i od pięciopłotówki. Pewnie, miał więcej praktyki, ale gdyby chodziło tylko o mnie, to palicho. Cywile, którzy od lat posuwali w pegeerze, też przykładali się do różnych rzeczy, a nigdy nie wychodziło im tak dokładne i solidne, jak jemu. Aż glans było popatrzeć. Nawet gdy machał kosą, trawa układała się tak równo, jak nikomu innemu. „Układaj”, „Spróbuj”, „Popatrz”, „Nie spiesz się” – to była według niego tajemnica. Kpiłem z takich recept.

– Umie pan zabajerzyć. A gada pan za dwóch – miałem radochę z niego. Uśmiechał się tylko i nadal nic nie mówił. A jego uśmiech i powaga należały jakby do dwóch osób. On i nie

on. Z powagą był inny i z uśmiechem inny. Odpychający bandzior i klaun w cyrku. Przeważnie pokazywał ponurą twarz, albo mi się tylko tak wydawało. Natomiast gdy chciało mu się pośmiać – tak jak każdemu, od razu, bez pomyślenia, bo jak coś śmiesznego, to człowiek trzęsie kałdunem i nie zastanawia się dlaczego – nie folgował sobie. Najpierw rozglądał się, sprawdzał, kto jest obok i w zależności od tego, ile było osób, dozował w porcjach swoje zadowolenie. Ciekawy byłem, dlaczego nie rozwali jaźwy na cały gwizdek, kiedy coś jest śmieszne. I o to chciałem go zapytać, ale nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić. Bo o co pytać? Dlaczego jest taki ponury? A kiedy jest powód do wielkiego śmiechu, to dlaczego ledwie uniesione kąciki ust? Nie mogłem. On się nie łądował z buciorami w moje sprawy, to i ja nie chciałem włączyć w jego życie. Był jaki był i pewnie dobrze mu z tym było.

Kiedy z kilkoma złodziejami pracowałem ze Smolarzem, zawsze starałem się być w jego pobliżu. Niby nic nie mówił, nie zachęcał, nie wydawał poleceń ani żadnych instrukcji, ale wystarczyło, że jest obok, że na niego patrzę, a wszystko szło ekstra. Przy Smolarzu czułem się, jakbym był kimś innym; takim małym człowieczkiem, o którym na religii mówił ksiądz – diabeł za skórą, ale pełen chęci obcowania z Panem Bogiem. Głowa też jakoś zaczęła pracować mi lepiej. Nie wmawiałem sobie zaraz, że wszystko dzięki Smolarzowi. Nie byłem przecież koniem z klapkami na oczach, który widzi tylko tyle, ile ma przed sobą. Świeże powietrze, posucha z winem, to i głowa pracowała na lepszych obrotach. Nie trzeba było żadnych cudów i tajemnic Smolarza. A jak człowiek wypocił się jeszcze

porządnie, to już żyć, nie umierać: cielsko zmęczone, a łepetyna cieszyła się jak po ćwiartce.

W pegeerze wszystko było dla mnie nowe. Uczyłem się nieznanej mi dotąd roboty i nie miałem z tym kłopotów. W zawodówce zawsze ciężko szło z nauką. Na lekcjach patrzyłem na dziewczyny i myślałem, która z nich jest lepsza. A jak się zagalopowałem w myśleniu, chciałem już nie jedną, ale trzy na raz, żeby tak porównać na gorąco, z bliska. Co mnie obchodziło towaroznawstwo, technologia żywienia czy higiena pracy. Nosiło mnie, rwało i rozsadzało w środku. Nic, tylko wejść na dach szkoły, skoczyć i poszybować w górę. Szamotałem się i nie wiedziałem, co z tym zrobić. Gdy na przerwie, między lekcjami, coś gotowało się w środku, że jeszcze chwila i musiałbym głośno zakląć albo z kimś się pokłócić, szedłem do sklepu obok szkoły, kupowałem alpagę i na boisku w trawie, dla uspokojenia, wywalałem całą butlę do spodu. Na lekcje już nie wracałem. W pegeerze odkryłem, że moje dzikie napady mijają, jak zdrowo poharuję.

Tutaj lekcje szły na przyspieszonych obrotach, a wiadomości wchodziły do bańki jak po maśle. Nie przeszkadzało mi nawet, że stałem się chłopem-więźniem. Na wolności pracowałem ale przyjemności z tego żadnej nie miałem. Gdy coś zacząłem, starałem się jedynie o dobre wrażenie. Przy Smolarzu przestawiałem się, jakbym wpadał w trans, z którego budziłem się dopiero na ozecie. Nie wiadomo kiedy brygadzysta zaczął patrzeć na mnie przychylnym okiem. Coraz częściej mówił: „Ciechań pokaże wam, jak to robić”.

„Zobaczcie, jak Ciechań pracuje”. „Co, nie można? Ciechań może?”

Wnerwiały mnie te jego gadki. Robiłem, bo tak chciałem, a nie dla pochwał. Złodzieje zaczęli nawijać, że pracuję na wokandę. Nie było tygodnia, żeby brygadzysta nie szeptał do konwojenta, by wypisał mi wniosek o nagrodę. Pisali, pisali, ale nic z tego nie wychodziło. Komendant albo naczelnik nie zatwierdzał żadnego wniosku: normalka – grypsujący. Nagroda szła w chasior. Szkoda było. Talon na paczkę żywnościową, zgoda na oglądanie telewizji, albo dodatkowe widzenie, przechodziły koło nosa. Komendant nie raz mnie wzywał do siebie i mówił, że jak przestanę grypsować, wszystkie wnioski o nagrody będą przechodzić. Kusił mnie i straszył. Z tych rozmów, z nim i naczelnikiem, zacząłem się domyślać, że na ozecie coś nie gra. Niby większość to grypsujący, ale jakoś nie wszyscy byli jednakowo traktowani przez administrację. Jedni dostawali nagrody, a inni nie. To były przecucia, cała kupa drobnych sygnałów, które nie umykały uwadze i gdzieś tam zapadały w mózgownicę, układając się w zamazany obraz.

Wreszcie miałem dosyć pochwał brygadzysty i robienia za przykład. Co to, mało było w Polsce przodowników pracy? Nawet w moim mieście nazywali ulicę – „Aleją sztandaru pracy” i oblepili ją zdjęciami tych, którzy w pocie czoła budują socjalistyczną ojczyznę. Stamtąd mógł sobie czerpać do woli wzorów do naśladowania. Gdy któregoś dnia wysiedliśmy z paryskiej i znów usłyszałem, że mam to a tamto, że pokażę, jak się robi porządnie, nie wytrzymałem i powiedziałem, co o tym myślę:

– Możesz pan wycierać sobie dupę, ale nie mną, tylko gazetą. Nie będę nic robił. Możecie mnie zwozić.

Brygadzista osłupiał, a klawisz doskoczył do mnie i wrzasnął:

– Cooooo! Macie raport za odmowę pracy!

Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na Smolarza. Oczy mu błyszczały, a gęba od ucha do ucha. Atmosfera była napięta i nie było do śmiechu, a mimo to nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem. Smolarz wyglądał jak skrzyżowanie diabła z żabą. Myślałem, że zaraz wsiądą na mnie, ale to nie mnie się oberwało.

– Z czego tak rżysz, Smolarz – zaperzył się brygadzista. – Zabieraj dupę w troki i do roboty.

Nie brzmiało to jednak groźnie. Po ostatnich swoich słowach brygadzista też nie wytrzymał i zaczął chichotać. Śmiech sypnął się jak lawina. Wszyscy złodzieje patrzyli na Smolarza i rechotali. Teraz wiedziałem, dlaczego Smolarz zwykle się nie śmiał. Cóż to by była za robota, gdyby tak co jakiś czas pośmiał się całym pyskiem?

JESIEŃ

Jesień wszędzie jest chyba jednakowa. W domu, w kryminale, na wczasach, czy w kawiarni przy stoliku, zawsze człowiekowi chce się spać, plucha daje się we znaki, wciąż mokro i zimno. W telewizji mówili czasem o polskiej złotej jesieni, ale ja tam miałem własne zdanie na ten temat. Gdy nie trzeba zasuwać w polu czy przy kopaniu rowów, tylko siedzi się w ciepłym pokoju przy kawce, za biurkiem, z książką, to może jesień jest złota, a nawet brylantowa. Mnie jakoś nigdy nie spotkała przyjemność oglądania złocistej pogody. I owszem, na wolności, jak popiłem wina albo poszedłem na randkę z dziewczyną, to nawet gdy lało cały dzień, świat rzeczywiście nabierał żółtych kolorów. W pegeerze, niech jasna cholera weźmie jesień, byki i wszystko, co się rusza. Tutaj był jakiś dziwny klimat. W maju padał śnieg, a jesienią ziąb gorszy niż w największy mróz.

W październiku, tak pod koniec, złodzieje zmieniali ciuchy z letnich na zimowe. Wszystko jedno, mógł być nawet ostry mróz, a i tak nikt wcześniej nie dostał z magazynu ciepłego ubrania. Może na nizinach taki system się sprawdzał, ale nie w Chojnicach. Nim człowiek wskoczył w kalesony i grubą podkoszulkę, trzeba było się bujać w cienkich szmatach, czekać na regulaminową datę i trząść się z zimna jak galareta w spodku. Niektórym przysyłały paczki z ciepłymi rzeczami, można było, a jakże, ale co z tego? Jak złodziej wpasował się w takie ciuchy podbite flanelą przed terminem, to owszem, jak u matki za piecem ale gdy klawisz przypalił, że w trefnym do tyrki,

kasował ciuchy i kwit do akt. Oni myśleli, że skoro sami podgrzewają sobie plecy piecykami elektrycznymi i jest im ciepło, to innym tak samo. Jak robota pod dachem, to w cienkim podkoszulku i drelichowej bluzie szło jeszcze wyrobić, ale kiedy trafiło się posuwać na jakimś wzniesieniu, gdzie wiało ze wszystkich stron i nie można było schować się za cokolwiek, to nawet nie wiem jak wytrzymał by gały, jesień zawsze była szara, a nie złocista.

Jesienią silos z trawy był już pełny. Teraz приходziła pora na kukurydzę. Kukurydza jest najlepsza, gdy przewieje ją jesienny chłód. Niby rośliny głupie, nie mają rozumu, a jednak potrafią obronić się przed zimnem. A złodziej? Kazali mu wyjść w cienkich gaciach i drelichu na wiatr, kazali zapieprzać przez osiem godzin, to zapieprzał, siedział cicho i był bezradny. Pewnie, można było zrobić odmowę pracy, ale co to za interes? Zaraz czternaście twardego i działka dziennego żarcia obcięta do połowy. W dodatku cela dyscyplinarna nie ogrzewana, bez szlugów i jeszcze klawisze nigdy nie zamykali okienka. Ziąb jak w lodowni. A kukurydza? Z ziemi wyciągała glukozy ile chciała, ładowała kalorie w liście, w łodygi i zimno mogło jej nagwizdać. A jakże, gwizdało i to jeszcze jak, na swych wąsatych kolbach, na pohybel złodziejowi. Z kukurydzą to nie tak jak z trawkiem. Gdy skosili i zwieźli na silos, to z tym za wiele roboty nie było. Kombajn jechał równiutko, ścinał spokojnie, rurą wylatywała pocięta kukurydza, spadała na przyczepę, potem na silos i nawet ubijanie trwało szybciej. A najważniejsze, że nie trzeba było bujać się z widłami po górach i przetrząsać jej. Gdzie tam silos z kukurydzą do silosu z trawą. To tak jak pchła przy psie.

Ale nie mogło być inaczej. Z kukurydzą należy ostrożnie. Niby wyrosnie byle gdzie, a jednak swoje kaprysy ma: czasem obrodzi, czasem nie. Bywało, że część ziarna nie wschodziła i wtedy takie pole wyglądało jak łeb Kołtuna: trochę włosów, trochę glajfy. Taki widok raził; wielkie, zielone pole, a tu w kilku miejscach łyse place.

Nakładów przy kukurydzy też sto razy więcej niż przy trawie. Trzeba kupić ziarno, zaprawić chemią przed zgnilizną i robactwem, zasiać, podsypać azotem, fosforem i kto wie jeszcze, jakim gównem, a na końcu oblewać śmierzącym świństwem, żeby zaraza nie zżarła. A z trawą? Nic. Rosła sobie jak Pan Bóg przykazał, wystarczyło ściąć i po krzyku. Żarcie dla bydłaków prawie za darmo. Ale krówska chętniej wcinały kukurydżę. Skoro tylko poczuły jej zapach, zaraz podnosił się ryk w oborze, zupełnie jak na jarmarku w niedzielę, przed kościołem, gdy bachory obdarowane gwizdkami i piszczałki dmuchają jak opętane. Więc mimo wszystko, warto było się trudzić.

Nie miałbym nic przeciw kukurydzy, gdyby nie zbieranie pozostałości po jej skoszeniu. Kombajn nie zawsze robił do czysta. Może ktoś wymyślił urządzenie do zbierania resztek, ale tutaj na pewno czegoś takiego nie było. I pewnie to też nie byłaby najgorsza robota gdyby wypadła wiosną albo latem, ale jesienią sprawa była przechlapana. Gdy zawiął jesienny wiatr, to tylko się pochlastać. Do tego letnia przyodziewa. Człowiek chodził po wzgórzu, zbierał gołymi, zgrabiałymi rękami pogięte łodygi kukurydzy, wrzucał je na przyczepę i modlił się, żeby znaleźć się jak najszybciej w Paryskiej. To był dla mnie koszmar.

Żarcia i tak dawali mało, ale na zimnie czułem, że właściwie w ogóle nie jem. Ziąb, żołąd pusty i po godzinie zbierania – zginanie, wyprost, zginanie, wyprost – cała energia, całe ciepło uciekało z człowieka na przyczepę razem z kukurydzą. Odechciewało mi się żyć. Kombinowałem, jakby tu wywinąć się od roboty. Postanowiłem zachorować i miałem nadzieję, że tak się stanie, bo nie mieściło mi się w głowie, żeby o głodnym pysku, w chłodzie, bez witamin, nie złapać grypy. Na wolności trochę mnie zawiąło, napiłem się zimnego z gazem i już byłem ugotowany: migdałki jak malowanie. A tutaj na złość nic, i nie tylko tutaj. W ogóle miałem jakieś parszywe szczęście. Gdy czegoś bardzo chciałem, to to nie przychodziło. A z niechceniem było na odwrót. Przecież wcale nie pchałem się do kryminału, a jednak w nim siedziałem. Czasem sobie myślałem, że jeśli by tak człowiek przed dyskoteką odmówił sobie wina czy piwa, żeby zrobić na złość losowi i przekornemu szczęściu, to czy w zamian otrzymałby radosne kołowanie w głowie? Próbowałem, a jakże, ale jakoś nie działało się zgodnie z regułą. Może trzeba było trochę czasu, dłuższego chodzenia bez wypitki, by los uśmiechnął się do mnie. Wino przecież też nie od razu mi smakowało. Pamiętam, jak pierwszy raz się napiłem – rzygałem jak kot, a na drugi dzień nie mogłem poruszyć głową.

Celowo piłem lodowatą wodę, i nic. Wiatr przedmuchiwał na wylot, też nic. Może w górskim powietrzu były jakieś witaminy, albo ciężka robota hartowała cielsko? W każdym razie moje życzenia się nie spełniały. Któregoś dnia nawet zasymulowałem. Zjadłem surowego ziemniaka, natarłem pachę solą, bo tylko wtedy, gdy ktoś miał gorączkę, mógł zostać

na pawilonie. Zgłosiłem, że chcę do lekarza. Zmianę miał akurat Kurzela. Nie krzyczał, nie gadał, że jestem symulant, kazał jedynie zmierzyć temperaturę. Stałem na dyżurce z termometrem pod pachą pod jego czujnym okiem. Nie mogło być fuszerki. W domu oszukiwałem matkę, jak nie chciało mi się iść do szkoły. Ładowało się dziobek do ciepłej herbaty i w sekundę temperatura była jak siemasz. Z klawiszem taki numer nie przechodził, ale na szczęście ziemniak i sól jakoś zadziałały, rtęć podeszła pod trzydzieści osiem. Myślałem, że poleżę sobie tego dnia jak gościowa, bo gdy temperatura była powyżej trzydziestu siedmiu i pięć, można było marzyć o wizycie w pokoiku ambulatoryjnym. Ale Kurzela okazał się starym wróblem i na końskie gównu się nie złapał. Kazał mi wetknąć termometr w odbył. Na łeb upadł. Może miałem tak stać przed nim ze szpikulcem w dupie i czekać czy łaskawie zezwoli mi zostać? Powiedziałem mu, że już wyzdrowiałem, że czuję się lepiej i idę do roboty. Na pożegnanie ostrzegł mnie, że jak następnym razem nie uda mi się go oszukać, zaliczę kwit bez pudła.

Wtedy symulowałem, chciałem odpocząć, nic więcej, ale jak złodziej naprawdę był chory, to sytuacja wcale nie okazywała się lepsza. Można było setki razy zapisywać się do lekarza, a lekarza jak nie było, tak nie było. Zgredzik, który wydawał nam pierwszego dnia wory na sienniki, robił za bibliotekarza, magazyniera i sanitariusza. Udawał, że na wszystkim się zna. Zawsze się mądrzył i nie znosił sprzeciwu. Łaps jechał na tym samym wozie co inni, a zachowywał się niemal jak klawisz. Był jedynym purchlakiem na ozecie. Wszyscy

na niego wołali Bantara, a jak nie słyszał, dodawali: „Ty kurwo stara”. Jak tak mu się przycukrowało to owszem, jeszcze można było z nim pogadać, ale jeśli dało mu się odczuć, że jest mendą i ma się go za nic, umiłał życie, jak tylko mógł. W pokoiku ambulatoryjnym on właśnie miał najwięcej do powiedzenia. Lekarz przyjeżdżał na ozet raz na sto lat, więc pełnił funkcje konowała. Zaglądał w gardło, patrzył w oczy i jak coś zauważył, dawał witaminy, albo kazał napić się zimnej wody: tylko te dwa lekarstwa zasilały apteczkę. Dopiero gdy ktoś był prawie nieboszczykiem, uznawali go za chorego i wieźli do szpitala wolnościowego. I mnie taka radocha nie ominęła. Rozboliła mnie szczęka. Widziałem, jak z tygodnia na tydzień przybywa mi sinobrazowych zębów, dziura na dziurze, ale jak miało być inaczej? Biały ser raz w miesiącu, mleko chrzczone wodą, papierochy, ostra herbata i żeby człowiek jeszcze wyszorował zębiska przynajmniej raz dziennie. Gdzie tam. Nie było czym. Jak na wypiskę wzięto się pastę, to zaraz szła do słoja, na kaloryfer, trochę podfermentowała, potem ustała się i to, co na wierzchu, wlewało się w siebie. W głowie nie miałem mętów takich jak po winie, ale coś tam poszumiało i więcej pewnie było atrakcji z samych przygotowań, z atmosfery picia, niż z działania pastówy. Niektórzy zaprawiali ostrzejsze mikstury. W pegeerze traktorów było sporo, a jak maszyna to i płyn borygo. Taki jeden kozakował, że umie przyrządzać mieszanke, po której wskakuje się na orbitę, a bebechy nie bolą. Mówił, że gdy borygo wymiesza się z wrzątkiem, to procenty z niego idą na wierzch, a trucizna opada na dno. No i napili się, we trzech. Dwóch zwieźli do szpitala, a jednemu udało się obejść tylko sraczką. Nie

powiem, też mnie ciągnęło, żeby się zaprawić czymś mocnym, ale do borygo nie miałem przekonania. Raz udało nam się podprowadzić z pokoju przy oborach, gdzie rznąli świnie, ćwiartkę dynksu: opalali nim szczecinę na świńskiej skórze. O, po czymś takim to człowiek miał wrażenie, że coś wypił. Może nie odbijało się najgustowniej, ale przynajmniej nie lądowało się w szpitalu. Ale nie tak łatwo było cokolwiek zakombinować. Cywile wiedzieli, że każdy złodziej tylko patrzy i jak trafi się okazja, nie przepuszcza jej, więc uważali, żeby nie zostawiać niczego na wierzchu.

Jak już tak zębiska na okrętę nie dawały mi spokoju, zacząłem upominać się o dentystę. Wcale nie byłem wymagający, chciałem tylko, żeby mi jednego wyrwać, ale gdzie tam. Prosiłem, prosiłem i za odpowiedź miałem: pocałuj się gdzieś. Żeby chociaż jakiś proszek dali, to szłoby jeszcze parę miesięcy wytrzymać, ale na tym zasranym ozecie nie było nawet tabletki od bólu głowy. Jednej nocy nawet sam próbowałem pozbyć się próchniaka. Wiązałem nici, podważałem łyżką, ale nic z tego nie wychodziło. Połowa zęba już zgniła i chociaż żeby na przedzie, to nie byłoby problemu, ucałbym kombinerkami i po bólu. Ale trzonowiec, przedostatni od końca, przy gardzieli, miał korzeń jak stuletni dąb. Do czegoś takiego trzeba było fachowca. Trzy noce bez spania, to jak dla mnie o dwie za dużo. Nie wytrzymałem i powiedziałem, że nie wychodzę do pracy, jeśli mnie nie zawiozą do dentysty. Dziwne, od razu zaczęli inaczej śpiewać. Nie kazali, ale prosili, żebym wytrzymał jeszcze dwa dni, bo dopiero wtedy, w pobliskiej wsi, będzie przyjmował dentysta. Wytrzymałem, a

oni słowa dotrzymali. Niezłą miałem radochę, jak po roku odsiadki zobaczyłem w wiejskim ośrodku normalnych ludzi, ubranych w zwykłe, codzienne ciuchy, a nie brudne waciaki i gumofilce. A gdy siedziałem na fotelu i dentystka dobierała się do mnie z kleszczami, to nie obchodziło mnie, czy będzie bolało i ile wyrwie mi zębów, ale wwąchiwałem się w jej zapach i wczuwałem w dotyk jej rąk. Młoda i ładna to ona nie była, ale baba to baba: potwór nie potwór, ważne, że otwór. Pewnie i ona miała chęć poleżeć z młodym chłopakiem, bo kto taką podstarzałą dopieszczą? Gdyby tak klawisz nie siedział obok, to kto wie, czy nie umoczyłoby się ogona w stawiku. Mogłem tylko się oblizać. Ale co tam, nie włożyłem, to nie włożyłem, ważne że przestało boleć, bo jak ból, to i knaga nie podskoczy do góry.

Nie tylko ja kombinowałem, jakby tu wywinąć się od jesiennych robót. W porównaniu z tymi, którzy przylatywali na ozet z karniaka, byłem nowicjuszem. Na śledczaku niewiele człowiek widział i mało słyszał. Bo czego mogłem się nauczyć od takich z pierwszej łapanki? Na karniaku złodzieje obijali się z wyrokowcami, czasem z recydywą, więc wiedzieli więcej. Słyszałem, jak opowiadali o zasypkach z tłuczonego szkła na oczy, wbitkach pod serce, połykach choinek. Nie mogłem uwierzyć, że tacy szajbusi istnieją. Ale były też łagodniejsze podjazdy, żeby odpocząć. Niektórzy szykowali sobie konserwy rybne. Tutaj nie było już żadnych fuszerek, tak jak z kartoflem i nacierkami z soli. Tygodniowa otwarta konserwa wzięta na połyk, to żegnaj Gienia: żółtaczka murowana. Szykowało wielu, ale rzadko kto decydował się na podobną kurację. Zjeść taki

szajs, to trzeba było nie mieć wężu. Jeden taki dał mi powąchać swój specjał: raz na zawsze odechciało mi się żóltaczki. Wystarczył zapach, żeby wyrzygać całe bebechy, a co dopiero mówić o jedzeniu. Złodziej, nie powiem, zakończył karierę w pegeerze, wywieźli go gdzieś na wolnościowy szpital. Leżał sobie pewnie w wygodnym koju, pielęgniarki donosiły żarcie, a wyrok leciał. Ja jakoś nie mogłem przełamać w sobie obrzydzenia.

Łagodniejszą metodą było jedzenie zjełczanego masła. Złodzieje mówili, że skutkuje jak konserwa, ale wstawiali bałach. Osobiście sprawdziłem. Dostałem jedynie sraczkę i nic więcej. Może miałem jakiś odporny żołąd. Jeśli tak, to chyba po dziadku. On dopiero miał zdrowe wnętrzności! Mógł połykać kamienie i nic, a raz nawet, jak obudził się na kacu, po dobrej popijawie, wydudlił brudną wodę z miski po zmywaniu garów. Położył się i nawet nie wiedział, co wypił. Pytał tylko rano babkę, dlaczego barszcz nie doprawiony.

Wreszcie znalazłem sposób na głód. Zaproponowałem swojemu wafłowi, Czarnemu, żeby zjadać dzienny przydział co drugi dzień. Zgodził się bez sprzeciwów. Pomysł wypalił i pewnie uratował mnie przed całkowitym załamaniem. Co to był za raj, gdy szedłem do roboty po podwójnym śniadaniu, a w gazecie pajda chleba z margaryną! Potem dwie porcje gorącego obiadu i dwie kolacje. A co za sny miałem potem. Zupełne błogosławieństwo. Na drugi dzień głodowa? To nic. Głód zagłuszało się myślą o dniu następnym, że jeszcze kilka godzin, że wytrzymam, że przecież jeden dzień bez jedzenia, to nic takiego. Dumny byłem ze swojego pomysłu. Gdy już nastał

sezon zimowy znów było inaczej. Dali nam kalesony, podkoszulki z długim rękawem, ciepłe kapoty i od razu zrobiło się lżej. A kiedy w okresie zimowym zaczęliśmy dostawać gorące zupy, bo w pegeerowskiej kuchni, według przepisu, robotowi należy się posiłek regeneracyjny, to myśli o żółtaczce i szpitalu znikły zupełnie. Chęć do życia wróciła na nowo.

Dni zrobiły się krótkie. Roboty w pegeerze mieliśmy mniej niż zwykle, tak że często wracaliśmy na ozet wcześniej. Trzeba było jakoś ten czas wypełnić. Klawisze dbali, żebyśmy za bardzo nie wypoczywali, ale mimo najlepszych chęci, wszyscy na raz nie mogli mieć na pawilonie dodatkowych dyżurów. Wynajdywali przeróżne zajęcia, żeby złodziej się nie nudził. Wychowawca mawiał, że z nudów rodzi się głupota.

Pawilon otoczony był dwoma rzędami wysokiej siatki, z drutami kolczastymi na szczytach. Między jednym, a drugim ogrodzeniem biegł pas pustej ziemi, który nazywaliśmy pasem śmierci. Nikt oczywiście nie ginął na nim, ale jakoś kojarzyło się to z obozami zagłady. Widziałem taki obóz pod Lublinem, w Majdanku, na wycieczce szkolnej. Tam dopiero było strasznie! Aż ciarki przechodziły na widok pieców, w których palili ludzi. A baraki, drewniane prycze – usiąść tylko i płakać. W obozie, gdy patrzyłem na pas śmierci, czuło się grozę, a tutaj można było raczej się pośmiać. Na co ta wysoka siatka, druty, kolczaste i pas pustej ziemi, który musiał być skopany, wygrabiony i posypany piaskiem? Nawet gdyby któryś złodziej miał ochotę prysnąć, okazji było tysiąc w robocie. Po co się męczyć i pruć druty, skoro codziennie wychodziło się na zewnątrz bez problemów?

Zamiary tych, co wymyślili ogrodzenie, przejrzałem bez trudu. Czysta psychologia, na postrach. Żeby nie zapominać, gdzie się jest: w kryminale, a nie w górskim sanatorium. A kiedy przyjechał ktoś na widzenie, to co sobie myślał? Jak spojrzeć na siatę, podobną do tych w obozach, to jakie mógł mieć skojarzenia? Od ręki brała go załamka. Zamiast pocieszać i wspomagać na duchu tego, do którego przyjechał, przygnębiał go jeszcze bardziej i sam szukał pocieszenia. Nikt nie miał oczywiście pretensji do nikogo: pobił, okradł, zgwałcił, to co? Wysłać do kurortu? W pasiaki, za kraty, do klatki i cierp ciało, jak się chciało.

Za mojej kariery w oziecie złodziej raz się zerwał. Poszedł do roboty i przepadł. Ale co to była za ucieczka? Siedział zagrzebany w siano, gdzieś na stodole, a kumple donosili mu czasem żarcie. Po tygodniu pojawił się na drodze prowadzącej na pawilon i tyle było jego zrywu. Może miał ktoś przyjechać po niego, plan nawalił i zgranie nie wypaliło? Nie wiadomo. Zamknęli go zaraz na dechy i po kilku dniach gdzieś wywieźli. Okazji do uciezek nie trzeba było szukać: każde wyjście do roboty dawało okazję. Tylko mało kto szedł na taki układ. Tutaj nie siedzieli jacyś wyrokowcy. Na ozet dostawali się złodzieje z dwójką lub z trójkiem do odsiedzenia. Często była to już końcówka wyroku. Po co pryskać, jak do wolności zostawało parę miesięcy? Początkujący złodzieje, bez otrzaskania, nie mieli wizji na przyszłość. Nawet gdyby któryś dał kamasz, to gdzie pójdzie? Do domu? Nie, bo tam najprędzej nakryją. Do starych bandziorów, którzy od lat kradną i napadają? Nie, bo kto by takiego szczyła wziął pod swoje skrzydła? Małolat ma

jeszcze kocioł w głowie: upić się, wziąć rympała do ręki i rozpieprzać wszystko po kolei. A starzy wyjadacze, to nie zabawa w klocki. Oni znali reguły gry i wiedzieli, że złodziejstwo to też robota, o którą trzeba dbać, a nie latać z gorącym łbem i drzeć japę. Kto by chciał się zajmować jakimś drobnym bandziorkiem, który co krok narażałby go tylko na straty? Żeby śmigać z nabojką trzeba było coś umieć, wykazać się, a nie mieć ozorem.

Kiedy już klawisze wyczerpali wszystkie sposoby, żeby złodziej się nie nudził, można było posiedzieć na sali i zająć się swoimi przyjemnościami. Waliło się w kości, w szachy, w warcaby, pisało listy albo czytało książkę. Gdy klawisz wparował na salę, a złodzieje w coś bębnil, trzeba było meldować. Regulaminowo. Obojętnie, ile razy wchodził, wszyscy zaraz w pionie, a najbliższy wejścia recytował: „Obywatelu oddziałowy, melduję salę podczas zajęć kulturalno-oświatowych”. Można było też inaczej, w zależności od sytuacji: „podczas ścienienia łóżek, podczas kolacji, albo podczas porządków”. Szczerze mówiąc, dla mnie nie były to żadne zajęcia kulturalno-oświatowe, ale zwyczajne giercowanie. O, jak przyjechało kino, to były zajęcia kulturalno-oświatowe! Cały ozet był poruszony tym wydarzeniem. W ostatnią niedzielę miesiąca pojawiał się taki jeden z aparaturą i filmem, rozstawiał się w stołówce, na okna koce, krzeselka w rzędy, a gdy zbrakło miejsca, to przynosiło się ławy z sal. Jak złodziej nie miał zabranego k. o., a konto nie świeciło pustką, to wpisywał się na listę i przez dwie godziny zapominał o całym świecie. Kochałem kino. Ciemna sala, na ekranie inny świat, czasem taki, o którym marzyłem, i

całkowity odjazd z ozetu i pegeeru. Nie miałem ochoty na żadną ucieczkę: raz w miesiącu ją tylko miałem, na filmie. Nikt mnie wtedy nie ścigał i nie bałem się, że dostanę dodatkowy wyrok. Zupełnie jakbym miał podarowane dwie godziny nowego życia. To były prawdziwe zajęcia k.o., a nawet więcej. Dla mnie była to ceremonia, osobiste święto narodowe, gdzie wbijałem w siebie flagi, niosłem transparenty i śpiewałem hymn narodowy. Bez takich chwil zginąłbym jak ryba bez wody. Zdarzało się, że zabrakło forsy na koncie, bo komornik ściągał za grzywnę. Wtedy kupowałem bilet za szlugi, za całe pięć ramek. Zostawałem wtedy pięć dni bez jarunku, ale nawet gdybym miał nie palić i dziesięć, też bym się zgodził dla tych dwóch godzin.

Zawsze wiedziałem, że mam świra na punkcie kina. Teraz, kiedy siedziałem na sali sam na sam ze sobą i patrzyłem w zakratowane okna, czułem dodatkowo pustkę i szukałem czegoś, żeby ją zappełnić. Na wolności zazwyczaj miałem zajęć od metra. Swój pokój widywałem, gdy szedłem spać. Zawsze w terenie, z kimś, w towarzystwie. Tutaj odkryłem dodatkową namiętność – książki. Jak znudziło się bębnienie w kości, w szachy, czy w inne gry, sięgałem po książkę. Nie miałem wyjścia. Bałem się próżni. W biblioteczce było nawet sporo tytułów. Czas jesienny też sprzyjał. Ciągła szarówa na dworze, plucha, więc człowiek wpadał w jakiś taki dziwny nastrój. Marzył, rozkoszował się wspomnieniami i rozkliwiał nad byle czym. Odkryłem, że z książek można nauczyć się rozumienia samego siebie i nabrać wprawy w nazywaniu tego, co gotuje się wewnątrz. Zrobiła na mnie wrażenie jedna powieść, pod tytułem: „A jak królem, a jak katem będziesz”. Co to była za

wieś w tej książce, jakie granie na wiejskich weselach, radość i smutek prostych ludzi! Zupełnie mnie to otumanilo. Do tej pory myślałem, że tylko życie aktorów, bogaczy i polityków może być wielkie i niesamowite. A tu takie odkrycie! Żydowski grajek, chłop, wiejska dziewczucha – zwykli ludzie byli naprawdę wielkimi tego świata. Zobaczyłem, że oprócz mnie inni też czują, cierpią i zmagają się na każdym kroku. Była tam scena z drzewem, do którego strzelało dwóch gości. Gdy skończyłem już czytać do końca, miałem wrażenie, że oni do mnie strzelają, a nie do drzewa, że chcą zrobić we mnie dziurę, przez którą mogliby wleźć do środka i opowiedzieć o czerwonych jabłkach pływających w stawie, o nurkowaniu w wodzie z gołą dzierlatką przy świetle księżyca i o tym, jak się umiera na wojnie. Bałem się wtedy, zupełnie jak przed sprawą w sądzie, bo każdy bohater, każdy opis kawałka świata skazywał mnie na wiedzę, która była porażająca, ale mamiła jak wino, i z każdym dniem stawała się bardziej potrzebna do życia.

A co z moim napaleniem do dziewczyn się porobiło po takiej lekturze. Ciało przy blasku księżyca wiejskiej dziewczyny nabrało jakiegoś zaczarowanego znaczenia. Poznawałem słowa, o których nie miałem pojęcia. Zacząłem rozumieć, że miłość to nie tylko szybkie rżnięcie i zaspokajanie własnego zachcenia. Ucieczka tej dziewczuchy z warkoczami przez lipcowe zboże, zaloty, muśnięcia wstążkami, kuszenie chłopaka, który był przecież bardzo podobny do mnie, bo nieźle potrafił rozrabiać, ale tak naprawdę wydał mi się kimś innym ode mnie. Chyba dlatego, że jego życie biegło w innym świecie, w którym ja tak bardzo pragnąłem się znaleźć i miało smak czegoś więcej

niż tylko razowego chleba, papierosów i mocnej czajury.

Zacząłem czytać. Wszystko, co się dało, bez namysłu i porządku. Było mi wszystko jedno co kartkuję. Czułem głód i chciałem się opić słowami i wchłonąć ich tyle, ile tylko pomieści się w głowie. Przeczuwałem, że dzięki czytaniu będę mógł się wyrwać z kurewskiego kręgu, w którym tkwiłem od bardzo dawna. Musiałem jednak mieć do tego narzędzia – słowa, by móc poukładać siebie w środku.

Dobrze było też pobajerzyć z kumplami. Jak tak któryś nieźle podkręcał gadulca, to brakowało popołudnia i przedłużało się rozmowy czasem do rana. Tematów zawsze mieliśmy pod dostatkiem. Czterech złodziei przy herbacie, to rozmowy bez końca. Każdy chciał coś powiedzieć, powspominać czasy wolnościowe i pochwalić się swoimi podbojami miłosnymi. Dokąd była herbata, nikomu nie chciało się iść w kimę. Przed zgaszeniem świateł zaparzało się ze trzy słoje czajury i taki zapasik wystarczał na parę godzin. Raz nawet, towarzystwo tak się rozkręciło, że postanowiliśmy przedłużyć nocną popijawę. Tylko był mały problem. Palenie światła po nocy zabronione, krata do piwnicy, gdzie było gniazdko z prądem, zamknięta, to gdzie podłączyć buzałę? Wpadłem na pomysł i powiedziałem, że zajadę na knocie. Pamiętałem, jak na śledczaku Maniek gotował w ten sposób wodę. Dał kawałek prześcieradła na paski, smarował je smalcem, zwijał w rulon, wstawiał taki knot do pustej puszki po rybach i palnik gotowy. Teraz zrobiłem podobnie. Jeden z koleś uchylił lufcik. Zrobiło się trochę chłodno, ale nie śmierdziało. Po ciemku

przygotowałem knot. Żeby nie poparzyć łap, trzymałem aluminiowy kuban w platerce nad płomieniem i czekałem aż zagotuje się woda. Nie doczekałem się. Na salę wparował klawisz. Zmianę miał Kaftan. Ten jak zwykle, czy w tyrce, czy na ozecie, zawsze czujny. Gdyby pilnował nas Recydywa albo Grypser, to przez całą noc byłby święty spokój. Oni woleli pospać, a nie węszyć na okrągło. Zaliczyłem kwit. Naczelnik ukarał mnie czternastoma dniami twardego. Nie było to zbyt dokuczliwe, bo mogłem wyjść do pracy. Dwa tygodnie w zimnej celce, na gołych dechach, pod jednym kocykiem, to kości rano trochę bolały, ale jak poszedłem do roboty, gnaty szybko się rozgrzewały i nie było o czym myśleć. Gdybym dostał czternastaka bez wyjścia, to dupa zimna. Siedź człowieku od rana do wieczora w śmierdzącej norze. Stołek przykręcony do podłogi, dechy przypięte na kłódkę do ściany, koc zabrany... Można było leżeć, ale chyba głupi by na to poszedł. Jedynym miejscem do poleżenia na kabarecie w ciągu dnia była podłoga. Zima za pasem tuż, tuż, okienko wciąż otwarte, wiatr zasuwał jak chciał – po takim odpoczynku można było płuca stracić. Na szczęście tym razem nie musiałem się o to martwić. Kara dokuczliwa, ale wzbudziła trochę śmiechu. Informacje o karach i nagrodach czytane były na apelu przed wszystkimi złodziejami. Nie wiedziałem, co klawisz napisał na kwicie w uzasadnieniu. Po trzech dniach, kiedy już miałem za sobą stawanie do raportu u naczelnika, na wieczornym apelu oddziałowy odczytał, za co mnie ukarano. Nikt nie powinien zapomnieć, że władza czuwa i jak trzeba to karze, albo jest wspaniałomyślna.

– Adam Ciechań, za rozpalenie ogniska na środku sali,

podczas ciszy nocnej, został ukarany czternastoma dniami twardego łoża.

Złodzieje parsknęli śmiechem. Czegoś takiego na tym oziecie jeszcze nie było.

Powoli zaczęły mi się otwierać oczy. Jak człowiek załatany, zmęczony, to szczegóły uchodzą uwadze. Późną jesienią, gdy było sporo wolnego czasu, dostrzegłem wreszcie pewną prawidłowość. Na nie grypsujących nie zwracałem uwagi, ale zaczęło mnie niepokoić, że o niektórych sprawach, znanych tylko grypsującym, wiedział doskonale naczelnik. Pewnie, sam mi o tym nie powiedział. Ale jak któryś z kumpli umówił się na widzeniu z rodziną, żeby zrobili mu przerzut z papierosami i herbatą i zostawili w takim, a takim miejscu, a później okazywało się że towar, który miał odebrać jeden z naszych, przepadał jak kamfora, to co o tym myśleć? Żeby chociaż raz na jakiś czas, ale wciąż słyszałem, że temu się nie udało, tamtemu nie wyszło i w sumie spora część tego, co niedozwolone, wpadała w łapska klawiszy. Nie można było być naiwniakiem i myśleć, że przypadek. Zacząłem się przyglądać i obserwować. Całość w kupę powiązałem bez trudu. Gdy grypsującemu przechodziła nagroda, wtedy był to już sygnał. No, nie żaden pewnik, bo i grypsujący dostawali czasem nagrody, ale jak po wizycie u naczelnika któryś z naszych zaczynał mieć herbatę i szlugi, czymś zaczynało załatywać. A kiedy później przyglądałem się przy wypisce, czy taki gość ma forszę na koncie, za którą mógłby zrobić zakupy i on jej nie miał, to już byłem pewny, co w trawie piszczy. Bo skąd ni z tego, ni z

owego parę przegubów herbaty i karton szlugów? Święty Mikołaj nie odwiedzał ozetów. Parę razy zmontowałem prowokacje, żeby wiedzieć, czy się nie mylę i kiedy się upewniłem, że mam rację, dałem sobie spokój. Nawet nie chciałem przyznawać się przed samym sobą, ilu cichaczy jest na ozecie. Pomyślałem, że nie warto kręcić afer, robić zadym, bo po co. To, że naczelnik dowiedział się o przerzucie, że ktoś wysłał list nielegalnie, albo łapie osy w pudełko od zapalek i przykłada je sobie do ręki, żeby spuchła i w ten sposób stara się wyrwać parę dni wolnego? Świat się od tego nie zawalił. Pal licho. To były za gówniane sprawy, żeby zawracać sobie tym głowę. Tylko żal się robiło, że nie można być szczerym, że trzeba uważać, o czym i z kim się rozmawia i każdego podejrzewać, że może kapuś.

OBORY

Już myślałem, że w pegeerze nie spotka mnie nic dobrego. Ciągłe przeszkody, zimno, głód, nic, tylko się wydyndać. Czy nie mogłoby chociaż raz ułożyć się tak, jak bym tego sobie życzył? Tylko z życzeniami nie wiadomo, jak jest. Bo co one oznaczają – czym są? Ostatnio zaczynałem się czuć jak uczeń; ciągle ktoś zadawał mi pytania, a ja musiałem szukać odpowiedzi. Nieźle się zdziwiłem, gdy pojąłem, że nie żaden profesor mnie przepytuje, ale to ja, osobiście. Byłem jednocześnie nauczycielem i uczniem: coś jakby bajer sam na sam. Niby życzenia to były życzenia i już, a jednak coś nie grało. Gdy wysiliłem przez chwilę głowę i starałem się powiedzieć, czego właściwie naprawdę sobie życzę, to za chińskiego boga nie mogłem doszukać się grama pewności. Zajarać? Przydrynić czajury? Pełny żołądek? No, tak, tego chciałem, ale gdy tylko życzenie się spełniało, a przynajmniej myślałem, że tak jest, okazywało się, że wcale nie jestem na mecie. Jakoś tak mi się skojarzyło, że życzenia rybaka do złotej rybki wcale nie były życzeniami, tylko łapczywym dziadostwem, które ginęło tak szybko, jak się pojawiło. Przez chwilę czułem się, jakbym sam był rybakiem, którego pazerna żona wysyła wciąż po nowe fanty. Moje chcenie rodziło nowe życzenia i prowadziło nie wiadomo gdzie. Gdy szedłem się pobawić i wiedziałem, że spotkam jakąś przystojną dzierlatkę, to cieszyłem się i myślałem, że nic więcej do życia nie potrzebuję, że wystarczy tyle, ile będzie, ale gdzie tam. Siedział we mnie podpowiadacz i mówił, żeby więcej, jeszcze i jeszcze: zupełnie jak z winem. Nie

raz obiecywałem sobie, że wypiję browar, i koniec: przecież nie byłem świnią, co to zre do pęknięcia. A jednak nie dawałem rady zahamować: jak już zaczynałem łykać to do spodu.

Teraz sobie życzyłem, żeby dostać robotę pod dachem, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że w moim życiu cokolwiek zmieni się na lepsze. Szło na gorsze. Zima rozkręciła się już na dobre i jazda w mróz po siano ze stogu, albo kiszonkę z silosu, nie była żadną radochą. Ręce marzły jak jasna cholera, w nogi zimno i wciąż wiało. Nagle, jak piorun z jasnego nieba, spadło na mnie szczęście: przerwali mnie na obory. Nie miałem pojęcia, komu to zawdzięczam. Myślałem, że może Smolarz szepnął komuś słowo, żeby polepszyć mój żywot, ale nie było pewności. Zresztą wątpię. On nie nagiął wydarzeń własną wolą. Po prostu nie miał życzeń. Odkąd go poznałem, wydawało mi się, że przyjmuje życie tak, jak płynie. Nie chciał go pogarszać ani polepszać, zupełnie jakby miał pewność, że i tak, bez względu na włożony wysiłek, nie spotka go nic ponadto, co go spotyka.

Nie wierzyłem, że przydzielili mnie na obory i mam tyrkę pod dachem, i to jeszcze w takim momencie, kiedy mróz skuwał coraz mocniej. Gdy jechałem Paryską i patrzyłem na nowych złodziei, którzy zaczynali dopiero karierę w pegeerze, w grupie polowej, to żal mi ich było i współczułem im. Pewnie nie mieli pojęcia, co ich czeka. Mnie też na początku wydawało się, że nie przywieźli mnie do kryminału, a do górskiego sanatorium. Czar pryskał już po pierwszym dniu. Niejeden sobie myślał, że po zamkniętych celach na śledczakach, murach, blendach i kratkach, znaleźli się w uzdrowisku i przyjechali tu tylko po to,

żeby się dotlenić. Z tym mieli rację; świeżego powietrza w Beskidach nie brakowało. Ale na tym przyjemna kuracja się kończyła. Zaczynał się smród i twardy trzonek widel. Niepozorny pawilon, siatka zamiast murów, przestrzeń, lasy, prawie bez dozoru, ale niejeden przejechał się na takim wyobrażeniu. Na pierwszy rzut oka ozet i pegeer wyglądały przyjaźnie, lecz gdy człowiek zanurzył się w tym wszystkim, szybko zauważał, że znalazł się w gównie, które jest nadzwyczaj śmierdzące i uciążliwe. Ja zaczynałem wiosną, kiedy słońce coraz mocniej przygrzewało, a ci nowi, którzy dopiero jechali pierwszy dzień i zaczynali resocjalizację w pegeerze, na nieszczęście wpasowali się w środek zimy. Ze szczęściem sprawa też nie wyglądała na prostą. Nie tylko przy życzeniach miałem wątpliwości, ale i stan radości wymagał główkowania, jakby moje patrzenie na świat, które wyrobiłem sobie jeszcze na wolności, waliło się i było niepotrzebne. Coraz częściej dziękowałem losowi, że mnie bije porządnie w dupę. Im miałem gorzej, tym częściej zadawałem sobie pytania, dlaczego tak jest, a jak już coś się działo, to po co? Komu właściwie zależało na tym, żebym się męczył? Tak naprawdę nikt nikim się nie przejmował; musiałbym być chyba kretyńcem, żeby uwierzyć, że ktokolwiek zaplanował moje życie i ułożył je właśnie tak, jak przebiegało, że najpierw się urodziłem, potem balowałem, a teraz siedzę w kryminale. Kim ja byłem właściwie? Nikim! Nic nie mogłem i niczego nie byłem w stanie zmienić. Więc jaki to miało sens? Lecz z drugiej strony musiało komuś na tym zależeć, bo przecież żyłem, urodziłem się i coś tam w życiu jednak zrobiłem. Więc sens był. Tylko nie wiedziałem, kto to

wszystko ustawia. Babcia mówiła nieraz, podczas licznych świąt rodzinnych, że wszystko zależy od Boga, ale ja w takie bzdury nie wierzyłem. Jakiego Boga? Rano pacierz, a wieczorem chłanie na umór, kłótnie i wyzywanie. I żeby tylko w mojej rodzinie odstawiali takie szopki, ale wszędzie, gdzie się poszło, zaraz chłanie, wyszydzanie i kombinowanie, jakby tu kogoś wykręcić. Do babki nic nie miałem, ale widziałem, jakie jest życie. Dziadek bez przerwy myślał, czym by się zaprawić, a jak był trzeźwy, to warczał jak pies i wciąż był niezadowolony. Ale klękał z babką do pacierza, chodził do kościoła, a jak otwarcie powiedziałem, że gdzieś mam taką wiarę, że to fałsz i zakłamanie, to powiedział że jestem heretyk i źle skończę. No i sprawdziło się. Przestroga nie poskutkowała, zostałem kryminalistą, ale jakoś nadal nie pojmowałem takiego układu ze światem.

Obora to nie tylko budynek, w którym trzyma się towar pod nóż. Gdy jeszcze byłem w grupie polowej, myślałem, że obora służy do chowania się przed zimnem i zajeżdżania czajury. Nie miałem pojęcia, że obora ma swoje życie, kaprysy i namiętności. Z trawkiem, z silosem czy kukurydzą, było inaczej. Tam miał człowiek do czynienia z czymś, co się nie ruszało, tylko leżało martwe i poddawało się bezwolnie. A w oborze jak na targu, wciąż się coś działo po obydwu stronach: złodziej i rogacizna.

Pierwszą oborę, do której przydzielił mnie brygadzysta, zwano Stodoła. Były też inne: Betlejemka, Kontumat, Ciemna, Widna, Pierwsza Wydojowa, Druga Wydojowa, Przelotowa, a także chlewnia i stajnia dla koni. Po paru dniach, jak trochę

oswoiłem się z nową robotą, rozglądnałem się za jedzeniem. Na polówce mogłem jedynie poprzeżuwać trawę, ale to była działka bysiorów, więc im pozostawiałem pożeranie zielonki. Węch miałem dobry i co dzień rano, jak przyjeżdżaliśmy do pegeeru, czułem zapach parowanych kartofli. Dobrze pamiętałem ten aromat. U ciotki, na wsi, nie raz podbierałem z parnika kartofle, które gotowała dla świń. Taki parowaniec w łuskwinie, solony przy każdym gryzie, zupełnie inaczej smakował od gotowanego – miał w sobie smak pieczonego, tak jak z ogniska. Bez trudu wwąchałem się, skąd zalatuje. Bebechy puste to i węch ostrzejszy. Nieźle można by podjeść, gdyby tak dobrać się do świńskich kartofli, ale sprawa nie była taka prosta. Jak już ziemniaczory dochodziły do miękkości, zawsze zjawiał się cywil i popatrywał, czy złodzieje nie wybierają z baniaka. Nikt z reguły nie podłaził na wydrę i nie wyciągał, ale pewnego dnia mój głód był silniejszy. Pomyślałem sobie, że przecież taki cywil też człowiek i nie pożałuje dwóch kartofli. Świnie przecież nie chodziłyby przez to bardziej głodne. Owszem, gdyby tak wszyscy złodzieje chcieli do koryta, na pewno świńskie ryje długo by nie pokwiczały: z głodu szybko się zdycha. No i wypaliło. Podszedłem do parnika, odwaliłem pokrywę i wyciągnąłem dwie sztuki. Nie brałem więcej. Nachalność nikomu jeszcze nie wyszła na dobre. Pamiętałem z praktyk na kuchniach taką jedną, starą kucharkę, Jadzię, która wciąż mi powtarzała, że jeśli coś będę brał do domu, to małą tyżeczką, wtedy nikt nie zauważy i nie będzie awantury. „Weźmiesz wielką chochlą i jesteś załatwiony” – mówiła. Chwaliła się nawet, że pracuje już ponad trzydzieści lat i nikt jej

nigdy nie udowodnił, że porcje nie doważone, albo kompot za mało słodki.

Poszedłem w jej ślady. Cywil patrzył i nawet się odwrócił kiedy wyciągałem kartofle. Pewnie głupio mu było mnie pogonić, widać ludzki człowiek. Dwa kartofle to też coś, żołądek miał drugie, małe śniadanie. Ale długo to nie trwało. Inni złodzieje też zaraz zwąchali, o co chodzi i jak stado dzikusów rzucili się na kocioł. Ktoś doniósł Kołtunowi i było po sprawie. Nie grypsującym zagroził, że będzie im pisał kwit za kwitem, gdy któregoś przytapie koło parnika, a z grypsującymi sprawę załatwił od ręki. Wiedział, że nas nie tak łatwo nastraszyć kwitami. Mógł sobie wypisywać i sto dziennie. Kiedy tylko była okazja zjeść dodatkowo, gdzieś miałem jego groźby. Ale on był cwany. Gdy jeszcze złodzieje nie zdążyli się porozchodzić na obory, podchodził do parnika i pluł w niego kilka razy, tak żeby wszyscy widzieli. No i było po herbacie. Żarcie w jednej chwili stawało się przestrelone i jeśli ktoś z grypsujących nie chciał się narazić na schowanie do wora, musiał odpuścić sobie podprowadzanie kartofli. Szkoda, zawsze to było coś, tym bardziej, że na oborach nie przysługiwała już zupa regeneracyjna. Pod dachem dupa nie marzła i uważali, że złodziej nie traci tylu kalorii, co na dworze. Szlag by ich trafił z tymi przepisami. Ale byłem uparty, nie zrezygnowałem z poszukiwań dodatkowej szamki. Spróbowałem, czy nie dałoby się przyrządzić czegoś z paszy dla bydłaków. Z magazynu wydawali codziennie na każdą oborę kilka worów, jako dodatek witaminowy. Pomyślałem, że gdyby tak zmieszać ją z wodą i upiec, to może by dało się przełknąć. Dało się, a jakże. W

pegeerze wszędzie pełno jakiegoś żelastwa. Od ręki znalazłem kawałek blachy. Potem tylko dwie cegły, mały ogieniek i placki wyskakiwały jak siemasz. Stopniowo ulepszałem recepturę. Z chlewni podprowadzałem otręby, mieszałem z paszą, wrzucałem sól i wtedy naprawdę było co pojeść. No, nie codziennie, bo musiałem uważać, żeby nikt z cywili mnie nie przyłapał, a tym bardziej klawisz. Zaraz by oskarżali o sabotaż, że chcę podpalić oborę. Nie miałem ochoty zmieniać roboty na nową. Gdyby ktoś odkrył moje pichcenie, zaraz przenieśliby na polówkę i bujałbym się na mrozie. Ale i tutaj szybko spotkał mnie zawód. Któregoś razu wyciągnął kopyta młody byczek. Nie wiem, czy z zimna, czy może z przemęczenia, ale fiknął i już. Na Stodołę przyjechał Smolarz. Pomogłem mu wrzucić zdechlaka na wóz i pojechaliśmy go wywieźć. Za stajnią, wśród krzaczorów i drzew, biegła nie za szeroka droga, taka, żeby mógł przejechać koń z wozem, albo samochód, a na jej końcu był nieduży placyk i wielka skrzynia, zbita z szerokich dech. Kiedy podjechaliśmy bliżej, od razu wiedziałem, co jest grane. Wszystkie padłe zwierzaki zwoziło się do tej skrzyni i najzwyczajniej w świecie wrzucało się do środka ścierwo. Co za paskudny widok! Cielak sam, w pojedynkę, jak zdechnie, to nic specjalnego. Fiknął to fiknął, kto by sobie zawracał czymś takim głowę, ale kiedy zobaczyłem cały stos martwych kopyt, bebeczów i łbów z pościnanymi przez mróz ślepiami, to żal łąpał za serce. Spytałem Smolarza, co się z tym robi.

– Przerabia – powiedział.

Cały Smolarz. Myślał, że powie słowo i wszystko wiadomo. Jakoś pomału, słowo po słowie, wyciągnąłem od

niego, co znaczy przerabianie. Raz w miesiącu przyjeżdżał taki jeden gość specjalnym samochodem i hakiem uczepionym do stalowej linki wciągał padlinę na pakę. Potem wywoził do przetwórci. Truchło suszyli, mielili, dodawali zapachy, witaminy, rozsypywali w wory, przyklejali nalepkę z listą, jaki to bogaty w składniki odżywcze rarytas i tak na nowo podszykowane, zdechłe bysiory, wracały do pegeeru: nic się nie marnowało. Od tamtej pory odechciało mi się jedzenia placków. Na mój gust było to straszne kurestwo! Mogli takie padłe dawać lisom albo gdzieś zakopywać, ale przerabiać na paszę i karmić tym byki? Chętnie bym dojechał cwaniakom, którzy wymyślali takie oszczędności. Nie chodziło mi o to, że nie miałem już co jeść i było nie było pochłonałem tego rarytasu niezłą działkę, ale wydawało mi się to nie w porządku wobec rogacizny, że daje się im do żarcia ich własnych ziomek.

Na Stodole nie było tak szpitalnie, jak na pozostałych oborach. Klimat bardziej domowy. Bukaty biegały swobodnie, w wydzielonych dużych boksach i pewnie bez łańcuchów na rogach żyło im się lepiej. Gorzej było tylko ze sprzątniem. Na Wydojowej, czy innej oborze, ze zgarnianiem łąjna żaden problem. Jałówka albo byk stały sobie porządnie, łby nad żłobem, ogony nad kanałem ściekowym, sztuka przy sztuce, równo, w rzędzie, i człowiek raz dwa uwinął się z robotą. Zwierzak najpierw się nażarł, zaraz nawalił do kanału, a jak nie wcelował, to ściągało się zgarniaczką, potem sypnęło pod kopyta cienko trocin i gotowe. A w boksach? Bydlaki latały samopas. Musiałem przeciskać się między nimi i odganiać, żeby

można było posprzątać. I nie dość że tłok, to podłoga jeszcze nierówna, bo z grubych drewnianych bali. Nie miałem pretensji, wiedziałem, że zwierzak też czuje i woli się uwalić na drewnianym niż na betonie. Sprzątanie trwało dłużej, ale bysiorów nie telepało tak z zimna, jak na pozostałych oborach, gdzie wszędzie beton. Na początku skurczybyki wyczuły, że przyszedł ktoś nowy i tak się dziadostwo rozzuchwaliło, że gdy zaczynałem sprzątać i robiłem sobie miejsce, niejeden poczęstował mnie kopytem. Szybko jednak zrozumiały, kto tu jest panem. Dostał taki jeden z drugim porządnie po giczołach, to później, kiedy tylko wchodziłem, ustawiały się po kątach i ani mru mru. Co miałem robić? Bukat w Stodole to nie tak, jak gdzie indziej. Nie wiązany za łeb łańcuchem, miał więcej energii, był bardziej wesoły od swoich kumpli z innych obór. Ze zwierzakiem, tak jak z człowiekiem. Cielsko zupełnie inaczej pracuje, gdy ma trochę przestrzeni i ruchu: od siedzenia na zadzie, wszystko jedno, człowiek czy byk, zaraz się gnuśnieje. Kiedy swobodniej, to bardziej chce się żyć. Nie powiem, że sprzątaniem było gorzej, ale w życiu nie jest tak, że zawsze dobrze; jak z jednym w porządku to drugie do niczego. Inni złodzieje może i mniej się napocili, żeby trzymać błysk, ale nie mogli urządzić wesołego miasteczka. Na Stodole ciągle z kumplem ujeżdżaliśmy byczki. Taki stukilowy zwierzak miał już parę. A gdy wsiadało mu się na grzbiet, dostawał takiego fioła, że latał po boksie, jakby stado gzów go pokąsało. Dosiąść bukata, to nie taka łatwa sprawa, ale szybko znalazłem sposób, żeby chociaż sam moment wchodzenia na grzbiet był wygodny. Przy podłodze był żłób i poidła, potem poziome grube

metalowe pręty w takich odległościach, żeby byczysko mógł wsadzić między nie głowę i sięgać po żarcie. Przegroda była nie za wysoka, taka akurat, żeby wejść na nią i swobodnie wgramolić się na byka. Ze stadka wybierałem co mocniejszą sztukę, zarzucałem jej sznur na rogi, podprowadzałem do prętów i wiązałem, kumpel trzymał za ogon i bukat stał jak trusia: nawet nie pisnął. Potem wystarczyło puścić sznurek, ogon i karuzela zaczynała się kręcić. Nim jednak opanowałem sztukę jeżdżenia parę razy zaliczyłem glebę i cud, że żaden z moich rogatych przyjaciół nie poczęstował mnie kopytem.

Oficjalnie zabraniali łązić po oborach, ale ja i tak odwiedzałem czasem kumpli. Wszystko zależało od tego, który z klawiszy miał konwój. Jak nie było Kaftana, zawsze wyskoczyło się do kogoś na herbatę albo na szluga. Ciekawiło, jak to jest gdzie indziej. Nieraz dowiadywałem się czegoś nowego. Raz, gdy poszedłem na Betlejemkę, zobaczyłem dziwnego stwora. Był to bysior, ale nie taki, jak pozostałe. Mógł ważyć najwyżej dwieście kilo, i nie byłoby w tym żadnego zdiwka, gdyby nie jego ogromny łeb i długie rogi. Chłopaczyna wyjaśnił, że zwierzak ma już pięć lat i za cholerę nie może przybrać na wadze. Nawet znał się trochę na hodowli. Mówił, że takie byczysko w ciągu roku powinno przytyć kilkaset kilo, a tu sama skóra i kości. Naśmiewał się, że całe żarcie zamiast w tłuszcz, szło mu w łeb i rogi, a już najbardziej dołożył do pieca, jak podjechał z tekstem, jaki to z byka ostry tanecznik. Myślałem, że podpuszcza i chce mnie złapać na jakiś chłopski numer, ale jak powiedział, że pokaże byka w akcji, to zgodziłem

się i nawet niezła szopka z tego wyszła. Koleś miał gdzieś w sianie zagrzebaną gumową pelochę. Wyciągnął ją ze swojej skrytki, podszedł do byka, zamachnął się i uderzył zwierzaka w grzbiet. Byczysko stęknęło, ale nic się nie stało. Chłopak uśmiechnął się tylko i powiedział, że nie wcelował gdzie trzeba. Nim uderzył po raz drugi, wymacał palcami jakieś miejsce na kręgosłupie byka, blisko ogona, i przylał pelochą aż świsnęło. Dupsko byka zawirowało, zwiotczało, nogi ugięły się pod nim i całym tyłem opadł na ziemię. Zaczął nawet pobekiwać żałośnie. To naprawdę wyglądało jak jakiś taniec. Zapytałem, czy inne też tak tańczą. Kiwnął głową na potwierdzenie, dał mi pelochę i zachęcił, żebyśmy spróbowali. Najpierw pokazał mi, gdzie mam uderzać i poradził:

– Musisz zająć szybko i precyzyjnie. Wtedy zatańczy najlepiej.

Pierwsze próby miałem nieudane, ale po dziesiątym bukacie ręka nabrała wprawy i zwierzaki opadały dupskami na ziemię jeden po drugim. Nauka się przydała. Jak przerzucili mnie ze Stodoły na Widną i miałem rogaciznę poustawianą w rzędach, nie chciałem być gorszy od kumpla z Betlejemki. Mało tego, że moi podopieczni tańczyli, to jeszcze klękali na zawołanie. Na Widnej była taka jedna niesforna jałówka, wciąż się kręciła i mało, że nie waliła do kanału, to zapaskudzała wszystko naokoło i jeszcze koleś obok. A o czystość trzeba było dbać. Boki bukatów musiały być wyglansowane. Jak klawisz zobaczył, że na sierści wiszą jakieś falafony, zaraz straszył raportem i przeniesieniem na polówkę. Dla mnie było to jakieś pojechaństwo. Latali jak świrusy i dbali, żeby byki były czyste jak

dzierlatka po kąpieli, a zupełnie ich nie obchodziło, że zwierzaki są chude i wymizerowane.

Nie lubiłem czyszczenia sierści, bo to tak, jakby wycierać komuś tyłek. Wolałem naładować siana do żłobu, uwalić się w nie i poleżeć. Na oborze zimnica jak cholera, więc posuwać na okrętę ze szczotą i robić bydlaki na błysk wcale mi się nie chciało. A w sianku, prawie jak przy kaloryferze i w dodatku – co za zapach! Jeżyła mnie ta jałówka. Zatańczyła parę razy, ale narowistość wcale jej nie przeszła. Wpadłem na pomysł, że jakby tak jeszcze poomdlewały jej przednie kopyta, to na pewno straciłaby raz na zawsze chęć do kręcenia się na stanowisku. Ode mnie wymagali porządku to i ja nie chciałem mieć kłopotów. Przez kilka tygodni dostawała gumową pelochą po przednich nożyskach. Na początku nie chciała padać na kolana, więc wyzywałem ją ze złości od kurew i okładałem gdzie popadło. Nauka i włożony czas nie poszły na marne. Wreszcie rozumiała, o co mi chodzi i nawet rozumiała na wyrost. Już nawet nie musiałem używać pelochy, wystarczyło, że trzymając ją w ręce krzyknąłem: „na kolana”, a jałówka fikała na przednie giczoły. Zupełnie jak w cyrku. Spodobała mi się ta zabawa.

Widna podzielona była na cztery sektory. Każdy sektor to piętnaście bukatów, w sumie żywca sześćdziesiąt sztuk. Postanowiłem wyszkolić jeden sektor w taki sposób, by zwierzaki padały na kolana i witały swego pana, gdy tylko wejdę na oborę. Sprawa poszła bez kłopotów. Wprawy w szkoleniu nabrałem przy jałówce. Używając dobrego argumentu można by i ślimaka nauczyć różnych sztuczek. Bukaty okazały się

pojętnymi uczniami. Gdy pojawiałem się w oborze, waliłem butem w metalowe rury, do których powiązane były zwierzaki i na okrzyk: „na kolana” piętnaście par kolan, jak na komendę, padało na ziemię.

Później miałem wyrzuty sumienia. Pomyślałem sobie, że nie powinienem odgrywać się na byczyskach, bo co one są winne. Chciałem to im jakoś wynagrodzić. Jak był dobry układ i czasem podprowadziłem z magazynu worek paszy, to podsypywałem swoim wyćwiczonym zwierzakom porcje ekstra. Udało mi się nawet zreperować elektryczną termę, która wisiała w kantorku i poilem cielaki ciepłą wodą.

Co ja miałem za skurwysyński charakter. Najpierw dręczenie sprawiało mi przyjemność, a potem, kiedy wlewałem ciepłą wodę do żłobów i patrzyłem, z jaką chciwością zwierzaki piją, jak się cieszą i wyczekują codziennie na gorące, to szlag mnie trafiał za to, że tak kurewsko je traktowałem. Nigdy nie przypuszczałem, że cielak może się cieszyć, a nawet przywiązać do człowieka. Miałem swojego ulubieńca, nazwałem go Wojtek. Śmiesznie wyglądał – cały brązowy z jedną białą łatą między oczami. Jak podrapałem go po bokach, to śmiał się. Unosił wtedy lekko łeb, rozwierał pulchne chrapy i poruszał nimi radośnie. Lubił też lizać moją rękę, zupełnie jak pies. Jęzor miał jak tarka, ale przyjemny był w dotyku: wilgotny, ciepły i szorstki. Jego śmiech nie płynął z serca, bo gdy spojrzałem mu w oczy z długimi rzęsami, wcale nie zobaczyłem radości. Dziwne to mi się wydało. Może wiedział, po co się urodził? To był jakiś smutek, melancholia, aż w sercu kłuło. I nie tylko w oczach

Wojtkę widziałem przygnębienie, zatroskanie i smutne zdziwienie, ale wszystkie zwierzęta na oborze, bez wyjątku, miały takie same oczy. Od tamtej pory nie uderzyłem już żadnego byczka, ani jałówki, a gdy czasem poniosło mnie i chciałem nawyzywać bydłaki, bo coś szło nie po mojej myśli, od razu widziałem ich smutne oczy i wstyd mi było swoich zapędów.

Czasem na parę godzin w ciągu dnia przerzucali mnie na Kontumat. Pracowała tam żona Smolarza. Trudno samej babie obrobić kilkadziesiąt bukatów i posprzątać po nich. Brakowało cywili w pegeerze. Na Kontumacie mogli pracować tylko wolnościachy i brygadzysta podsyłał czasem któregoś złodzieja do pomocy. Kontumat otoczony był specjalną troską. Żywiec z tej obory szedł na eksport. Sztuki selekcjonowane, badane i dobierane odpowiednio. Musiały spełniać jakieś normy i trzeba było do tego porządnej ręki, a nie złodziejskiego dziadostwa. Ale czy ktokolwiek mógł dbać, jak robił nie przy swoim? Myślałem, że nie, ale gdy po raz pierwszy wszedłem na Kontumat opadła mi szczęka. Czyściutko jak w pudełeczku. W żłobach pachnąca kiszonka, siano i to nie podgniłe czy spopielone, ale sortowane i przebierane. W kantorku wory z paszą, ściany wybielone wapnem, barierki, do których wiązało się zwierzęta, pomalowane olejną farbą, stanowiska wysypane grubą warstwą trocin. Zupełnie jakbym znalazł się w innym świecie. A jaka sierść na bydłakach, czysty aksamit, aż musiałem dotknąć. I znowu się zdziwiłem. Na mojej oborze, jak przejechałem ręką po skórze cielaka, wyczuwałem pełno wybrzuszeń, a tutaj gładziutko jak na powierzchni lustra.

Złodzieje nie zawracali sobie niczym głowy i nie dbali, czy cielakom jest dobrze, czy źle. Robili, co im kazano i nic poza tym. Jak się zaprzyjaźniłem z Wojtkiem, inaczej zacząłem patrzeć na zwierzaki. Przez te guzy na skórze cielaki bardzo cierpiały. Na początku nie wiedziałem, co to jest. Dopiero gdy spytałem żony Smolarza, dlaczego jej bydełko nie ma takiego paskudztwa, powiedziała mi, że smaruje je specjalną miksturą, która zabija larwy gzów. I gdzie tu sprawiedliwość? Na oborach zupełnie jak w świecie ludzi. Jednych traktowało się lepiej, innych gorzej. Dla reszty bydłaków maści nie było, bo za droga, ale jak na eksport, bo dolary wpłyną, to wszystko się znajdowało. Skóra na eksportowcu musiała być bez skazy, a larwa gza uszkadzała niewąsko jej powłokę. Sprawa gzów nie dawała mi spokoju, chciałem podprowadzić skądś taką maść i smarować swoje byki, ale nie miałem pojęcia, gdzie tego szukać. Wreszcie sam wziętem się za to gównno. Zacząłem wyciskać palcami larwy spod skóry cielaków. Nie było łatwo. Gdy zaczynałem gniesć takiego guza, bukat wariował z bólu, a trzeba było przynajmniej chwili bezruchu, żeby przycisnąć dobrze. Larwiska korzeniły się głęboko i niełatwo dawały się wyłuskiwać. Ale wprawa robi swoje. Po pierwszej takiej udanej operacji myślałem, że się porzygam. Najpierw trysnęła ropa, a potem wyskoczyło coś białego w zielonożółtej mazi, a za chwilę brązowa krew. Zaraz rozdeptałem robala i dałem sobie spokój na dwa dni. Ale mój Wojtek cierpiał. Szkoda go było. On też miał kilka guzów na skórze. Przełamałem się. Najpierw jego oczyściłem z gówna i dzięki temu jakoś oswoiłem się z widokiem ropy, larw i brudnej krwi. Później brałem nawet w

palce, bez wstrętu, niewypoczwarzonego gza i oglądałem.

Po takim zabiegu zwierzaki od razu nabierały apetytu. Wydawało mi się nawet, że boki zaczynały im się zaokrąglać. Tylko żeby zauważyć zmiany i nabrać pewności, że robota nie poszła na marne, trzeba było więcej czasu. A tu ciągle zmieniano mi obory, albo zabierano bukaty do rzeźni i nie wiedziałem, czy moje wysiłki przydały się na coś. Ale mimo wszystko warto było, bo bukaty na pewno mniej przez to cierpiały.

Co jakiś czas do pegeeru przyjeżdżali różni ludzie i kupowali rogaciznę. Było przy tym zamieszanie od metra, ale to zawsze jakaś zmiana, nowe twarze, wiadomości ze świata, no i jak trafił się gość w porządku, to zajarzało się darmowego szluga. Handel zaczynał się od ustawienia wielkiej wagi w oborze, z której bukaty miały być sprzedane, brygadzysta poziomował urządzenie, żeby nie było przekrętów i dopiero wtedy, sztuka po sztuce, wprowadzało się na wagę żywiec. Któryś z cywili robił notatki i na ich podstawie dyrekcja ustalała cenę.

Niezła zabawa była przy ważeniu. Myślałem, że jak wezmę byka na łańcuchu i zacznę go prowadzić, to on wejdzie na wagę spokojnie, bez żadnego dymu. Ale nie ma lekko. Na początku szło dobrze. Ze stanowiska zwierzaki schodziły spokojnie, może myślały, że wypędzamy je na pastwiska, ale jak tylko zbliżyłem się do wagi i bysior zobaczył, co się kroi, przestraszył się, szarpnął w bok tak mocno, że zwałem się jak długi i wpadłem do kanału, do którego zgarniało się krowiak.

Śmiechu wszyscy mieli do oporu.

Bywało, że do pegeeru przyjeżdżali hodowcy ze swoim żywcem na wymianę. Zabierali wtedy gorsze, państwowe sztuki, a zostawiali, swoje, lepsze. Nie bardzo kumałem, na czym ta wymiana polegała i jakie były później za to rozliczenia. Aż tak głęboko złodzieja nikt nie wprowadzał w tajemnice pegeeru. Pewnie niejeden z cywili nie miał pojęcia o wszystkich sprawach, to co dopiero mówić o wyrokowcach. Tak czy siak, w tych wymianach było coś podejrzanego. Raz usłyszałem, jak jeden przyjezdny facet śmiał się po cichu i mówił do kogoś, że pół roku temu zostawił bukaty, takie po sto pięćdziesiąt kilo, i teraz poznał, że odbiera te same i one wcale nie ważą więcej. Miałem myśleć, że wymiana jest czysta? A może w ogóle nie powinienem zajmować się cudzymi kombinacjami, tylko odwalać wyrok i patrzeć w chmury? Tylko niby z jakiej racji? Mnie przez całe życie patrzyli na ręce i gdy tylko podwinęła mi się noga, zaraz dostawałem po plecach. Nawet gdybym coś odkrył, to i tak do nikogo nie poleciałbym na skargę. Było mi wszystko jedno. Ludzie na rozkradanie państwowego – takie trochę tam, trochę tu – nie patrzyli jak na złodziejstwo. Co krok to szfindel, nie tylko w pegeerze. Nikt się nie oburzał i nie wyzywał drugiego od złodziei. Ludzie jakby zupełnie znieczulili się na lewe kombinacje. I co, może miałem tyknąć bajer, że przechodzę resocjalizację? To wszystko był pic na wodę. Zastanawiało mnie tylko, jaka jest różnica między mną, a tymi, którzy kradną, ale nie idą siedzieć. Może wywijałem za ostro, może trzeba było wejść w jakiś układ, dostać dobrą posadkę, wyrobić znajomości i pod płaszczykiem jakichś tam przepisów i

udawanej porządności kombinować i podkradać, tak jak mi doradzała Jadzia: małą łyżeczką, a stale. Co innego pomyśleć, a zrobić, to inna działka. Nie za bardzo wyobrażałem siebie ustawionego po wyjściu na wolność. Ale czy cokolwiek można było planować? Moje życie toczyło się przypadkiem i właściwie niczego sam nie mogłem ułożyć. Tylko, że i do tego nie byłem przekonany i bańki bym nie nadstawił, bo jednocześnie wydawało mi się, że ten przypadek jest zaplanowany, jakby ktoś z góry poukładał mi życie, a ja jedynie wypełniam sobą dni, jeden po drugim.

Z małym bykiem radziłem sobie bez problemu, nawet jak za bardzo się rozbrykał; łapało się narwańca za rogi, skręcało łeb na bok i za chwilę zwałał się z łomotem na glebę. Z czymś większym to już nie przelewki. Na Ciemnej stał taki potwór – nazywał się Kleń. To dopiero była potęga! Nikomu do głowy nie przyszło, żeby z takim się siłować. Dziewięćset kilo żywej wagi, karczycho jak kociół parowozu, łeb jakby wykuty z kamienia z dwoma krótkimi, grubymi rogami. W oczach tego bydlaka nie było żadnego smutku ani żalu. Jak tak czasem patrzyłem na niego i nasze oczy się ścięły, to od razu dupsko mi miękło. Prawdziwa bestia. Stał uwiązany na grubym łańcuchu, ale nie tak, jak bukaty. W nosie stalowe kółko, do ściany wbetonowany porządny kawał żelastwa i dopiero te dwie rzeczy połączone łańcuchem dawały gwarancję, że bysior nie będzie samowolnie się oddalał. Lubilem chodzić na Ciemną i przyglądać się Kleniowi. Wcale nie trzeba było go drażnić, żeby się wściekał. Sama obecność człowieka już go rozkręcała. Potrząsał łbem,

sapał aż świstało i walił kopytami o betonową posadzkę. Długo nie nacieszył się żywotem w Chojnicach, ale nie taki los był dla niego przeznaczony. On był rozplodowcem, a nie jakimś zwykłym buhajem, którego trzyma się pod nóż. Sprzedali go i pewnie wzięli za niego sporą kasę, bo byk naprawdę był udany. Mało tego, że wielki – ta masa była zgrabna na wzór modelki. Nie tak dosłownie, Kleń w swojej kategorii, a babka w swojej. Łeb, potężna klata, osadzone na masywnych, przednich nogach, wznosiły się kilkanaście centymetrów nad szczypty i foremny zad: niejedynemu kulturysta mógłby mu pozazdrościć.

Najwięcej zachodu było z wprowadzeniem Klenia na samochód, ale i na to znalazł się sposób. Weterynarz zrobił mu chyba ze cztery zastrzyki z głupim Jasiem, a kiedy Kleń zaczął patrzeć na świat błędnymi ślepiami i chwiał się, jakby był po dwóch flaszkach, Smolarz doczepił do jego kółka na nosie dwumetrową żelazną rurkę z przyspawanym uchwytem na końcu, do wszystkich nóg uwiązał mu grube liny i dopiero tak przygotowanego spuścił z uwięzi. Prowadziliśmy go w pięciu. Czterech złodziei z linami w łapskach po bokach i Smolarz na początku z rurą. Kleń się trochę szarpał, opierał, ale krok po kroku wyprowadziliśmy go z obory bez niespodzianek. Na samochód też wlaź szczęśliwie.

Na oborach nie czuło się tak zimna, jak na dworze, ale postać bez ruchu nie szła. Mróz wciskał się wszystkimi szparami i nie było na to rady. Robota przy rogaciznie nie kończyła się nigdy: wciąż sprzątanie stanowisk, czyszczenie byków albo zadawanie żarcia. Jak człowiek nie siedział na dupsku, dawało się wytrzymać. Czasem zagrzebywałem się w siano, tylko co to

za leserka, jak bez przerwy musiałem uważać, czy ktoś mnie nie przyłapie na leżeniu? Najlepsza jednak fucha zimą była na chlewni. Budynek niski, długi, bez okien, z jednym tylko wejściem, to i zimno nie miało którędy się wciskać. Nad każdym boksem dla świń paliła się żarówka, a jak któraś z macior się oprosiła, brygadzysta podwieszał czerwoną lampkę, żeby nagrzewała małe – nie mogło więc nie być ciepło. Zima przestawała wtedy istnieć. Jak ktoś miał chęć, mógł nawet trochę przekimać, tylko jakoś nikt nie miał na to ochoty, bo szczurów na chlewni było od metra. Raz nawet chciałem jednego ukatrupić. Akurat oglądałem dopiero co wylęgte na świat prosiaki: kilkanaście małych ryjków, w tłoku, w przepychaniu, przy cyckach maciory. Na taki widok gęba się cieszy na całą szerokość. Nagle, w boksie obok, coś się poruszyło. Łypnąłem okiem, a tam w korycie wypasione szczurzisko posuwało resztkę niedojedzonych kartofli z otrębami. Odszedłem cicho i powiedziałem kumplowi co jest grane. Machnął ręką, żebym odpuścić, ale ja się uparłem i chciałem szczura załatwić. Koleś dał się namówić. Wypłoszył go cegłówką. Spanikowany szczur wyskoczył na korytarzyk, a tu niespodzianka. Myślałem, że mnie wyminie, albo wskoczy do innego boksu, wtedy ja bym cmyknął go dechą, ale ten padalec, nie wiem, czy ze strachu, czy z rozpaczy, skoczył na mnie. Mało nie narobiłem w pory. Rzuciłem przed siebie dechę, potknąłem się i upadłem. Nawet nie zauważyłem, gdzie szczur zniknął. Koleś zaśmiewał się jak chory pacjent, a ja miałem dosyć polowań na szczury.

Chlewnia, zimą to taki centralny punkt dla złodziei, gdzie

zawsze coś się działo. Pewnie dlatego, że każdego ciągnęło do ciepła. Można było zajechać wodę na herbatę, ogrzać gnaty, wyjarać szluga albo zabajerzyć. Zawsze ciekawiło mnie, dlaczego przy maciorze, która miała małe, był pusty boks. Chlewniarz powiedział, że jak kończy robotę przegania małe do pustego kojca, bo czasem się zdarza, że maciora pożera swoje małe. Spytałem dlaczego, bo przecież takie świńsko nie było przecież głodne, i jakby nie patrzył, przecież to jej własne dzieci. Złodziej nie wiedział. Brygadzysta kazał mu przeganiać małe, to przeganiał i już.

Na chlewni za ramkę szlugów można było załatwić parę dni zwolnienia. Chlewniarz miał wprawę w uszkodzaniu gnatów. Jak ktoś miał życzenie, łamał palec butelką, a jak mniej ostro, to polewał nogę albo rękę wrzątkiem, zawijał folią, bandażem i po kilku dniach pacjent zgłaszał się na dyżurkę z dolegliwością. Taka oparzelina bez powietrza zaraz się atandziła i wyglądało to na grzybicę, albo wrzody. Lekarza i tak nie było, a klawisze nie mieli pojęcia co to za przypadłość i najczęściej wysyłali symulanta do Bantary, ten smarował ranę jakąś mazią albo posypywał pudrem i kilka dni urlopu, w ciepłej sali, bez roboty, bez dyżurów, złodziej miał nie wyjęte. Tak naprawdę, mało kto szedł na taki układ. Raz że bolało, ale to był najmniejszy kłopot. Gorzej było z wypiskami. Złodziej bez pracy? Na konto nie wpływała żadna kasa. Nie tyrałeś, nie zarabiałeś. Kiedy w wypiskę taki symulant patrzył, jak inni kupują sobie biały chlebek, konserwy, herbatę i szlugi, to żal ścisnąć, że trzeba się bujać o suchym pysku. Na ozecie nikt nie częstował i nie rozdawał szlugów. Nawet petów nie zostawiało

się w popielniczkach, tylko chowało w torebkę i jak przychodziła posucha na fajki, było wtedy z czego zrobić skręta. A nawet jak miało się co jarać, skręt przy herbacie smakował nieraz lepiej od szluga, bo miał takiego kopa, że aż w płucach się gotowało. Najlepiej wiodło się tym, którym z domu podsyłali kasę. Wtedy mogli kombinować, chodzić na zwolnienia, ale i tak była to krótka piłka. Naczelnik nie lubił chorujących. Domyślał się pewnie, że w większości przypadków to symulka, ale jak nie było lekarza, to kto mógł sprawdzić, co komu dolega? Wypuszczał zaraz złodzieja w transport, często ze zmienioną grupą z „O” na „Z” i koniec świeżego powietrza, zielonych łąk i cudownych krajobrazów. Mnie nie uśmiechały się zmiany. Na ozecie pozycję miałem mocną, w pegeerze liczyli się ze mną, nikt mną nie pomiatał, tak jak świeżakiem. Nawet zimno i głód nie zabiły we mnie pogody. Człowiek przyzwyczajał się, czy chciał czy nie i mimo ciągłych niedogodności, dostawania w dupę, miałem w sobie jakąś radość, pęd do życia, które nawet z najgorszych sytuacji pozwalały mi wybrnąć bez szwanku, a co najważniejsze, nawet w ponurym codziennym dniu widziałem jasny promyk, złapać go i mówić, że można się cieszyć, a nie bez przerwy narzekać.

Zasiedziałem się, czułem to. Nie chciałem zmian i transportów. Niby mogłem się ruszać, nawet w ramach ozetu, no, nie takiego, że biorę parę złotych, wychodzę i idę na piwo, a jednak miotałem się. Tylko tak naprawdę, na wolności, jeszcze mniej mogłem śmigać niż tutaj. Zawsze byłem spętany jednymi myślami, jakby tu najlepiej się urządzić, skombinować kasę,

albo mieć lepszą dzierlatkę od kumpla – to właśnie było tkwieniem w miejscu, zalewanym wciąż piwem albo winem. Teraz otworzyły się we mnie pastwiska dla byków, góry, cała odległość między ziemią a niebem, że tylko zebrać się w sobie i ruszyć do przodu, a jednak tkwiłem jak bukat na łańcuchu i bałem się. Zobaczyłem, że zawsze tak ze mną jest, gdy pojawia się nowe, bo chyba nie potrafiłem jeszcze nazywać niektórych rzeczy i powiedzieć czym się to je. Kiedy tylko otwierała się we mnie ta nieznana przestrzeń, poślady zaczynały mięknąć i uciekałem. Tak, spieprzałem aż się kurzyło, z butlą w kieszeni, z kumplami na dyskotekę, albo na randkę z dzierlatkami. Na wolności było o tyle lepiej, że miałem zawór, przez który spuszczałem powietrze, drzwi przez które mogłem wyjść: tutaj wszystko miałem pozamykane. Miotalem się i mogłem się albo pociąć żyłką, albo rąbnąć pięścią w stół, ruszyć z miejsca, zobaczyć, co jest za następną górą, jak wygląda inne pastwisko i odkryć, co się kotłuje między niebem a ziemią.

Smolarz codziennie wywoził z obory łajno. Wjeżdżał wozem jednymi wrotami, a wyjeżdżał drugimi. Nim jednak przejechał całą oborę wzdłuż, wybierałem towar z kanału i wrzucałem na furę; pięć stanowisk po jednej i po drugiej stronie. Smolarz cmokał na konia, wóz przetaczał się kawałek i, łopata za łopatą, krowiak spadał między latry, jakby plackało błoto. Potem następne pięć i po dwudziestu minutach obora była czysta. Smolarz wsiadał na wóz i zniknął pomału za wrotami.

Miałem nadzieję, że podpowie mi, wskaże, da jakąś radę na mój gniew, na szarpanie w środku, ale ten grzdyl ani myślał

niczego tłumaczyć. On nie lubił pogaduszek, męczył się od chlastania jęzorem. Mówił, że ludzie nie od papierosów chorują na raka, ale od gadania. I żeby jeszcze powiedział, że to ludzkie gadanie jest głupie, albo niepotrzebne, żeby jakoś pomyśleć, zahaczyć się na czymś, to nie: od gadania i już. I nie wiedziałem, co o tym myśleć, czy bajer jest niepotrzebny, czy jkanie szlugów, czy może rak. A może dla niego to wszystko było potrzebne. Podkręciłem mu, żeby nie kadził, żeby zagadki zostawił dla wnuków, ale on najspokojniej w świecie cmokał na konia i czekał, aż wrzucę nową porcję łąna na wóz. Kiedy w kanałach zrobiło się pusto, myślałem, że zaraz odjedzie, ale on zaczął dziwnie się zachowywać. Podszedł do stanowiska, odwiązał byczka, potem otworzył wrota w oborze i patrzy na mnie. W pierwszej chwili mózg stanął mi dęba, ale za moment zorientowałem się, że znowu pokazuje mi jakąś swoją sztuczkę z serii: rebus. Wiedziałem już, że woli pokazać, jak coś powiedzieć, ale te jego zagadki niełatwo dawało się rozwiązać. Nie pojmowałem, o co mu biega. Bukat odwiązany, czy na łańcuchu, stał jak stał i nic się nie działo.

Smolarz zaczął odpinać pozostałe bydlaki. Kiedy wszystkie były już bez łańcuchów na rogach, sięgnął po bat z wozu i zaczął je lekko okładać po kulasach, żeby ruszyły z miejsca. Kierował je do wyjścia. Dopiero gdy kilka z nich znalazło się we wrotach, cała obora ruszyła za nimi. Teraz to naprawdę nie miałem pewności, czy coś nie przekręciło mu się we łbie. Wyganiać bukaty zimą na dwór, jakby to już była wiosna i czas na pastwiska – tego jeszcze nie widziałem.

On chyba od urodzenia miał smykałkę do czegoś

takiego, albo może ja inaczej nie potrafiłem niczego pojąć, jak nie zobaczyłem. Ale przecież oczy miałem takie jak on i niczego innego niż on w pegeerze nie oglądałem. A jednak. Byłem jak ślepiec. Wreszcie uległ i powiedział:

– Byk dopiero wtedy zrozumie, dokąd ma iść i ruszy się z miejsca, jak dostanie po gnatach, bo jeśli nie, jego jedynym zmartwieniem będzie problem pustego żłobu.

I to był koniec jego mądrości. Chciało mi się śmiać. Sam wiedziałem, że tak jest. Ale ja już znałem na tyle pacana i odkryłem, że nie byłby sobą, gdyby to, co robi, nie miało głębszego sensu. Na odchodnym dorzucił jeszcze, że w stadzie trafia się czasem sztuka, która nie czeka na wszystkich, nie czeka, nim wszyscy ruszą, ale wie kiedy i gdzie ma iść, i zawsze znajdzie soczystą trawę.

– I wcale nie trzeba takiego poganiać, otwierać mu drzwi, ani uwiązywać na łańcuchu, bo on sam wie, kiedy ma wyjść. Żaden łańcuch go nie utrzyma i nikt nie zamknie przed nim drzwi.

KONIE

Czternaście dni urlopu. Nawet w kryminale przysługuje odpoczynek po roku ciężkiej pracy. Oczywiście nikt mi nie zaproponował tego, co się każdemu należy. Przecież nie ja układałem regulamin, więc o co chodzi? Sam upomniałem się o swoje, bo inaczej mógłbym oblizać się wakacjami. Naczelnik pozytywnie rozpatrzył prośbę, ale z wielką niechęcią. Oni myśleli, że jak przestępca, to co? Wypruć flaki, a robić?

Na urlopie to człowiek jest gość. Że nigdzie nie wyjechałem do kurortu? Nic nie szkodzi. Siedzenie na ozecie było dla mnie czymś więcej niż kurort. Wreszcie mogłem legalnie poleżeć i nie martwić się niczym. Dyżury mnie nie ruszały, na telewizję chodziłem, kiedy chciałem, bo wypracowane, i żaden klawisz nie mógł mi zabronić. Byłem tak zmęczony po roku zasuwania, jak bym pił przynajmniej miesiąc. Na śledczaku człowiek nic nie robił i też było źle. Co za życie? Wciąż leciałem albo w jedną, albo w drugą stronę. Po takim szarpaniu czułem się jak wymięta ściera.

Wokół mnie zaczęło się dziać coś dziwnego. Aż trudno uwierzyć. Paweł z Piotrem pojechali w transport i mnie dostało się szpącenie na ozecie. Nie od razu dotarło to do mnie. Zostałem najważniejszym grypsującym! Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek spotka mnie coś takiego. Nie byłem fanatycznym wyznawcą grypsowania, ale bycie po drugiej stronie jeszcze mniej mnie pociągało. Sam naczelnik mnie wezwał i złożył gratulacje: szybko rozchodziły się tajemnice grypsujących. Na początku kpił w żywe oczy, ale później zmienił ton rozmowy.

Mówił, że wierzył we mnie i że zdolna ze mnie bestia. Wyraził uznanie, że nie załamalem się i dałem radę przejść przez polówkę, obory i wszystkie kłody, które waliły mi się pod nogi. Dodał, że czasem sam podstawiał mi nogę.

– Ale... – powiedział.

I to jego „ale” nie wróżyło nic dobrego. Mówił coś o trudach, że jeśli człowiek jest wytrwały, to zawsze przychodzą lepsze dni, lecz jeśli chodzi o mnie, to żebym za bardzo się nie cieszył, bo sytuacja, w której siedzę po uszy, jest złudna.

– Urlop, szpącenie, odsiedziane półtora roku – mówił – ale zostaje jeszcze tyle samo.

Wspomniał, że należy mi się już warunkowe zwolnienie i właśnie na wokandzie skupił się najbardziej. Nie wiedziałem, czy znowu chce mnie oszukać, czy jest szczery. Czułem, że ma dobre intencje i przedstawia sprawę bez kręcenia. Tak, należała mi się wokanda, stałem mocno na ozecie i w pegeerze, niejeden złodziej mógłby mi pozazdrościć, ale według niego były to jedynie moje wyobrażenia. Bo kim ja byłem w kryminale? Wmawiał mi, że moje miejsce jest na wolności, a nie za podwójnym pasem siatki.

– Kryminał jest dobry dla debili i tych, co nie myślą, albo dla tych, którzy chcą się czegoś nauczyć, a jeśli ci ostatni zrozumieli pewne rzeczy, niech wyskakują z szamba, jeśli jest taka możliwość.

Miał rację, ale co z tego, skoro nie wiedziałem, co dalej. Nawet przestały mnie fascynować więzienne pogaduszki. Świat, który ujrzałem w książkach, język, który dzięki nim poznałem, kłócił się z tym, co otworzyło się wewnątrz mojej głowy, gdzie

do tej pory nie było żadnych sensownych myśli ani delikatnych uczuć. Miałem ochotę być szczery i mówić tak, jak naprawdę czułem. Nawet nie pamiętałem, kiedy naprawdę chciałem coś takiego zrobić. Zagrałem z nim w otwarte karty. Uwierzyłem w jego dobre intencje i zapytałem, co mam w takim razie zrobić.

– Przestać grypsować.

Nie oburzałem się już tak, jak na początku wyroku, na podobne propozycje. Kiedy przyszła myśl, że już za miesiąc, może dwa, znajdę się na wolności, to nieźle mną ruszyło. Rwałem się do domu jak nigdy dotąd. Ale wewnątrz coś protestowało przed przystaniem do tych gorszych. Bo gdybym od razu został jednym z nich, to czułbym, że jestem w porządku, tylko ja nie chciałem i rozumiałem, jaki był jeden z powodów. Większość złodziei w kryminale grypsowała – prawdziwie czy nie, to już inna sprawa. Nie chciałem się wyłamać, być innym. Bałem się, że ktoś nazwie mnie frajerem, że będę jadł przy oddzielnym stole, a złodzieje powiedzą, że nadstawiam dupy dla wokandy. W pewnym momencie przyłapałem się na przestawianiu zwrotnicy we łbie. Zacząłem wymyślać, że niby dlaczego mam być wierny jakimś zasadom, skoro one obowiązują w więzieniu i są przestrzegane przez złodziei. No bo jak to tak? Ja, chuligan, kryminalista, miałem się powoływać na zasady i trwać przy grypsowaniu? Komu to było potrzebne i co właściwie mi dawało?

Naczelnik zauważył, w jakim jestem stanie. Nie rozkręcał dłużej moich emocji. Powiedział, że wcale nie muszę podejmować decyzji, że mam czas, a na razie przenosi mnie z obór na stajnię i na najbliższej komisji kwalifikacyjnej wystąpi z

wnioskiem o przydzielenie mi grupy M3. Zaskoczył mnie zupełnie. Miałem urlop, zostałem szpącicielem, a jeszcze wpadła mi robota bez dozoru. Niemal jak cywil. Poczułem w sobie tę wolność, chciałem być teraz z kumplami, opowiedzieć im o swoich wyczynach, pochwalić się całemu światu, co potrafię, jaki ze mnie kozak i że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Zachłysnąłem się bez reszty myślami o wolności. Przez półtora roku czekałem, wypatrywałem, kiedy mnie zwolnią, a gdy miesiące leciały, dłużyły się, a dzień wyjścia pozostawał nadal odległy, nabrałem przeświadczenia, że wolność pewnie przyjdzie, tylko kiedy i czy na pewno? A teraz, gdy naczelnik przed czasem pokazał mi kawałek wolności, że już niemal za chwilę wrócę do domu, że wystarczy wyciągnąć rękę i nacisnąć klamkę od swojego pokoju, zapragnąłem wydostać się z ozetu, z pegeeru i z całej tej mordęgi. Gdyby mi podsunął teraz oświadczenie, że przestaję grypsować, nie zastanawiałbym się sekundy i podpisał – ale on nie nalegał.

Kiedy wróciłem na salę, ochłonąłem. Było nie było, tkwiłem w grypsowaniu ładnych parę miesięcy, grałem pierwsze skrzypce w tej kapeli, jakieś tam zaufanie pokładali we mnie niektórzy złodzieje i teraz miałbym się wypiąć na to wszystko? Ciekawiło mnie, dlaczego naczelnik zaczął być takim szczerym tatusiem. Może nie mógł znieść, że jego statystyka się nie zgadza, że są na ozecie złodzieje, którzy na przekór jego poczynaniom grypsują, jak grypsowali i wcale nie mają zamiaru z tego rezygnować? Mimo wszystko postanowiłem napisać podanie o warunkowe, przedterminowe zwolnienie. Nie bardzo wiedziałem, jak się to robi, napisałem więc list do domu, żeby

mama poszła do adwokata i żeby on takie pismo w moim imieniu wysłał do tutejszego sądu penitencjarnego. Klamka zapadła. Teraz trzeba było tylko czekać i uzbroić się w cierpliwość.

Urlop miałem z głowy. Rozmowa z naczelnikiem o wcześniejszym wyjściu rozplynęła się po całym ciele i nie dawała spokoju. Telewizja przestała mnie bawić, leżenie w łóżku do południa straciło już urok – nawet na książki straciłem ochotę. Chciałem działać. Wymyśliłem sobie, że dobrze by było zorganizować chłopaków w jakiś porządek, żeby mniej było niedomówień i awantur między grypsującymi. Do tej pory wszystko zdane było na żywioł i wiedziałem, że z braku organizacji panuje prowizorka. Wyznaczyłem na każdej sali grypsującego, który miał pilnować przestrzegania zasad i w razie czego rozstrzygać ważniejsze problemy i jak trzeba by było kogoś obić za wycyflę, to żeby na miejscu załatwiał sprawy, a nie biegał z każdą rzeczą do mnie. Ja miałem tylko rozsądzać najważniejsze sprawy: schować kogoś do worka albo nie. Ale już po tygodniu przejadła mi się taka partyzantka. Przez całe półtora roku nie patrzyłem na grypsowanie tak, jak teraz. Od kiedy mogłem ustalać, że ma być tak, a nie inaczej, że jakieś słowo jest wycyflę, a inne nie, wtedy grypsowanie wydało mi się strasznie śmieszne. Bo o co właściwie w tym grypsowaniu chodziło? O wspólnotę, która przeciwstawia się murem administracji? Bzdury! Żadnej wspólnoty nie było. Mit o sztywnych grypsujących dotyczył może jakichś pojedynczych, samotnych złodziei, którzy ze swojego fachu zrobili cel życia. Cała reszta myślała, jakby urządzać się najwygodniej, lekko

odsiedzieć swoje i wyjść szybko na wolność. A może celem grypsowania było wykluczanie z rozmów pewnych słów i zastępowanie ich czymś wymyślnym, żeby upokarzać innych i mówić, że jest się lepszym od drugiego i w ten sposób, za wszelką cenę, zdobywać pewność, że ma się jakąś wartość? Bo gdy człowiek tak szczerze spojrział w siebie, to co widział? Zwykłego gnoja, który trzęsie się z byle powodu i tylko strach karze omijać to, co w człowieku wartościowe, wykazywać sobie samemu, że jednak jest się kimś. A kiedy już człowiek dojrzy, że zamiast mózgu ma trzęsącą się galaretę, zaciera ślady swojego odkrycia i ucieka przed sobą wywijając rękami na prawo i lewo. Mało kto godzi się na coś takiego – nie chce słyszeć, że jest małym pyłkiem, którego w każdej chwili los może rzucić byle gdzie i byle jak, a nawet zgładzić i nie będzie miał nic do powiedzenia. Lecz z drugiej strony nie chciałem tak myśleć. Przestałem już orientować się, czy aby moje kręcenie nie wynika z chęci wcześniejszego wyjścia i czy przypadkiem nie zaczynam się rozgrzeszać już teraz, żebym później, jak przyjdzie co do czego, był już oswojony z myślą, że jednak nie jestem świnią, że nie zdradzam niczego ani nikogo, bo właściwie deklaracji o grypsowaniu żadnej nie podpisywałem, ani nikomu nie przysięgałem. Miałem dość siedzenia beczynn timer na ozecie i zastanawiania się, co by było gdyby. Chciałem wracać do roboty. Zmęczyć się, uspokoić i na chłodno zobaczyć, o co mi naprawdę chodzi. Przerwałem urlop i wróciłem do pracy.

Naczelnik nie oszukiwał. Naprawdę zacząłem pracować przy koniach. Od tego momentu byłem prawie jak na wolności. Żaden klawisz za mną nie łąził. Gdy tylko wysiadałem z

Paryskiej, byłem panem samego siebie. No, nie tak zaraz, że robiłem co chciałem, musiałem przecież czymś się wykazać, bo robota przy koniach to nie leżenie w stajni. Do stałych zadań należało wywożenie krowiaka z obór, przywożenie zielonki albo kiszonki, no i jakieś inne fuchy, które zlecał brygadzysta.

Mój pierwszy dzień na stajni był szczególny: podkuwanie konia. Oczywiście, nie ja przybijałem żelastwo do kopyt, ani nie kował, bo w pegeerze nie było kogoś takiego, ale Smolarz. Przy stajni stał nieduży budynek, który cywile nazywali kuźnią. Gdy wszedłem do środka za Smolarzem, pomyślałem sobie, że jestem chyba w jakimś zaczarowanym świecie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, może jedynie na obrazkach w książkach z bajkami o kowalach, diabłach czy czort wie z jakim lichem. Półmrok, małe okienko na zachodniej ścianie, pełno żelastwa, półki, stoły i palenisko. Właśnie palenisko miało najwięcej w sobie tajemnicy i nastroju z bajek. Kuźnia zbudowana z pustaków, byle jak otynkowana, drewniane krokwie przesycone dymem, sękate i powyginane gdzieś od dźwigania dachu, w połączeniu z ceglany paleniskiem i kamiennym kominem, który ginął w suficie, nadawały wnętrzu niesamowity nastrój. A miech, to dopiero był odjazd! Wystający z boku pieca balon ze skóry, w którym tkwiły dwa drewniane badyle, że jak się nimi zaczęło ruszać, ogień na ruszcie od razu podskakiwał, buzował jak talala, a gorąco z rozżarzonych węgli wpadało w okap z blachy i wyfruwało przez kamienny komin do nieba. Wszędzie bajzel, a jednak jakoś nie raziło. W porównaniu z porządkiem na ozecie, tutaj był zupełny chlew, ale nastrój, który kołysał się między drewnianymi krokwiami, między

beładnie porozrzucanym żelastwem i podkowami pozawieszanymi równiutko na gwoździach, rozbrajał, osłabiał i wcale nie chciało się mówić: o, jaki syf. Od razu wiedziałem, dlaczego nikt nikogo nie zmusza do sprząwania, bo pewnie każdego, kto wszedł do środka, łapał za serce ten bajkowy nastrój, kołysał nim, uspokajał i nie domagał się żadnych zmian. Czułem, że gdyby człowiek zaczął układać wszystko i znajdował konkretne miejsce dla konkretnego kawałka żelastwa, to już żadnej podkowy nie można by było spasować do kopyta, bo jedynie podkowy pozawieszane w szeregach, na gwoździach, musiały mieć swój porządek. Dopiero naprzeciw skotłowanego żelastwa, okopconych ścian, brudu i pajęczyn, widziałem te końskie buciory i od pierwszego spojrzenia wiedziałem, że tutaj kuje się konie. Gdyby wszystko miało swoje miejsce i było ułożone w szyku, takim jak podkowy, to człowiek by się zgubił i nie wiedział, czemu to wszystko służy. A tak spojrzałem i od razu z tego bałaganu oczy wyłapywały podkowy i nie męczyły już domysły.

Smolarz wybrał jedną podkowę. Wykombinował sobie, że będę jego pomocnikiem. Kazał mi potrzymać końskie kopyto. Ani mi w głowie było trzymać cokolwiek, a tym bardziej konia za nogę. Nie miałem pojęcia, jak się to robi, a w dodatku czułem niezłego cykora. Taki wielki koń to nie mały byczek na oborze. Niech by przyłożyło takie bydle z kopyta, a szpital miałbym murowany. Smolarz nie przejął się moimi obawami. Podeszedł do siwej kobyły, stanął z boku jej zada, złapał za piszczel, podciągnął kopyto na wysokość bioder, wystawił swoje kolano i oparł na nim kobyli giczoł. Zrobił to tak wprawnie i szybko, że aż

sam chciałem spróbować. I spróbowałem, ale kobyła widać nie lubiła nerwowych ruchów, bo gdy tylko sięgnąłem po jej kopyto, unosząc je na kilka centymetrów, szarpnęła się mocno i odepchnęła mnie na bok. Smolarz uśmiechnął się mówiąc, że na końskie fochy jest prosta rada. Znow stanął z boku kobyły, podciągnął jej kopyto do góry, złapał za ogon i okręcił go wokół stawu przy kopycie.

– Trzymaj. Teraz nie ruszy się nawet na centymetr – doradził.

Miał rację. Kobyła próbowała się uwolnić od mojego trzymania, ale gdy tylko próbowała gwałtowniej się ruszyć, szybko się uspokajała, bo inaczej padłaby jak długa. Smolarz przymierzył podkowę: była trochę za duża. Kazał mi puścić ogon i pomóc przy robocie. Weszliśmy do kuźni. Na palenisku węgiel dobrze się już hajcował. Smolarz wrzucił podkowę do żaru, pogrzebaczem wcisnął ją głębiej, a mnie kazał pompować powietrze z miecha. Złapałem za dwie drewniane rączki i zacząłem nimi szybko poruszać. Ogień buchnął żywiej, ale Smolarz dał mi znak, żebym zastopował i mruknął, że z dużego ognia nic dobrego się nie urodzi. Twierdził, że ogień musi być spokojny, ale mieć moc, żeby przeniknąć każdy kawałek podkowy; głaskać żelazo, smakować go i dobierać się do jego najgłębszych tajemnic; nie niszczyć wybuchowością i wielkim żywiołem, ale krok po kroku stapiać się z podkową, by człowiek mógł wydobyć z niej odpowiedni kształt; wtedy taka podkowa lepiej się nosi, lepiej służy koniowi i na dłużej starcza.

Smolarz przy palenisku wyglądał jak czarodziej. Poszturchiwał co jakiś czas podkowę, obracał ją, przypatrywał

się uważnie, a ja naciskałem lekko miechy, tak żeby ogień za mocno nie podskakiwał do góry. Wreszcie wyjął podkowę, położył na kowadło i zaczął walić w nią młotem. Nie wiem, jak to zrobił, ale po kilku minutach wsadził ją do wody i gdy znów przymierzył do kopyta, pasowała jak ulał. Ostрым nożem podstrugał kopyto, powbijał gwoździe, pozaginał je na zewnętrznej stronie kopyta i kobyła była oporzędzona.

Z innymi końmi nie było tyle kłopotów, co z tą siwą kobyłą. Smolarz wołał na nią „Biała”. Zawsze chciała postawić na swoim. W stajni każdy koń miał swoje miejsce. Poprzywiązywane łańcuchami do ściany stały koniska z jednej i drugiej strony przy ścianach, obok siebie, jedynie Biała miała wydzielony boks. Oprócz Smolarza nikt do niej nie mógł wejść. Zaraz wierzgała kopytami i każdego śmiałka, który pojawiał się w jej zagrodzie, starała się wykopać na zewnątrz, a gdy kopytami jej się nie udawało, próbowała gryźć. Omijałem ją z daleka.

Stajnia podzielona była na cztery części. Zaraz jak się wchodziło, po prawej stronie, był boks Białej. Na przeciwległej ścianie, też po prawej, stały Smarkul i Żyrafa – konie dla dyrektora i jego gości. Ładne i zgrabne były te koniki. Czy mogły wyglądać inaczej? Roboty żadnej nie zaznały. Nikt im nie zakładał pasów do ciągnięcia wozu, tylko siodła na plecy. Nogi szczupłe i zgrabne, karki wysmukłe, takie dostojne, jak sam dyrektor i jego znajomi. Nawet ich uprzęż była inna niż u pozostałych koni. Kantary poprzetykane kolorowymi taśmami, wędzidła jakby z lepszej stali. Trzecia część stajni, po lewej, na wysokości boksu Białej, zajęta była przez Baśkę i Kryskę, a w

ostatnim sektorze stali Rysiek i Bliźniaki.

Nikt się ze mną nie cackał. Smolarz pokazał mi jak zakłada się uprzęż, brygadzysta powiedział, co mam każdego dnia robić i to wszystko. Myślałem, że najpierw pojeżdżę kilka dni ze Smolarzem, oswoję się trochę z nowym, poduczę nazw części uprzęży i budowy wozu, ale nikt nie miał zamiaru w czymkolwiek mnie szkolić, by lżej było. Jak człowiek wie, mniejszą ma tremę i robota łatwiej idzie. Zakładałem coś na grzbiet Kryśce i Baśce nie wiedząc jak się to nazywa. Mogłem sobie pogwizdać. Wykłady może i robili na uniwersytetach, tutaj nikt na takie głupoty nie miał czasu. W pegeerze musiało być na czas sprzątnięte łajno, przywieziona kiszonka, zielonka, albo coś innego. Kto miał czas na naukę i kto by za to płacił? Dostałem pod opiekę Baśkę i Kryskę i musiałem sobie radzić sam. Nawet gdybym chciał zapytać o cokolwiek Smolarza i tak bym go nie znalazł, bo nigdy go nie było pod ręką. On właściwie był wszędzie i nigdzie. Każdy chciał coś od niego i wciąż był potrzebny. Wydawało mi się, że mnie polubił i jakoś tam zaprzyjaźniliśmy się. Po cichu liczyłem, że w tych pierwszych dniach, przy koniach, będzie obok i w razie czego pomoże. Ale nic z tego. We własnym zakresie musiałem opanować sztukę furmanienia. Raz próbowałem ponarzekać brygadziście, że nie bardzo dają sobie radę: wyśmiał mnie. Zdziwiony powiedział, że do trzymania lejca i wywijania batem nie trzeba żadnych studiów. Dla niego wszystko było jasne i proste; myślał, że jak się opanuje zawołania: hetta, wišta, wio, prrr i odsie to jest się już magistrem. Dla mnie wyglądało to zupełnie inaczej. Byłem spanikowany i nieźle trząśłem spodniami. Wsiadałem na wóz i

już widziałem jak staczam się z góry, jak pęka dyszel albo robię coś nie tak. Po pewnym jednak czasie przyszła wprawa i zauważyłem, że z końmi trzeba spokojnie, nie nerwowo. Jak dawałem im trochę swobody, wtedy one same wiedziały, co robić. Całe lata pracowały w pegeerze i znały pewnie każdą dróżkę, koleinę krzak i drzewo przy drodze. Miałem też szczęście, że trafiłem na spokojne konie. Smolarz chyba celowo wybrał mi Baśkę i Kryskę. Rysiek miał moc jak parowóz, jak one obie razem wzięte, a także – swoje humory. Czasem stanął z wozem w jakimś najmniej spodziewanym miejscu i można go było okładać batem, a nie ruszył się z miejsca. Źle konisko skończyło, dostał takiego fioła, że nawet nie dał sobie założyć kantara na łeb i nie było z niego już pożytku. Dyrekcja postanowiła, że Rysiek pójdzie na przemiał. Jak przyjechał po niego samochód z rzeźni, właśnie mnie kazali wyprowadzić go ze stajni. Tyle że ja wypiąłem się na ich pomysł. Rysiek, jak tylko ktoś wchodził do stajni, szalał jak opętany. Wyrzucał zad wysoko w górę, walił kopytami na prawo i lewo, szczyrzył zęby i próbował gryźć każdego, kto podchodził za blisko. Zawołali Smolarza. On też przez chwilę był bezradny ale po kilku próbach podejścia, to z boku, to z tyłu, wgramolił się pod żłób i na czworaka doczłapał się pod łeb Ryśka. Nawet najmądrzejszy koń nie potrafi kopać do przodu, tak więc Smolarz był bezpieczny. Zresztą Ryśka najbardziej zajmowało to, co dzieje się z tyłu, i nie przeczuwał podstępu. Smolarz szybko zarzucił mu worek na głowę i koń od razu zrobił się potulny. Wyprowadził go na dwór, potem na samochód i nikt więcej Ryśka w pegeerze nie widział. Powieźli go do masarni i przerobili pewnie na tatar.

Po pierwszych próbach z końmi, ciągłym pośpiechu, nerwowy, przyszła pora spokoju, patrzenia w siebie i oglądania krajobrazów. Tyle miesięcy byłem już w górach, a nie miałem pojęcia, jak one wyglądają. I już nie mówię, że wypuszczałem się na jakieś dalekie wędrówki wozem, żeby podziwiać widoki, wjeżdżać do lasu i wąchać zapach żywicy, bo robota musiała być zrobiona, ale sam czas jazdy, trzymanie lejca i poczucie, że oprócz mnie i koni nikogo nie ma, robiły ze mnie słabego gościa. Gdy jechałem z obornikiem na wozie, to wcale nie czułem smrodu i nie przeszkadzało mi, że ciuchy mam uwalane gównem. Zupełnie mnie opuściły myśli, o tym, co robię i jak wyglądam, i że gdyby zobaczyli mnie kumple z wolności, byłby wstyd i niezłe drwiny. Zrobiłem się jakiś miękki w środku, umiałem współczuć sobie, koniom i złodziejom, zachwycać się widokiem czegokolwiek, a gdy po robocie, w stajni, brałem zgrzebło i szczotkowałem moje dziewczyny, Baškę i Kryškę, miałem wrażenie, że to, co robię, jest w tej chwili najważniejsze. Najzwyczajniej w świecie rozczulałem się. Nie buntowałem się już przeciw temu, nie uciekałem, bo gdy nawet strach zaczynał mnie ścisnąć, wystarczyło, że spojrzałem na konie i wiedziałem, co mam robić, bo koń był jak ja, jak przestępca, a nawet gorzej. Bo koń w pegeerze miał dożywkę i to za niewinność. Nie mógł, tak jak ja, iść po robocie na telewizję, pogadać, przeczytać listu od rodziny, albo wypalić papierosa. Koń stał przy żłobie i czekał, kiedy założą mu pasy i zaprzęgną do wozu, żeby znów tyrać ileś tam godzin. Nie mógł nawet ponarzekać. Jediną jego szansą na przeżycie była praca i to taka cierpliwa, bez szemrania i podskakiwania, bo gdyby się

zbuntował, tak jak Rysiek, szedł do rzeźni i koniec. I jak ja wyglądałem przy koniu? Nie czułem już tak mocno swojego wyroku. Podziwiałem jedynie końską cierpliwość i chciałem się jej nauczyć, bo wiedziałem, że przynosi ona spokój, w ślad za którym pojawiają się zadowolenie i zachwyty nad światem. Taka jazda wozem, zaprzężonym w dwa konie, górską drogą, przez trawę – z czym ją mogłem porównać? Z zabawami na wolności? Z pełnym portfelem w kieszeni? A może z panienką? Do niczego nie mogłem porównać tej jazdy, bo pojawiło się we mnie coś nowego, coś, co czasem przeczuwałem na wolności, jak spotkałem się z dziewczyną, ale to coś nigdy nie mogło się rozwinąć i ukazać w pełni, bo przygniatałem to swoje uczucie hardością, twardym traktowaniem siebie i innych, a jak popiłem wina, dopiero co tłące się uczucie, rozmywało się i znikało. Teraz zobaczyłem, czym to jest, wpatrzony w trawę, w góry i końskie zady, miękkie w środku i rozczulony: kochałem. I wcale mnie nie olśniło, ani oczarowało, bo przecież nie odkryłem Ameryki, tylko przypomniałem sobie swój stan z dzieciństwa, kiedy wpatrzony w matkę zachwycałem się nią i wcale nie dlatego, że dała mi cukierka, że była dla mnie dobra i czuła, ale dlatego, że była: zwyczajnie, stała obok, czy trochę dalej, a ja mogłem na nią patrzeć, jak na najcenniejszy skarb na świecie. Teraz czułem zupełnie to samo. Wystarczyło, że były konie, wóz, góry, żebym znalazł się w świecie miłości. I nie musiałem za tym biegać, szukać tego, wlewać w siebie żadnych mikstur, czy szukać sztucznych podniet, bo to było tylko ocieranie się o to, do czego bez przerwy dążyłem i starałem się złapać. Dziwne. Człowiekowi się zdaje, że musi za czymś się uganiać, bo tylko

wtedy jak będzie gonił, może chwycić swoje szczęście, a tu takie zdziwienie. Wystarczyło patrzeć, słuchać i robić, co się robi, tak jak mówił Smolarz, a wszystko zaczynało być proste i oczywiste. Jechałem wozem i chciałem wczepić się w tę miłość, złapać ją jak lejce i kierować, i żeby ona, jak powiem wio, szła do przodu, a gdybym chciał ją zatrzymać, to żeby krzyknąć prrr, a ona zostaje i czeka, co dalej. Ale tak łatwo nie było z miłością, nie tak, jak z końmi, że na zawołanie ruszy, a jak się każe to stanie. Przychodzi nie wiadomo kiedy i nie słucha żadnych rozkazów.

Szybko zaprzyjaźniłem się z moimi kobyłkami. Rozmawiałem z nimi, a jak się udało, przynosiłem im niekiedy chleb z ozetu. Niewiele tego, ale zawsze jakaś odmiana. Zwierzak też czasem ma chęć na co innego. Wciąż trawa albo siano, to nawet najmniej wybrednemu może się znudzić. Raz udało mi się zdobyć cały dwukilowy bochen. Któryś ze złodziei nabrał na wypiskę kilka białych chlebów i nie zdążył ich zjeść. Chleb sčerstwiał, a tu przyszła następna wypiska. Dałem mu dwa papierosy za ten chleb i zabrałem dla moich kobyłek. Ale nie poszło tak łatwo. Przed wyjazdem do pracy, akurat wtedy, gdy niosłem chleb, Bantarze zachciało się obszukiwania. Czasem miał takie zagrywki i wyręczał klawiszy w ich robocie. Później okazało się, że któryś ze złodziei niesie list i chce go wysłać na lewo. Bantara musiał dostać od kogoś cynk o przerwaniu, a co gorsze miał z wysyłającym na pieńku, bo inaczej pewnie nie zawracałby sobie głowy. Staliśmy w szeregu, a on z klawiszem, na wrywki, obszukiwali. Bantara nie od razu wskazał na tego co trzeba, bo trochę głupio, on też chyba miał jakieś poczucie wstydu, ale co mi do tego. Miałem gdzieś ich rozgrywki.

Niosłem chleb, cały bochen i wiedziałem, że zaraz padnie na mnie. I jak miało nie paść. Chleb miałem wciśnięty za spodnie – wystawał na kilometr. Klawisz od razu zauważył i zapytał, czy przypadkiem nie jestem w ciąży. Uśmiechnąłem się głupio i powiedziałem, że wziąłem ze sobą drugie śniadanie.

– Śniadanie? – zaczął szyderczo – Co ty mi tu pierdolisz o drugim śniadaniu.

Chleb musiałem zostawić na ozecie, ale i tak wyniosłem go później w kawałkach do stajni. Oni myśleli, że żarcie dla kobyłek trafi do ich chlewni. Wiedziałem, dlaczego tak pilnują, żeby nie wynosić. Kilkanaście metrów za siatką ozetu stała nieduża chlewnia. Klawisze trzymali tam dla siebie świnię, żeby mieć mięso na święta. Odpadków od stu złodziei zawsze trochę było: po śniadaniu, obiedzie, kolacji, lub też suchy chleb po wypiskach. A czerstwiak to niezła pasza dla świń. Wróciłem na salę, wsadziłem bochen w torbę foliową i włożyłem do szafki. Chleb musiał być porządnie zawinięty i leżeć równo, bo jeśli ktoś położył byle gdzie, a co gorsze, na okruchach, to gdy klawisz sprawdzał porządek i trafił w szafce na bajzel, złodziej mógł się pożegnać z chlebem: żarcie wpadało do klawiszowskich, świńskich ryjów.

Lubiłem karmić konie. Baśka i Kryśka strzygły uszami, gdy podawałem im na dłoni małe kawałki chleba. Pulchnymi chrapami zbierały delikatnie porcje i rozcierały je zębiskami, aż chrupało. Chciałoby się więcej, ale nie było skąd brać. Koń przy ciężkiej robocie musiał zdrowo zjeść. Jak dostawał wciąż zielonkę, to zaraz chudł. Smarkul i Żyrafa dostawali owies, ale ja nie miałem dostępu do tego towaru. Brygadzista trzymał wory

w magazynie, przynosił codziennie dwie działki, wsypywał do żłobu i czekał, aż konie wszystko zjedzą. Czasem gdzieś się spieszył i urywał wcześniej, wtedy szybko wybierałem owies ze żłobu do folii, chowałem na wozie pod sianem i dopiero gdy wyjechałem z moimi kobyłkami za pegeer, karmiłem je. Zły byłem, bo przecież nie te lalczki w kolorowych kantarach powinny dostawać ekstra dożywki. Ale wiedziałem dlaczego tak jest. Brygadzysta musiał dbać o reprezentacyjne koniki. Sierść musiała na nich lśnić, żeby dyrektor ze swoimi kolesiami mogli jeździć na ładnym, a nie na dziadostwie. Raz ukradłem pół wora paszy dla bukatów z magazynu. Myślałem, że moje kobyłki podjedzą sobie do syta, ale mało brakowało a wykończyłbym je jak amen w pacierzu. Po tej paszy Baśka i Kryśka spuchły jak balony. Spanikowałem i nie miałem pojęcia, co robić. Na szczęście w pobliżu był Smolarz. Zawołałem go na stajnie, a ten, gdy tylko wszedł, od razu wiedział, co się stało.

– Paszy im dałeś?

Kiwnąłem głową. Kobyłki zaczęły się pokładać. Smolarz pozakładał im kantary na łby, wyprowadził przed stajnie i przykazał, żebym z nimi chodził, aż nie podstawią Paryskiej. Do fajrantu zostało trochę czasu. Zawsze wcześniej zjeżdżałem wozem do stajni. Lubiałem zostawić porządek po sobie. Trzeba było też powrzucać za kratki zielonkę, by konie nie głodowały. Nic z tego już nie robiłem. Stałem między kobyłkami, chwyciłem za uzdy i zacząłem z nimi chodzić w kółko. Koniska ociągały się, próbowały się położyć, ale ja im nie dawałem. Kiedy przestały reagować na moje prośby, zacząłem krzyżeć, szarpać je, a kiedy i to już nie skutkowało, wziąłem bat i jak

któraś z nich przystawała, waliłem po nogach rzemieniem aż trzaskało. Wreszcie przyszedł Smolarz i kazał mi biec do Paryskiej. Sam chwycił kantary i zaczął chodzić. Powiedział mi jeszcze, żebym nigdy tego więcej nie robił, bo wykończę konie na amen. Popołudnie i noc miałem z głowy. Bez przerwy myślałem czy kobyłki wydobreją, ale jak na drugi dzień rano wszedłem na stajnię i zobaczyłem moje dziewczyny w dobrej formie, niepokój minął i zabrałem się z zapałem do roboty.

Dyrektor jeździł wierzchem, więc i ja nie chciałem być gorszy. To nic, że on i jego kumple siedzieli w siodłach. Na oklep też miałem niezłą zabawę. Gdy w pegeerze było trochę luźniej, bo złodzieje z brygadzystą wyruszali w góry przerzucać trawę, cywile rozłazili się po swoich domach, a klawisz zaszywał się w jakiejś dziurze, wyprowadzałem Smarkula przed stajnię i ćwiczyłem jazdę na oklep. Pierwsza próba nie trwała długo. Miałem nawet problemy z wejściem na grzbiet Smarkula, ale jakoś dałem sobie z tym radę i myślałem naiwnie, że wszystkie kłopoty mam za sobą. Szybko na własnej skórze przekonałem się, co to jest jazda na oklep. Gdy tylko Smarkul ruszył z kopyta, spadłem na ziemię i było po ćwiczeniach. Nie dałem jednak za wygraną. Tego dnia jednak zrezygnowałem z dalszych prób. I tak miałem szczęście, że nie połamane kości. Następnym razem zacząłem ostrożniej. Ściągałem cugle porządnie i Smarkul nie rwał już do przodu. Za daleko jeździć nie mogłem. Gdyby zobaczył mnie brygadzysta albo klawisz, zaraz by się awanturowali i straszili wszystkim, co możliwe. Powoli, po cichu, krok po kroku, uczyłem się jeździć i z tygodnia na tydzień szło mi lepiej. Nauka nie poszła w las. Któregoś razu na stajnię

przyszedł Kaftan i zapytał, czy umiem jeździć. Nie bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć. Myślałem, że wymyślił jakąś sztuczkę i chce mi w jakiś sposób dokopać, ale kiedy powtórzył pytanie, kiwnąłem głową.

– Pojedziesz po złodziei na Czarną i powiesz, żeby już wracali.

Wiedziałem, gdzie jest Czarna. Nie raz na tej górze przerzucałem siano. Kaftanowi pewnie nie chciało się iść taki kawał. Wcale mi to nie przeszkadzało. Wreszcie mogłem wypuścić się na prawdziwą przejażdżkę. Nie namyślałem się wiele. Zarzuciłem kantar na łeb Smarkulowi, wsadziłem mu wędzisko do pyska, wskoczyłem na grzbiet i wio przed siebie. Pocałuj mnie – pomyślałem o Kaftanie. Nie wiem dlaczego przyszło mi to na myśl, ale kiedy Smarkul już dobrze rwał do przodu, właśnie to chciałem klawiszowi powiedzieć. Teraz nikt nie mógł mnie zatrzymać, niczego kazać i niczym postraszyć. Nie spieszyłem się, bo gdy już legalnie dorwałem się do konia, chciałem jak najdłużej cieszyć się pędem, wolnością, że jestem sam i mogę robić co chcę. Wozem też czułem się swobodnie, ale tak po prawdzie, wóz przypominał wyrok. Coś pod nogami się ciągnęło, telepało i człowiek był do tego przywiązany. Wozu nie można porzucić, bo to krzywda dla koni. Z wyrokiem tak samo, bo krzywda dla złodzieja. Wóz i wyrok były jak praca, którą trzeba wykonać, bo inaczej nie miało się spokoju. A na Smarkulu czuło się przestrzeń, to był wiatr i samotność, które do niczego nie zmuszały, a raczej zrzucały wszystkie bagaże i ciężary.

Wreszcie dojechałem do grupki złodziei i powiedziałem,

że mają wracać sami. Zawróciłem Smarkula i popędziłem inną drogą do pegeeru. Wiedziałem, że chłopaki i tak nie dotrą przede mną. Zjechałem z Czarnej, przemknąłem przez jakiś nieduży parów porośnięty krzakami, a tu Smarkul zaczął strzyc uszami, parskać i przyśpieszać. Musiałem mu ściągać cugle, bo z góry, w takim wielkim pędzie, i ja i on mogliśmy się nieźle połamać. Po chwili zrozumiałem, o co chodzi. Z pięćdziesiąt metrów od nas, przez parów, którym niedawno przejeżdżaliśmy, przebiegało kilka wilków. Nie ścigały nas wprawdzie, biegły w stronę lasu, ale panika Smarkula w jednej sekundzie udzieliła się i mnie. Nie ściągałem mu już cugli. Smarkul pognał na łeb na szyję i nie wiem jakim cudem nie poplątały mu się kopyta. Do stajni wjechaliśmy obaj zgrzani: Smarkul z wysiłku, a ja ze strachu. Dobrze, że klawisz na nas nie czekał, bo zaraz wypytywałby, co się stało, a ja nie byłem w nastroju do przysłuchania. .

Koń jak człowiek, każdy inny. Nawet gdy rozejrzałem się porządnie dookoła, nie znalazłem dwóch identycznych rzeczy: przynajmniej tych, które stworzyła natura, bo te, które zrobił człowiek, powtarzały się i często do znudzenia. Takie widły na przykład – wszystkie jednakowe. Złodziej, niby istota mało wrażliwa, ale czuł przez skórę, że coś nie pasuje, że jak na jedno kopyto, to czasem można się wyrzygać. Zdarzało się, że na obiad dawali wciąż kaszanke, finał zawsze był taki sam: jelita puchły i zamiast smaku, czuło się mdłości, a gęba wypełniała się śliną. Z widłami tak samo. Chłopaki we własnym zakresie dorabiali sobie sztile, żeby odróżnić, żeby wiedzieć, że to ich, bo każdy miał inne ręce, inne ruchy przy pracy, bo gdyby tak

każdemu wcisnąć to samo, porobiłyby się pęcherze na łapskach i jak wtedy wyglądałaby robota? Kiepsko, bo zamiast skupić się na tym co ważne, człowiek tarłby się z widłami, bo by mu nie pasowały.

Na stajni, z wozem, to już było co innego, niż z widłami. Jakby wyższy stopień fachowości. Wozy takie same, ale złodziej nie musiał już ich przerabiać, tak jak to robił z widłami, albo z więziennym mundurkiem. Wóz podczas pracy, jazdy, używania, nabierał prawie bez niczyjej pomocy własnego charakteru, dopasowywał się, zmieniał swój wygląd na podobieństwo furmana. Każdy woźnica inaczej zabiera się do wozu. Jak wywalałem łajno, to latry podnosiłem szybko, nerwowo, żeby jak najszybciej pozbyć się towaru. Inaczej tę samą robotę wykonywał Smolarz. Spokojnie, bez pośpiechu, jakby wcale nie przeszkadzał mu smród. Nie martwił się, że nie zdąży wywieźć całego obornika ze stodół. Jakie podejście, taki wygląd wozu. Drewniane latry wycierały się szybciej lub wolniej, kłonicie szły do wymiany raz na rok albo raz w miesiącu: wóz stawał się jakby odbiciem furmana. Nawet deska, na której się siedziało pomiędzy latrami w czasie jazdy, każda wyglądała inaczej. Bo jeden rozwał się na niej po środku, inny bardziej na prawo, a jeszcze inny wolał stać i patrzeć na końskie zady z góry, a nie na wprost. Pasy do uprzęży, orczyk, koła, setki rzeczy, których człowiek nie zauważał, mówiły o furmanie, jego charakterze i zamiłowaniu do roboty oraz koni.

Nie tylko ja i Smolarz furmaniliśmy. Jak nawalił traktor, brygadzysta podsylał jakiegoś złodzieja do pomocy, żeby oprócz sprzątnięcia obór zdążyć z rozwiezieniem zielonki dla

zwierzaków. Nie lubiłem awarii. Musiałem wtedy powozić Bliźniakami, a Kryśka i Baśka dostawały się nowemu. Nie było na to rady. Świeżak mógł dać sobie radę tylko z moimi kobyłkami. Żadne inne konie nie miały w sobie tyle ciepła, łagodności i spokoju, co one. Pozwalały na wszystko. Nie obrażały się nawet na baty i ból przyjmowały z pokorą. Ale mało kto decydował się podnieść na nie rękę. Złodzieje wiedzieli, że to moje dziewczyny i nie chcieli narażać się na zadymy ze mną. Bo po co bić? Dobry furman nigdy nie używa bata. Wystarczyło trzymać lejce, a Baśka i Kryśka same wiedziały, co robić. Z Bliźniakami sprawa się komplikowała. Nie były najgorsze, ale lubiły kogoś zdecydowanego, kto pokieruje i zaprowadzi między nimi porządek. Gdy tylko poczuły lekką rękę, każdy zaraz pokazywał swoje nastroje i gdyby mogły, rozdarłyby wóz na połowę. Mimo tych kłótni między sobą, humor im dopisywał, jak po dobrym piwku, a najważniejsze, że lubiły popracować. Do tego, w odróżnieniu od Baśki i Kryśki, miały w sobie wciąż nie gasnącą, młodzieńczą żywotność.

Białą i Ryśkiem zajmował się tylko Smolarz. Na początku, kiedy przyszedłem na stajnię, Białej i Ryśkowi dostało się parę batów ode mnie. Byłem zły, że przynoszę im czasem kawałek chleba, mówię do nich po przyjacielsku, żeby się z nimi zaprzyjaźnić, bo wtedy łatwiej i lepiej się żyje, a koniska wypinały się na mnie i nie było mowy, żebym mógł podejść do nich blisko. Z czasem jednak Biała dała się obtaskawić i mogłem spokojnie wchodzić do jej boksu. Ale to były tylko chwile, kilka dni, nieraz tygodni, dokąd ktoś nowy nie przyszedł na stajnię. Wtedy Biała znów stawała się nieprzystępna i szalała po

dawnemu.

Któregoś razu w pegeerze pojawiła się młoda zootechniczka, na praktyki. Od razu zaczęła się mądrzyć i zachowywać tak, jakby pracowała tutaj od dawna. Myślała, że połączyła wszystkie rozumy. Może by mnie nie wnerwiały jej sposób bycia, gdyby była choć ładna. Głowa zajęłaby się pochłanianiem wdzięków, a wtedy cała reszta jakoś by uszła. Człowiek by nawet pomógł, służył męską siłą, ale to małe szkaradziejstwo nie miało w sobie krzty wdzięku. Myślała, że jak w technikum rolniczym naczytała się książek, to zaraz wszystko pójdzie gładko i wszelka pomoc będzie zbędna. Biała akurat była chora, miała chyba zapalenie podogonia, czy odbytu, nie wiedziałem. Zad jej spuchł i tyle. A zootechniczka chciała sprawdzić, co jej dolega, ulżyć w bólu i pewnie jeszcze myślała, że ją wyleczy. Przyszła na stajnię w paskudnych spodniach, w za dużych gumowcach i zaczęła rządzić się jak u siebie. Mówiłem jej, żeby lepiej nie wchodziła do boksu Białej, bo kobyła nie lubi obcych, żeby poczekać na Smolarza, ale ona się uparła i powiedziała, że ciemny chłop nie ma pojęcia o leczeniu zwierząt. Zdębiałem. Smolarz – ciemny chłop? Gdybym usłyszał coś takiego na wolności, chyba bym sobie nie odmówił, żeby skopać jej tyłek. Ale co tam. „Włóż, włóż” – pomyślałem – „Nie ja, to Biała załatwi za mnie sprawę”. Byłem pewien, że bez gipsu stamtąd nie wyjdzie. Nie pomyliłem się. Wyobrażała sobie pewnie, że jak baba do baby, to nic się nie stanie, bo swoja swojej nie ruszy. Ale oszukała się. Białą nie tak łatwo dawało się przechytryć. Zootechniczka, jak weszła do boks, starała się podejść Białą z boku, żeby uniknąć kopyt, ale

kobyła miała na takich receptę. Odwracała szybko głowę i udawała, że chce złapać zębami. Wiedziałem, czemu służy ta sztuczka. Biała w ten sposób wpędzała w panikę intruza, który najczęściej cofał się gwałtownie do tyłu, a wtedy już tylko wyskok, wierzgnięcie kopytami i klops na wiankach. Zootechniczka miała szczęście, że zdążyła zasłonić się rękami. Jedyne ręką poszła do gipsu. Chodziła później dziewczyna po pegeerze z łapą w bandażach, ale na stajni już się nie pokazała.

Wszystko było wspaniałe, przyzwyczałem się do koni, zaprzyjaźniłem się z nimi, ale zacząłem zadawać sobie pytanie, jak długo to potrwa. Dotychczasowe doświadczenia wcale nie nastrajały mnie wesoło. Nie miałem złudzeń, że wcześniej czy później moja przygoda na stajni skończy się. Czułem się paskudnie i myśl o tym, że będę musiał rozstać się z moimi kobyłkami, napełniała mnie smutkiem. Wciąż w życiu było tak, że gdy człowiek przyzwyczajał się do czegoś, los zsyłał przeciwności, które nie pozwalały cieszyć się szczęściem za długo. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że wszystko przemija, że ludzie przychodzą i odchodzą, jak Baśka i Kryśka, przyzwyczajają się do siebie, kochają, budują wspólny dom, a potem nagle wszystko się zmienia, ktoś umiera, ktoś zostaje ze wspomnieniami i nie wie, co ma z tym zrobić. Czy płakać wówczas, czy smucić się, czy na siłę wracać do tego, co odeszło lub przynajmniej zatrzymać we wspomnieniach, albo na fotografiach? Zacząłem przeglądać zdjęcia, które zostawiła mi na widzeniu mama. Widziałem na nich przemijanie i odchodzenie. Patrzyłem na rodziców, na brata, swoją dziewczynę, która już ułożyła sobie na nowo życie, kumpli, z

którymi tyle przeszedłem i pomyślałem, że rzeczywistość nie jest już zgodna z tym, co widziałem na fotkach. Zaskoczyło mnie to odkrycie. Niby oni dla mnie istnieli, byli prawdziwi, ale tak naprawdę – stanowili tylko wspomnienia, którymi się karmiłem. A więc co było prawdziwe? To co przeżyłem, to w czym teraz tkwiłem, czy może to, co dopiero miało nadejść?

JABŁKOWIN

Po oziecie rozniostło się, że naczelnik organizuje nową grupę roboczą. Nie wiadomo, skąd się wzięły te wieści. Najpewniej od złodziei z Kamic, których przywieźli parę dni temu. Nieźle chłopaki nawijali. Nie wiem, nie mogłem zaprzeczyć, bo nie byłem w Kamicach, ale z tego, co mówili wynikało, że Chojnice są najgorszym ośrodkiem w Beskidach. Nawet w Suchej, gdzie mieścił się główny zarząd trzech ośrodków i gdzie przywozili świeże transporty ze złodziejami z Polski, decydując w jakim miejscu chłopaki mają zacząć swoją resocjalizację, można było jakoś wytrzymać. Tak przynajmniej widzieli Chojnice ci, co przyjeżdżali z Kamic, z Suchej, a nawet z dalszych ośrodków rozrzuconych po całych Beskidach i Bieszczadach. Było to dla mnie trochę dziwne, bo przecież w Chojnicach też można było jakoś się ustawić i żyć nie najgorzej. Nikt nikogo tutaj nie maltretował, nie zabijał... Zadupie – trudno. Nie zawsze człowieka rzuci los tam, gdzie ma ochotę. Pegeer też miał swój urok. Nie powiem, słuchałem z zainteresowaniem ich zachwyty, jak to w Kamicach, w grupie na kolei, przy remoncie torów, robota cud malina. Opowiadali, że jak trafiło się robić bliżej miasta, można było wyłudzić coś od cywili, wytargować od jakiegoś przechodnia papierosa, no i umówić się na spotkanie z dziewczyną albo z rodziną. W mieście to w mieście, a nie na jakiejś tam pipiduwie, w pegeerze, że nigdzie łba schować, tylko pastwiska, byki i smród.

Coś tam też przebąkiwali, że praca ma być w Jabłkowinie, wytwórni win, dżemów i soków owocowych, ale

nikt z nas w takie plotki nie wierzył. No bo jak tak? Przystępcę do wina? Żeby zaraz dorwał się do alpag, nawalił jak autobus i narobił awantur? Nie daj Bóg, bo jeszcze mógłby kogoś zaciąć nożem, albo rzucić się na jakąś dzierlatkę. Nie, taki numer u mnie nie przechodził. Pytałem, dlaczego nie biorą chłopaków z Kamic, przecież bliżej, prawie na miejscu, do nas było chyba z pięćdziesiąt kilometrów, a między przestępcami żadna różnica. Złodziej wszędzie jednakowy. Przyznawali rację, ale tłumaczyli, że tamtejszy naczelnik bał się, że chłopaki za bardzo znają teren i mogą być same kłopoty. Nie wierzyłem, że coś takiego zdarzy się na tym pustkowiu. To nie miało sensu. A jednak myliłem się.

Po kilku tygodniach od pierwszych sygnałów o nowej grupie, naczelnik zaczął wzywać złodziei na rozmowy. Już po jednym spotkaniu w jego gabinecie sprawa się wyjaśniła i wiadomo było, że chłopaki z Kamic nie kłamali. Na ozecie zaczął się ruch. Złodzieje zaraz kombinowali i wymyślali historyjki o tym, jak ma tam być cudownie, że robota między ludźmi i każdy wiedział lepiej od drugiego. No tak, dobrze było pożyć chociaż przez chwilę w lepszym świecie, nawet tym wymyślonym. Bo to nasze, co przegadane: ten świat nie był przeznaczony dla grypsujących. Nie łudziłem się, że naczelnik wyznaczy choćby jednego z naszych chłopaków. Ale i tym razem się pomyliłem. Kiedy wezwał mnie do siebie i zaczął wypytywać, w jaki sposób bym się zachował, gdybym mógł pić wino, to już wtedy zacząłem przeczuwać, że dzieje się inaczej niż zwykle. Na początku nie wiedziałem, o co chodzi. Chciałem mu powiedzieć, że pewnie z moimi manierami po tak długim poście nie byłoby najlepiej, ale jak domyśliłem się, że chodzi o nową robotę, że

bada grunt, zrezygnowałem z próby kabaretowych rozmów i postanowiłem rozmawiać porządnie. Chciałem go zapewnić, że jestem już innym człowiekiem, że to nie w moim stylu, że tak naprawdę już sobie obiecałem, że alkoholu do ust nie wezmę, bo wciąż same kłopoty, ale takie gadanie też wydało mi się niestosowne i byłem prawie pewny, że on tego nie przełknie. Znaliśmy się już co nieco, więc pomyślałem, że nie warto się zgrywać i jeśli mam coś wskórać to tylko wtedy, gdy wyrzucę na stół wszystkie swoje karty. Zresztą, tak bardzo nie zależało mi na tej robocie, bo przyzwyczałem się do moich kobyłek. Miałem spokój, wiedziałem, co robić i na żadne zmiany nie chciałem się pisać. Ale gdzieś tam w głębi opowieści o Kamicach zapadły i pobudzały wyobraźnię. Dobrze mi było bez tych ciągłych zmian, wirowania na karuzeli i zaczynania wciąż wszystkiego od początku. A jednak czułem, że siedzenie w jednym miejscu przygniata mnie i nie pozwala oddychać. Poznałem już siebie na tyle, że nie przyrzekałem sobie niczego. Wiedziałem, jaką mam naturę – parła do przodu i wciąż chciała nowych wrażeń. Długo na tyłku i tak bym nie wytrzymał. Nauczyłem się, że życie się zmienia, nic nie stoi w miejscu, a jak człowiek stara się zatrzymać coś w sobie, co mu się podoba, z czym mu jest wygodnie, wtedy szybko dochodzi do wniosku, że to jednak nie to i zaczyna szukać nowych wizji, nowego szczęścia, żeby nie czuć się znudzonym, i żeby życie nie straciło sensu.

Z bólem serca myślałem o moich kobyłkach, ale Jabłkowin nęcił i gdy naczelnik spytał, czy chcę pracować na nowej grupie, nie odmówiłem. Moje życie znów się odmieniło.

Ja i jeszcze dziewięciu chłopaków staliśmy się od razu złodziejami lepszej kategorii. Dali nam nowe mundurki, buty prosto ze sklepu, podkoszulki i szorty jeszcze z metkami i potem trzeba było już tylko czekać na pierwszy wyjazd do Jabłkowinu.

Myślałem, że będzie mi smutno, bo jak było tak było, ale przyzwyczaiłem się do koni, do pegeeru i nawet żyłem się z niektórymi cywilami. Przez całą drogę do Kamicy, gdy pierwszy raz jechałem do Jabłkowinu, zastanawiałem się, czy może lepiej byłoby wycofać się z tej nowej grupy i wrócić na stajnię, ale to, co zobaczyłem za bramą przetwórczą, szybko wybiło mi z głowy jakiegokolwiek powrotu do pegeeru.

Wjechaliśmy na teren zakładu przetwórczego. Pełno samochodów, cywili, jakieś wielkie baseny, do których robotnicy zrzucali z ciężarówek tony jabłek, wózki widłowe, setki beczek poustawianych jedna na drugiej, a budynki, hale, magazyny, wszystko było, w porównaniu z pegeerem, ogromne i kolorowe. Czułem się jak dziki zwierz. Prawie dwa lata na odludziu zrobili swoje. Nie wiedziałem, jak mam się zachowywać i po raz pierwszy, odkąd przekroczyłem bramę kryminału, czułem wdzięczność do klawisza, że przez tyle czasu nie musiałem się martwić, co mam zrobić i jakie podejmować decyzje. Naszym konwojentem był Recydywa, lepiej nie mogliśmy trafić, ale i on, widać było, czuł się nieswojo. No bo co on widział w swoim życiu? Pewnie jeszcze mniej ode mnie. Przez dwadzieścia lat na ozie i w pegeerze! Może był gdzieś na wczasach nad morzem, albo w uzdrowiskowym sanatorium. Tylko czy dwa tygodnie raz w roku w szerokim świecie robi z człowieka światowca? Akurat. Oni wszyscy byli bohaterami,

kiedy mieli do czynienia ze złodziejami; wtedy czuli się najmądrzejszymi ludźmi pod słońcem, wszystko mogli i wiedzieli, jak rozstrzygnąć każdą sprawę. Do Recydywy nie miałem pretensji, facet był w porządku, nie silił się na żadną filozofię ani nikogo nie udawał. Wiedział, że jest przeciętniakiem i że w życiu niczego szczególnego nie osiągnie. Popijał codziennie piwko, zamykał się w swoim świątku i czuł się szczęśliwy. Jak mu nikt nie nadepnął porządnie na odcisk, ani nie ładował z buciorami w jego wewnętrzny świat i nie zaburzał harmonii, zajmował się sam sobą i nikomu nie wadził.

Recydywa kazał nam ustawić się w dwuszeregu, wygłosił krótką mówkę o poprawnym zachowaniu, kazał czekać, po czym zniknął w budynku z tabliczką „Biuro”. Po dziesięciu minutach wrócił z jakimś facetem. Gość omiółtł nas wzrokiem; był trochę niezadowolony. W jego głosie pobrzmiwał zawód:

– Myślałem, że będzie ich więcej. Sezon w pełni, samochodów do diabła i trochę... – przerwał nagle mówić i machnął ręką.

Recydywa nie przejął się jego biadoleniem. Uśmiechnięty zagadał:

– Dziesięciu to mało? Oni zrobią za dwudziestu, no co, chłopaki, prawdę mówię? – odezwał się do nas.

Kiwaliśmy głowami na potwierdzenie, a kumpel obok zapewnił go nawet głośno:

– Jasne, panie dowódco.

Facet nie bardzo wierzył w nasze zapewnienia i wcale mu się nie dziwił. Bo co to jest za pewność, gdy ktoś kiwnie głową albo powie mętne słowo. Widać było, że roboty tutaj

jest od metra, samochodów olbrzymia kolejka, facet kombinuje jak może, żeby trochę rozładować tłok, a tu mu podsyłają dziesięciu robotli, którzy marnie kiwają głowami i na dodatek są jeszcze bandziorami. Ja sam nie bardzo byłem przekonany do tego. Robota jak robota, wcale nie była inna od tej w pegeerze, może tylko jakaś odmiana, ale wypocić trzeba było się tak samo tu, jak i przy bukatach. Zresztą wcale nie miałem zamiaru się wysilać. Nie powiem, podobało mi się i naprawdę chciałem tu pracować, ale tęskniłem jeszcze za koźmi i aż tak bardzo nie zależało mi na tej pracy, więc wcale bym się nie przejął, gdybym jutro, zamiast w Jabłkowninie, znalazł się na stajni. Jednak na fajrant moje sentymenty rozpuściły się w zapachu jabłek, a świat pegeeru zmienił się w namiętne przywiązanie do Jabłkowinu. Pegeer przestał dla mnie istnieć, a przynajmniej nie chciałem o nim myśleć i wracać do niego już nigdy.

Najpierw zaprowadzili nas pod wielkie baseny, dali gable i kazali rozładowywać samochody z jabłek. Robota prosta jak drut. Nie trzeba było do tego żadnych nauk, starczyły dobre chęci i krzepa w rękach. Kolejność cały czas ta sama. Jak tylko podjechała ciężarówka z przyczepą, odwalaliśmy burty i widłami spychaliśmy jabłka do betonowych basenów. Ale który z nas myślał naprawdę o pracy? Tyle pachnących i soczystych jabłek! Nikomu nie chciało się zasuwać, bo żołądki puste. Aż żal było tyle dobra kaleczyć gablami i miażdżyć butami. Trochę się porobiło, nie powiem, ale bardziej byliśmy skupieni na wyszukiwaniu co ładniejszych jabłek, niż na samym rozładunku. Tyle przerw na przegryzki, więc jabłka z samochodu znikwały w żółwym tempie. Kierowcy się jednak spieszyło. Jak zobaczył, że

zamiast zwalać towar wzięliśmy się do żarcia, podszedł do nas, wyjął trzy paczki fajek, i to nie jakichś dziadowskich Sportów czy Klubowych, ale Carmeny z filtrem. „Co tu się dzieje?” – pomyślałem. Nie chciało mi się wierzyć. Jabłek pod dostatkiem, człowiek nie musiał się już martwić o głód, sami dają papierosy... Nie bardzo pojmowałem, że tak może być. Za taką zapłatę można było przyspieszyć obroty. Pięciu na ciężarówkę, pięciu na przyczepę i po dziesięciu minutach wszystkie jabłka z samochodu znalazły się w basenie. Kierowca nie mógł uwierzyć, że tak szybko. Wyjął jakieś drobne, dał najbliższemu złodziejowi i powiedział, że to ekstra, za dobrą robotę, na piwo. Teraz byłem już zupełnie oszołomiony, ale zupełnie w głowie mi się nie przewróciło. Zaczynałem przeczuwać, jaka przyszłość nas tu czeka i rozumiałem, że już na początku trzeba się z chłopakami umówić, żeby wszystko było jasne, bo wtedy prędzej czy później któryś zrobi coś nie tak i żegnaj Gienia! Robota w Jabłkowie nie przejdzie koło nosa, rozwiążą grupę albo przyślą następnych, bardziej grzecznych i ułożonych. Dlaczego ja sam nie miałem być grzeczny i ułożony? Warto było. Zapowiadało się tak, że lepiej nie mówić. Papierosów pod dostatkiem, kasa na bieżąco, a jak pieniądze, to i będzie co wypić. Człowiekowi od razu lżej na sercu, kiedy nie musi się martwić o swoje potrzeby – przynajmniej te najważniejsze: fajki i jedzenie.

Drobne, które dał nam kierowca, odebrałem złodziejowi i powiedziałem, że idą do wspólnej kasy. Zaczął się burzyć i ani myślał rozstawać się z forszą. Złapałem go za szyję i powiedziałem, że jak będzie podskakiwał, dostanie po mordzie, a fochy niech zostawi sobie na rozmowy z mamusią w domu.

Zmiękł natychmiast i próbował nawet udawać głupiego, że przecież tak naprawdę wie, o co chodzi. Pewnie że wiedział, bo czy tylko on zarobił tę forszę? Pozostali też mieli w tym swój udział i on pewnie rozumiał w czym rzecz, tylko był pazerny i chciał się szybko obłowić: pusty łeb. Powiedziałem wszystkim, że jak się uzbiera więcej, poprosimy cywila, żeby kupił za wszystko papierosów i podzielimy równo.

Wreszcie byłem w swoim żywiole. Nie kalkulowało się w dziesięciu rozładowywać jeden samochód. Podzieliliśmy się na dwie grupy i obstawialiśmy od razu dwie ciężarówki. Aż miło było patrzeć na naszą robotę. To było lanie się potu po jajach, bez odpoczynku, bez żadnych przerw, czy popalania. Kieszenie mieliśmy coraz pełniejsze od papierosów i forsy, więc żadnemu z nas nie chciało się przerywać dobrej passy. W kryminale jak w kalejdoskopie: dzisiaj tak, jutro inaczej. Nikt nie był pewny, czy następnego dnia znajdzie się w Jabłkownie, więc każdy korzystał z sytuacji i chapał, ile się dało. Gdyby nie facet, który zjawił się na początku z Recydywą, pewnie robilibyśmy bez odpoczynku do samego wieczora. Nie mogłem się nadziwić, skąd w złodziejach tyle siły. W pegeerze nie raz brygadzysta chciał, żebyśmy popracowali dłużej, ale zaraz podnosiły się niezadowolone głosy. Klawisze też nie palili się do godzin po fajrant i jeśli naprawdę nie było czegoś bardzo pilnego, dniówki nie przedłużali nawet o minutę. A tutaj? Nawet przez moment ani jeden złodziej nie powiedział, że ma dosyć, że chce wracać na ozet. Wręcz przeciwnie. Patrzyliśmy, czy aby nie zabraknie samochodów do rozładowania. Ale o to nie musieliśmy się martwić. Jabłek w Polsce było pod dostatkiem.

Prawie z całego kraju przyjeżdżali bacylarze z towarem i nieraz czekali trzy dni, żeby rozładować ciężarówkę.

Recydywa też nie miał ochoty na powrót. Widać było, że jest już podпиты, a gęba cieszy mu się od ucha do ucha. Zaczął nawet trochę bełkotać, kiedy ogłaszał przerwę na śniadanie. Nie bardzo wiedzieliśmy, o co mu chodzi. Może myślał, że mamy jakieś kanapki przygotowane jeszcze na ozecie i teraz przekąsimy co nie co, ale on, uszczęśliwiony, pełen energii i zapachu do życia, przemówił do nas po przyjacielsku:

– A co wy złodzieje myślicie, że jesteście w zasranym pegeerze? Tu jest firma, tu dają michę, jak się dobrze robi i wychłać można też nieźle, ale nie wszyscy. No, żeby mi, kurwa, tylko który się nie upił, bo będzie miał przejebane.

Machnął ręką i kazał iść za facetem, tym który witał nas na początku: daliśmy mu przezwisko „Przewodnik”. W więzieniu czasem, ot tak, powie się coś od niechcienia, jakieś słowo, a ono przykleja się i tak spasa się z człowiekiem, że za żadne skarby nie można już niczego zmienić. Tak też było z facetem, który nie okazywał entuzjazmu na nasz przyjazd, a teraz nie mógł nadziwić się, że w ciągu kilku godzin rozładowaliśmy tyle samochodów, ile cywile w dwa dni. Został „Przewodnikiem” i nawet nieźle mu z tym było do twarzy. Już do końca istnienia grupy, zawsze nas oprowadzał po zakładzie i ustawiał na nowych robotach.

Szliśmy labiryntem wąskich uliczek, omijaliśmy olbrzymie metalowe beki, przechodziliśmy pod plątaniną rur, a wszędzie, gdzie człowiek spojrzał, stały skrzynki z pustymi butelkami po winie. Tylu butelek jeszcze nigdy w życiu nie

widziałem. Nie miałem złudzeń, że trafiłem do raju i nie za prędko będę chciał z niego wyjść. Przeczuwałem, że za kilka dni, kiedy pozna się to i owo, nawiąże układy, zakombinuje i dogada z paroma tutejszymi pijaczkami, będzie można coś wypić.

Wreszcie doszliśmy do stołówki. Różniła się od naszej ozetowskiej tylko tym, że była większa, a stolików jak drzew w lesie. Usiedliśmy według grypsowania. Chłopaki od nas przy jednym, bo było nas trzech, reszta przy dwu innych, ale tutaj jakoś nie bardzo czułem różnicę. Wszyscy mieliśmy wspólny interes i pewnie gdyby nie powrót na ozet, usiedlibyśmy razem przy jednym stole i jedli ze wspólnej miski. Nawet czułem się trochę głupio przez tę oddzielność i szlag mnie trafiał, że tak jest. Ale życie to nie bułka z masłem. Układy były układami i trudno się spod nich wyłamywać.

Po pięciu minutach kazali nam podchodzić do okienka i odbierać talerze z jedzeniem. Jak na jeden dzień, przeżyć miałem za wiele. Po prostu nie wierzyłem własnym oczom: jajecznic! I to nie jakieś tam marne jajeczko rozcieńczone wodą i usmażone na przypalonym, starym tłuszczu. To była cała fura skorupniaków, wysmażonych na pachnącej słoninie, że w pierwszej chwili trochę się pogubiłem i nie miałem pewności, czy to są porcje tylko dla nas, czy może jeszcze przyjdzie ktoś za moment i okaże się, że te dziesięć talerzy stanie na dziesięciu stolikach, a nie łeb w łeb: jedna porcja dla jednego złodzieja. Każdy jednak dostał swój talerz i nie mogło być mowy o pomyłce. Nie tylko ja byłem zapatrzony w żółciutką jajecznicę. Każdy złodziej wlepiął w nie gały. I nie tylko wszyscy mieliśmy pewność, że za chwilę pochłoniemy w oka mgnieniu te jajka, ale

dodatkowo każdy, gdy niósł swój talerz, pochłonął pewnie ze trzy razy jajecznicę oczami. Kiedy już zaczęliśmy pałaszować, z okienka wychyliła się stara kucharka zachęcając:

– Chłopczy, dlaczego nie bierzecie chleba? Bierzcie, bierzcie, jedzcie.

Teraz zupełnie się rozkleiłem. Chyba w podstawówce ostatni raz słyszałem, żeby ktoś mówił „chłopczy, chłopcy”. Nawet bardziej cieszyłem się z tego co słyszałem, niż z tego, co widziałem. No bo jak tu się nie cieszyć? Niby zwykłe słowo, a ile dobrego przyniosło! Tym bardziej, że wciąż słyszałem tylko: „Wy skurwysyny, złodzieje, bandyci”, i każdy w nas widział straszego bandziora, a nie normalnego człowieka, któremu bardziej od innych podwinęła się noga.

Tak, tak, kucharka zachęcała nas bardzo ciepło i serdecznie, że aż zachciało mi się do niej podejść i pocałować w rękę. Chleb stał na okienku w koszykach, ale żaden z nas nie zauważył tych białych kromek, równo pokrojonych. Nie zdążyliśmy dobrze się przyjrzeć, a już trzymaliśmy w rękach talerze z furą wyśmienitego jedzenia. A w dodatku ten zapach – zasnuwał cały świat. Zresztą kto mógł przypuszczać, że to jest chleb dla nas? Złodzieje też ludzie i swoją godność mają. Może cywile mieli pomyśleć, że przyjechała banda wygłodniałych obdartusów, żeby wyżreć wszystko do dna? A gdyby ten chleb był dla cywili, na obiad, albo do zupy, to głupio było zrobić gafę i potem tłumaczyć się, dlaczego wzięliśmy nie swoje. Który z nas przyzwyczajony był do białego chleba? Na ozecie dawali gliiniasty razowiec i złodzieje nauczyli się, że jak sami nie skombinują sobie białaska, to nikt im go z dobrego serca nie da.

Pewnie przez nawyk nie zauważyliśmy białego koloru. Ale jak kazali, to wzięliśmy. Najpierw tylko jeden koszyk i wypadło akurat po jednej kromce dla każdego. Kucharka jednak dalej zachęcała i namawiała, żebyśmy się nie wstydzieli i brali, na ile mamy ochotę. No to braliśmy. Koszyk za koszykiem znikał w naszych żołądkach, a kucharka wciąż dostawiała nowy i nie mogła się nadziwić, że dziesięciu chłopów może wtrząchnąć tak dużo. A co? Może nie mogliśmy? Po takiej robocie człowiek połknąłby całego bukata, a nie tylko bochenek chleba. Dawali, to się brało. Nawet jak któryś już nie mógł, wpychał na siłę, żeby na później, a kiedy już kichy zaczynały boleć, chowaliśmy kromki po kieszeniach. Wreszcie Recydywa kazał kończyć i wracać do roboty. Pewnie, dlaczego nie? Po takim śniadaniu znów można było wziąć się ostro do pracy. Po drodze wypaliliśmy po fajce, żeby nie robić przerw podczas rozładunku i dalej na samochody. Jabłka ginęły w basenach w ekspresowym tempie. I już nie gablami, ale nogami, rękami spychaliśmy jabłka, żeby szybciej, więcej, żeby powiedzieli: „Właśnie takich robotników potrzebujemy w Jabłkownie, a nie jakichś leserów”. I tak było. Na fajrant, jak przyszedł Przewodnik, już nie wyglądał tak jak na początku dnia. Śmiał się od ucha do ucha i widać było, że popił razem z Recydywą. Klepał klawisza po ramieniu i mówił, że się pomylił co do nas, że jeszcze takich pracowników to on w Jabłkownie nie widział. Dał nawet plastikową skrzynkę, żebyśmy wybrali sobie co lepszych jabłek i zabrali ze sobą. Ale jabłek mieliśmy już dosyć. Gdyby człowiek wiedział, czym oni nas tu nakarmią, wcale bym nie zjadł tyle owocu, bo jak żołądek pusty, wtedy jajka na słońcu jeszcze

bardziej smakują. Ale prezentów się nie odrzuca. Dawali, wzięliśmy. Nie opłacało się jednak wnosić skrzynki na pawilon. Zaraz sto pytań, a skąd, a po co, a czy naczelnik pozwolił? I wreszcie nasze jabłka wylądowałyby u Kurzeli albo Kołtuna. Niedoczekanie ich. Skrzynkę z jabłkami zabrał Recydywa. Pewnie jego żona się ucieszyła, że choć raz miała jakiś pożytek z mężowskiej pracy.

Takiej roboty i tylu wrażeń w ciągu dnia życzyłbym sobie w kryminale na okrągło. Pieniądze, fajki, jedzenie – zupełnie jak na wolności. Za uzbieraną forszę jeden z kierowców kupił nam papierosy i wypadło na każdego po cztery paczki. Trochę czułem się nieswojo, gdy zagadałem gościa, czy nie skoczyłby do kiosku. Nie byłem jeszcze w takiej sytuacji i nie wiedziałem, jak zareaguje, ale zgodził się bez niczego i nawet cieszył się, że może dla nas coś zrobić. Właściwie to wszyscy cywile patrzyli na nas ze współczuciem. Niby przestępcy, a jednak nikt jakoś nie krzywił się na nasz widok. Chyba dlatego, że nie wyglądaliśmy jak zatwardziali kryminaliści. Kiedy jeszcze nie miałem pojęcia, co to margines, wyobrażałem sobie, że bandzior to zakazana, nieogolona, pokiereszowana mordą, łeb ogolony na tyso, z odpychającym grymasem na ustach. A my? Czy któryś chłopak z naszej grupy wyglądał na przestępcę? Gdyby nie charakterystyczne stroje z napisami na plecach "Z. K", to czy ktokolwiek powiedziałby: „O, bandyci?” A w dodatku żaden z nas nie miał więcej jak dwadzieścia jeden lat. Gęby jak dupki noworodków, jeszcze nawet zarost nie męski. Gdy ktoś spojrzał na taką niewinną twarz, na pewno nie pomyślał, że widzi

groźnego przestępcę,

Fajek każdy dostał swoją dolę i nikt do nikogo nie miał pretensji. Wracaliśmy na ozet nieźle obłowieni. Z takim zapasem człowiek czuł się jak gość. Od tej pory wszyscy z grupy jabłkowińskiej byli lepszą kategorią złodziei na ozecie. Miło było, gdy wracaliśmy z Kamic, a tu w oknach pawilonu złodziei jak mrówek. Niejeden czekał na coś ekstra i zazwyczaj część rzeczy, które przywoziliśmy, szła do rozdania. Zawsze coś było, nie mówię już o fajkach. Czasem trafiały się czekolady, chabanina, no i opowieści o wolnościowych dupkach. W Jabłkowinie wciąż kręciły się dziewczyny. Wystarczyło sobie tylko przypomnieć i opowiedzieć o jakiejś praktykantce w króciutkiej spódniczce i koronkowych majteczkach, która dreptała po terenie w bluzce bez stanika z cyckami spiczastymi, albo pachnących i wypomadowanych kobietach z biur z dumnie podniesionymi głowami, w pończochach ze szwem i bucikach na obcasie, albo też o zapuszczonych sprzątaczkach, które dawały się namówić i na stosie jabłek, za czułe słowo, oddawały siebie bez reszty, a złodzieje byli zachwyceni. Nie raz miałem ochotę podejść do jakiejś dziewczyny i porozmawiać, ale one wszystkie były płochliwe jak łanie. Zdążyłem ledwie powiedzieć „Cześć”, a już uciekały. Nie wiem, może bały się, i wyobrażały sobie, że jesteśmy gwałtocielami. Chłopaki na ozecie właśnie na takie opowieści czekali, jak w Jabłkowinie jest, co jedliśmy i czy może któryś zamącił w głowie dziewczynie i na stosie jabłek wycisnął z niej sok na wino. To był magiczny temat: kobieta, odwieczna magia i męskie napalenie. Złodzieje wiedzieli, że te nasze opowieści z panienkami to same zmyślenia, ale chcieli

słuchać, snuć domysły i dopowiadać swoje wersje.

Myślałem, że dzień skończy się dobrze, ale życie nigdy nie dostarczało mi za wiele szczęścia. Gdy tylko znalazłem się na sali, chlewniarz z Chojnic, z którym trochę kolegowaliśmy, powiedział mi, że Baśka, mój konik, wykitował. Nie wierzyłem w to. Wnerwił mnie swoim beztroskim i nic nie znaczącym tonem głosu, kiedy mówił o czymś tak smutnym i strasznym. Nie dopuszczałem myśli o śmierci Baśki. Chciałem mu te jego słowa wepchnąć z powrotem do gardła. Po chwili opanowałem się jednak. Podałem mu rękę i usiadłem na swoim łóżku. Zacząłem się zastanawiać, co się ze mną stało. Przecież jeszcze nie tak dawno sam podobnie mówiłem, a śmierć jakiegoś zwierzęcia nie była niczym szczególnym. Przypomniałem sobie dzień, kiedy po raz pierwszy obciąłem kogutowi głowę u ciotki na wsi. Poczułem wtedy trochę strachu i nic wielkiego się nie działo. Ale teraz byłem nieszczęśliwy, jakbym stracił kogoś bliskiego i kochanego. Nie wierzyłem w tę wiadomość. Bałem się nawet zapytać, jak to się stało, żeby nie usłyszeć potwierdzenia. Wolałem wspominać jak z Baśką i Kryską jechałem przez łąkę i dzięki nim przypominałem sobie o czymś, co dawno utraciłem i co było dla mnie najważniejsze. Ale teraz sprawa była zupełnie inna. Nie mogłem się oszukiwać i udawać, że chlewniarz kłamie. Powrotu nie było. Zrozumiałem, że wyrwano ze mnie coś na zawsze i nie potrafiłem sobie z tym poradzić.

Rano uprosiłem oddziałowego, żeby mnie zostawił na pawilonie, bo mam coś ważnego do przekazania naczelnikowi. Nie miałem siły na Jabłkowin, nawet gdyby czekały tam na

mnie dwie dziewczyny i skrzynka wina. Czułem się podle. Chciałem pojechać do pegeeru i dowiedzieć się wszystkiego, co i jak. Miałem szczęście. Naczelnik zjawił się na pawilonie jeszcze przed odjazdem grupy z Chojnic. Gdy powiedziałem mu z czym przychodzę, nie sprzeciwił się nawet mrugnięciem powieki. Wyrzcił zgodę, ale pod warunkiem, że będzie to tylko jeden dzień. Był to dla mnie i tak zbytek szczęścia. Mnie potrzebna była godzina, żeby pójść jeszcze na stajnię, popatrzeć na stanowisko przy którym stała Baśka, na jej żłób i dotknąć pasów, którymi ciągnęła wóz.

Bez problemów znalazłem Smolarza. Miałem wolną rękę. Nie zjawiłem się w pegeerze żeby pracować. Nikt mnie nie poganiał, nie przydzielał żadnych zadań, nawet nikt mi nie wchodził w drogę. Zupełnie tak, jakbym przyjechał na kontrolę z ważnego urzędu. Smolarz mówił, że to był wypadek. Dali jakiemuś nowemu konie, pojechał z gnojówką gdzie nie trzeba, chwila nieuwagi i stoczył się z jakiegoś pagórka. Sprawa może zakończyłaby się szczęśliwie, gdyby wóz był pusty. Smolarz nie chciał się rozwódzić nad szczegółami. Widziałem, że nie ma na to ochoty, a nawet przez moment miałem wrażenie, że ma do mnie pretensje. Może miał rację. Kto wie, w jaki sposób potoczyłby się żywot Baśki, gdybym nie zgodził się iść do Jabłkowinu. Teraz pewnie czekała w rzeźni, aż obedrą ją ze skóry i przerobią na tatar, podobnie jak Ryśka. Ale czy naprawdę była to moja wina? Nawet gdybym nie zgodził się, to kto wie czy naczelnik za odmowę, nie przerzuciłby mnie na obory albo do siana. Jednak główkowanie i tak mi nic nie dawało. Lepiej mi przez to nie było, a nawet gorzej, bo mimo

wszystkich usprawiedliwień i tak miałem wyrzuty sumienia.

Życie na ozecie przestało właściwie dla mnie istnieć. Dzięki temu jakoś lżej mi było i mogłem pomału zapominać o Baście. Rano wyjeżdżałem do Jabłkowinu i wracałem, jak już się ściemniało. Zmartwienia o fajki, jedzenie czy monotonię już mnie nie dotyczyły. Nawet przestałem zaglądać do swojego kalendarzyka, a kwadraty, które już dawno powinny być wykreślone, czekały na swoją dobrą chwilę. Gdyby nie niedziela, nie wiedziałbym nawet, że siedzę w kryminale. Jabłkowin wypełnił mnie całkowicie. Tam nie myślało się: „O, dzisiaj to cholerna nuda i nie ma co robić”. Zawsze coś się działo. Same nowości. Nawet jak napomknąłem o lekarzu, natychmiast zjawił się Przewodnik i zaprowadził, gdzie trzeba. Oczywiście, nie codziennie chciałem, ale znów zaczął boleć mnie ząb. O leczeniu nie było już mowy, bo próchnica przeżarła cały korzeń, a dziura jak lej po bombie. Ale nie musiałem się tygodniami prosić. Taka firma, jak Jabłkowin, miała wszystko swoje i sprawę załatwiali od ręki. Dbało się o pracowników, a jak ktoś znalazł się w potrzebie, tak jak ja, też można było skorzystać i nawet nie dali odczuć, że jestem kimś gorszym. Nie minęła godzina od momentu kiedy wspomniałem Przewodnikowi o moim bolącym zębie, a byłem już po zabiegu i to nie w jakimś obskurnym, wiejskim ośrodku, ale w gabinecie na wysoki połysek, z pachnącą panią doktor w bielutkim wykrochmalonym fartuchu. Nie powiem, żeby się cackała ze mną, ale robotę znała. Nawet zrobiła mi zastrzyk przeciwbólowy. Ząb wyskoczył raz dwa. Przewodnik

zapropował mi, żebym już dzisiaj nic nie robił – naprawdę martwił się o mnie. Taki ludzki odruch cieszył i byłem za to wdzięczny, bo przypomniało mi to, że jestem jeszcze coś wart i do czegoś się nadaję. Podziękowałem Przewodnikowi, i zapewniłem, że jestem w dobrej formie i chcę wracać do pracy. Wolałem być na samochodzie i zwał jabłka, bo co bym miał z odpoczynku? Nic. Jak wróciłem pod betonowe baseny, chłopaki akurat załatwili butlę wina. Obiecywałem sobie, że nie napiję się ani razu, ale czułem się, jakby coś się we mnie złamało od śmierci Baśki. Nie mogłem sobie z tym poradzić. Tkwiło we mnie bolesne wspomnienie, ale już nie związane wyłącznie z Baską, lecz z czymś głębszym, co siedziało we mnie od bardzo dawna.

Łatwo się usprawiedliwiłem przed sobą i rozgrzeszyłem z niedotrzymanych postanowień. Nawet głośno wyraziłem sąd o tej sprawie.

– Nie byłoby sprawiedliwości, gdyby człowiek pracował w wytwórni win i nie wypił alpagi: to tak jak gotować na kuchni i nie zjeść schaboszczaka.

Tak było wszędzie. Dziadek pracował jako stolarz na kolei, więc brał sobie deski do domu za darmo. Na początku nikt z nas nie znał jeszcze układów, ruchów, ale jak z czasem zobaczyło się, co gdzie jest i poznaliśmy kilku cywili, którzy kombinowali trochę, od razu zaczął się ruch w interesie. Bo temu trzeba było załatwić jakieś rolki, temu wynieść na wagony wór suszu z magazynu, a czasem tak, z dobrego serca któryś z cywili wołał na setę, albo przynosił małą zaprawkę.

Nie tylko zwał jabłkami z samochodów. Gdy kolejka

ciężarówek zmniejszała się, cywile łapali za gable, a nas brali do magazynów, na wagony albo do sprzątania terenu. Najlepsza fucha była przy jabłkach, ale urozmaicenie też jest czasem wskazane. Kiedy Przewodnik zostawiał nas w jakimś magazynie, trochę narzekaliśmy. Każdy przyzwyczał się już do świeżego powietrza, ruchu na terenie, czy wyciągania papierosów i forsy od kierowców, a w magazynie nic się nie działo. Ale i w takich sytuacjach, kiedy byliśmy zamknięci na wielkiej hali, w której nie było nic innego oprócz setek worów z suszem jabłkowym, potrafiliśmy znaleźć dobre strony sytuacji i całkiem nieźle się powydurniać. Jeden dzień bez zwalania jabłek to dla każdego z nas o ileś tam paczek fajek mniej, nie mówiąc już o pieniądzach i trunkach. Ale człowiek potrzebuje czasem odpoczynku od picia wina i to w dodatku konserwowanego siarką.

Magazyn też miał swoje uroki. Wymagano tam od nas jednego: układania worków z suszem, równo i po kolei. Robota nie za ciężka, trzeba było tylko porządnie się zorganizować i szło jak po maśle. Dobrze, że dawali nam taśmociąg, bo gdyby tak układać wory ręcznie i wnosić je na plecach pod sam sufit, człowiek zaharowałby się na śmierć. Magazyn w Jabłkowie to nie obora w pegeerze, a olbrzymia hala, że nawet samochodem można by nieźle porajdować i wysoka chyba na dziesięć metrów. Trzech chłopaków stało na dole, wrzucało wory na taśmę, a pozostali siedzieli na górze i układali wory na krzyż, żeby było równo i trzymało się kupy. Przewodnik nigdy nam nie mówił, ile mamy zrobić i nikt też nas nie pilnował. Mimo to żaden z nas nie leżał. Robiliśmy sobie co jakiś czas przerwę i ganialiśmy po stosach worów w berka, ale robota była zawsze

wykonana i to z naddatkiem, bo każdy wiedział, że jak Przewodnik będzie zadowolony, to później na stołówce powie, że wypociliśmy się porządnie, a wtedy kuchary dorzucą na talerz lepsze kąski i nie pożąają niczego. Ale i klawisz, kiedy słyszał słowa pochwały, nie czepiał się, a często dostawał do domu skrzynkę jabłek albo kilka flaszek wina.

Najlepszym konwojentem był Recydywa, chociaż tak naprawdę żaden z klawiszy w Jabłkowinie za bardzo nie czepiał się nikogo. Jakby inny duch w nich wstępował. Może wstydzili się cywili, chcieli pokazać, że strażnik też człowiek i potrafi obchodzić się dobrze ze złodziejem, nawet gdyby to był najgorszy przestępca. Ale Recydywa zasługiwał na lepsze traktowanie, bo on, czy w Jabłkowinie, czy na oziecie, nigdy nie prowokował awantur i bez powodu nikomu na odcisk nie włożył. Raz zrobiliśmy mu niespodziankę, zasługiwał chłop na coś ekstra. Przynajmniej raz w tygodniu wypisywał wszystkim wnioski o nagrody za dobrą pracę. Załatwiliśmy po cichu skrzynię wińska, postanowiliśmy ją wynieść i dać mu wszystkie butle. Nikt się nie bał, że może być wpadka. Strażnicy z przemysłówki nigdy nas nie sprawdzali; pilnowali cywili i węszyli po terenie, czy ktoś może nie wynosi państwowego przez płot. Rewizja złodziei – to była działka naszego konwojenta. Recydywa zazwyczaj nie obszukiwał nas przed wyjściem z zakładu, a nawet jeśli by zaczął, to co mógłby zrobić, gdyby tak odkrył, że wszyscy wynosimy po dwie alpagi? Butelki powciskaliśmy za spodnie i na pierwszy rzut oka nie było widać, że coś niesiemy. Za szerokie więzienne marynarki wisały na nas luźno, więc nie rzucało się po oczach. Recydywa, tego dnia był

jak zwykle trochę podcięty i nie pilił się do obszukiwania. Sprawa poszła gładko. Szczęśliwie zapakowaliśmy się do nyski i ruszyliśmy na ozet. Gdzieś tak w połowie drogi zaczęliśmy wyjmować prezenty. Recydywa nie od razu chwycił, co się dzieje. Na jego twarzy pokazywały się na przemian to radość, to gniew. Nie wiedział, skubaniec, co ma powiedzieć. Dopiero gdy mu wyjaśniliśmy, że to dla niego, za to, że jest w porządku i w ogóle, że złodzieje go lubią i takie tam gadki, to Recydywa rozpromienił się, jak nigdy dotąd. Zawsze powtarzał, że nic go nie obchodzi, że ma być porządek, spokój i błysk, ale tak naprawdę to zależało mu chyba, jak złodzieje na niego patrzą i co o nim mówią. I pewnie nie on jeden by chciał, żeby chłopaki powiedzieli dobre słowo, ale na ozecie, oprócz Recydywy i Grypsera, nikt taki się nie trafił. Recydywa jaki był, taki był, chłwał to chłwał, czasem wyzywał złodziei, ale człowiek Ignął do niego, bo czuło się w nim domowe ciepło, za którym czasem się tęskni. On je miał, i właśnie za to, czasem świadomie, a czasem przez odruch zwyczajnej sympatii, człowiek pokazywał, że ma szacunek dla niego.

Recydywa nie mógł uwierzyć. Dwadzieścia butelek wina ułożonych na podłodze w samochodzie zupełnie inaczej wygląda niż w skrzynce. Bo gdy poustawiane są równo, w przegródkach, wtedy wydaje się, że butelek jest mniej – a taki rząd, który ciągnie się przez pół samochodu, przerasta swoją wielkością skrzynkę. I człowiek w pierwszym odruchu, czy chce czy nie, mówi: „Ale chlania”.

– Pojechało was – udawał oburzenie. – A jakby tak was przypalili? Kto by umoczył dupę? Wy?

Zaczęliśmy mówić jeden przez drugiego, że przecież nic się nie stało, że ci na bramie to mogą, owszem, ale pocałować nas, a wińsko, jakby nie patrzył, przyda się i zawsze parę złotych się zaoszczędzi i co najważniejsze, nie my będziemy go pić. Recydywa trochę udawał swoje oburzenie, ale my i tak wiedzieliśmy, że z tego żadnego dymu nie będzie. Starał się jeszcze bronić, wymyślać, aż wreszcie dał spokój i wino do domu zabrał. Później, kiedy tylko miał konwój, pytaliśmy go, czy chce coś na gardło, a on kiwał głową na zgodę i już nie było rozmów, czy to źle, czy dobrze.

Któregoś razu Recydywa zawołał mnie na bok i powiedział, żebym powiedział chłopakom, że jeżeli z grupy wyjdą jakieś sprawy, które powinny pozostać tajemnicą, to on nieźle uprzyjemni nam życie. Dał mi do zrozumienia, że są na grupie tacy, co lubią szepnąć naczelnikowi to i owo. Sam wiedziałem, że może tak być i uważałem na to, co się dzieje. Tutaj podział na grypsujących i frajerów się zatarał. Nie piliśmy z jednej butli, ani nie siedzieliśmy na stołówce przy tych samych stołach, ale nie było tak, że chłopaki od nas dawali odczuć nie grypsującym, że są gorsi. Grypsowanie zeszło na drugi plan, a nawet przestało istnieć. Czuliśmy się grupą i to ważną, potrzebną, bo nie tylko my mieliśmy z tego korzyści. Każdy z nas miał przecież swoich kumpli, a fajek, które kołowaliśmy w Jabłkowinie, nie sposób było wypalić, dzięki czemu kryzys z papierosami na ozecie przestał prawie istnieć. Do tego jeszcze mogliśmy wypić, a który złodziej nie chciałby czegoś takiego? Nie piliśmy tak, żeby od razu fikać kozły albo robić awantury. Po jakimś czasie, jak już wiedzieliśmy, co możemy, a czego należy

uniknąć, ustaliliśmy, że pić będziemy tylko do śniadania, i jeśli nawet któryś da sobie za ostro, zdąży wytrzeźwieć przed powrotem na ozet. Dałem chłopakom jeszcze do zrozumienia, że jeżeli któryś kabluje, bo pracuje na wokandę, to żeby chociaż o pewnych rzeczach nie mówił, bo wystarczy jedna wpadka i po grupie zostanie wspomnienie. Każdy z nas wiedział, co robi i gdzie się znalazł. Moje ostrzeżenia były chyba raczej przypomnieniem tego, co oczywiste. Nasza grupa stanowiła eksperyment, nie była stała: tak mówił Recydywa. Gdyby za dużo wiadomości wyszło na zewnątrz, w pierwszej kolejności nam by się dostało.

Miałem rację. Chłopaki pilnowali się z jęzorami i to, co najważniejsze, zostawało między nami. Jechaliśmy na tym samym wózku, wszyscy pili. Jaki był w tym interes, żeby robić krecią robotę? Coś tam pewnie do naczelnika dochodziło, ale widać nie były to aż tak niebezpieczne sprawy, skoro nikogo z grupy jeszcze nie zdjęli. Przyszedł jednak moment, że coś zaczęło się dziać nie tak. W ciągu tygodnia naczelnik nie mógł spotykać się z nami, bo cały dzień byliśmy w Jabłkowinie. Zaczął przychodzić na pawilon w niedzielę i tylko chłopaków z naszej grupy wzywał do swojego gabinetu. Zaczęło mnie to niepokoić. I rzeczywiście, te jego gadki wyglądały teraz inaczej. Jeszcze nie tak dawno, podczas naszej ostatniej rozmowy, kiedy pytał mnie o picie, w jego głosie brzmiała pewność, dawał odczuć, że o wszystkim wie i wszystko jest pod jego kontrolą. Teraz usłyszałem niepewność, szamotanie i zniecierpliwienie, jakby coś mu nie pasowało i nie podobało się. Nawet zaczął mnie straszyć i wspominać o powrocie do pegeeru.

Nie zdjął mnie, ani nikogo innego, ale dołożył dwóch świeżaków. Na początku wszystko biegło dawnym torem, jedynie pilnowaliśmy się przed nowymi i nie wprowadzaliśmy ich za bardzo w układy. Ostrożności nigdy nie za wiele, ale nie wiem jakby potoczyły się sprawy grupy, gdyby nie Recydywa. Przy wspólnej robocie człowiek szybko się zżywa z drugim i z każdym dniem, czy chce się tego czy nie, coraz więcej tajemnic wychodzi na jaw. Całe szczęście, że i Recydywa miał w tym swój interes i powiedział mi, żebyśmy przez jakiś czas nie brali wina do ust. Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Dopiero jak wróciliśmy na ozet, sprawa się wyjaśniła. Z powitaniem czekał na nas naczelnik, komendant i Kurzela. Najpierw każdy z nas musiał chuchnąć Kurzeli w nos, a kiedy ten dał znak głową, że niczego trefnego nie wyczuł, komendant wyjął balony i zaczęło się dmuchanie. Niezły by był kocioł, gdybyśmy tak popili z rana. Wpadka na całego i co bardziej wypitych zaraz zamknęliby na twarde, a reszta dostałaby propozycję współpracy, bo gdyby nie, to żegnaj warunkowe zwolnienie. Zaraz też degradacja na niższą grupę i odjazd na karniak.

Przez cały tydzień nikt nie powąchał nawet korka od wina. Z kombinowaniem też daliśmy sobie spokój. Domyślałem się, że naczelnik wsadził swojego człowieka na grupę: chciał wszystko wiedzieć. Nie mógł pewnie znieść, że jakiegokolwiek sprawy związane ze złodziejami mogą odbywać się poza jego plecami. Byłem zły. Chciałem, tak dla samej zasady, żeby choć jedna rzecz pozostała dla niego tajemnicą. Myślałem, czy nie dałoby mu się zrobić jakiegoś numeru, by odczuł to mocniej. Prosiłem Recydywę, żeby zdradził, który z grupy sprzedaje, ale

milczał. Dopiero gdy przestaliśmy wynosić dla niego wina, pękł. Pewnie zapas, który mu zrobiliśmy, skończył się i chciał go uzupełnić. Moje domysły pokryły się z tym, co powiedział Recydywa, ale wcześniej nie miałem pewności i nie chciałem wyjść na głupka. Teraz byłem pewny i wiedziałem, co zrobię. Plan miałem gotowy. Z kumplem ustaliłem, że przygotujemy jedenaście butelek z wodą, a jedną z winem, i właśnie ta z procentami miała iść dla wtyczki naczelnika. Nie było kłopotu z załatwieniem sprawy. Poszedłem na myjnię butelek i poprosiłem znajomego gościa o przysługę. Nie robił kłopotów. Od razu domyślił się w czym rzecz, a na dodatek miał wobec nas dług wdzięczności. Załatwiliśmy mu kilka dni wcześniej parę worów ziemi okrzemkowej do filtrowania wina. Towar drogi i rzadki, bo sprowadzali go aż z Kanady, a on potrzebował go do oczyszczania bimbru. Na drugi dzień butelki stały w umówionym miejscu. Dwanaście Kwiatów Jabłoni czekało na imprezę, a wśród nich jeden z naddartą etykietą, dla niewygodnego złodzieja.

Tego dnia konwój do Jabłkowinu miał Recydywa, a nocną zmianę na ozecie Kurzela. Wszystko poszło jak z płatka. Po jednym winie Grajek, taką miał ksywę złodziej naczelnika, tak się rozochocił, że chciał pić dalej. Nie było problemu. Dostał jeszcze jedno i tak się nawalił, że fikał kozły. Na śniadanie musieliśmy go prowadzić. Recydywa nic nie mówił. Patrzył, jak Grajek powłóczy nogami, ale udawał, że nic nie widzi. Wcześniej niczego z Recydywą nie ustalaliśmy, ale on wiedział, że wystawiamy Grajka do odstrzału i z zadowoleniem patrzył na to, co się dzieje. Po śniadaniu, kiedy Grajek dorwał się do

trzeciego Kwiatu Jabłoni i zwałił się na ziemię, wiedziałem, że jest ugotowany na amen. Położyliśmy go pod magazynem między skrzynkami i czekaliśmy na fajrant.

Grajek ledwie doszedł do nyski o własnych siłach. Przez całą drogę martwił się po pijacku, że może wpaść i marudzić, żebyśmy go jakoś kryli. Chłopaki zapewniali go i wmawiali mu, że nie będzie żadnego przypału, bo na zbiórce stanie w drugim szeregu i nikt niczego nie zauważy. Na razie wszystko szło jak po maśle. Nawet żal mi się zrobiło sukinsyna, że wpuszczamy go w kanał, ale co było robić? Wszyscy mieliśmy stracić, co los tak łaskawie zesłał? Wahałem się jeszcze, czy rzeczywiście warto, ale gdy zobaczyłem Kurzelę i te jego obfite usta, zawsze wykrzywione grymasem, od razu odechciało mi się współczucia. Kurzela jakoś nie kwapił się do sprawdzania, czy któryś z nas pił, czy nie. Wpadłem w popłoch. Cała robota miała iść na marne? Grajek miałby dalej jeździć z nami i wydawać chłopaków bezmyślnie? Jeszcze chwila i weszlibyśmy na pawilon. Wszystko byłoby stracone. Musiałem szybko coś zrobić. Takiego obrotu sprawy nie brałem pod uwagę. Zacząłem udawać, że jestem podcięty. Najpierw zatoczyłem się, potknąłem celowo o schodek, a na końcu przekląłem jak pijak. Kurzela od razu zareagował. Kazał nam zawrócić i ustawić w szeregu przed pawilonem. Recydywa chciał go odwieść od zamiaru, żeby dał spokój, że jesteśmy zmęczeni i czas do wyrek, a nie do kipiszu, ale Kurzela nie darowałby sobie gdyby czuł, że zwierzyna jest w zasięgu ręki, a on wypuścił ją ze swoich pazurów. Od razu podszedł do mnie.

– No, Ciechań. Nachlałeś się, co?

– Ja, panie dowództwo? – udawałem. – Chyba pan węż stracił?

Kurzela na moją uwagę nie zareagował. Był pewny, że mnie złapał, ale przejechał się. Wreszcie miałem radochę, że teraz to ja robię sobie z niego jaja, a nie on ze mnie. Kiedy mu chuchnąłem, nie mógł uwierzyć. Poleciał na dyżurkę, przyniósł balon i kazał mi dmuchać. I tym razem nic. Wściekł się. Podchodził do wszystkich po kolei i kazał chuchać sobie w twarz. Wreszcie stanął przed Grajkiem. Na dworze już ciemniało, ale bezbłędnie odgadł, że Grajek jest nieźle naprany. Kurzela promieniał. Jego złość została zaspokojona. Od razu zgarnął go na dołek, a my spokojnie poszliśmy na pawilon. Grajek dostał czternaście twardego i nie zdążył do końca odbyć swojej kary: naczelnik puścił go w transport.

Jak z jabłkami było więcej luzu, brali nas na wagony. Nie za bardzo lubiliśmy rozstawać się z betonowymi basenami, kierowcami i jabłkami. Tutaj człowiek miał gwarancję, że będzie coś się działo, a na wagonach, przy rozładunku węgla, pustka, cisza, gdzie pies z kulawą nogą nawet nie zaszedł. Ale i tę brudną robotę trzeba było zrobić, chociażby ze względu na dobrą michę. Rampa kolejowa położona była na tyłach zakładu. Żeby dojść na miejsce, nie musieliśmy oczywiście, iść godzinę, tak jak w pegeerze w drodze na jakąś górę, ale czas przejścia i dłużące się minuty do fajrantu, kiedy nie mogliśmy spoglądać na ładne dzierlatki, ani załatwić wina, był jeszcze dłuższy niż cztery kwadranse. Przy węglu nikt się nie opalał. Każdy wiedział, że jak ostro podjedziemy, szybciej wrócimy do

ulubionej roboty. Sześćdziesięciotonówki załatwialiśmy szybko. Odwalało się w takiej krowie obydwie wrota, wtedy od razu węgla ubywało kilkaset kilo, potem dwie godziny szuflowania i po krzyku. Gorzej było z mniejszymi wagonami, gdzie drzwi były tylko po środku, często nie do otworzenia. Zostawało wtedy szuflowanie przez burty, a to wyglądało nie za ciekawie. Nie powiem, gnaty bolały od kilkugodzinnego wywijania szuflą nad głową, ale to, w porównaniu z pyłem węglowym, który zasypywał oczy i wciskał się do gardła, było małym piwem. Jednak mimo wszystko zawsze na luzie człowiek podchodził do tej roboty, całkiem inaczej niż w pegeerze, bo w Jabłkownie, nawet gdy przychodziła gorsza chwila, to można było się pocieszyć myślą, że jutro pojawi się coś nowego i lepszego.

Czas biegł szybko. Nie zauważyłem, kiedy przeleciały prawie trzy miesiące. Sezon na jabłka mijał, więc i robota w Jabłkownie kończyła się. Nie wierzyłem, że już wkrótce rozwiążą grupę i trzeba będzie wracać do pegeeru. Łudziłem się, że jeszcze z miesiąc pobędziemy w Jabłkownie, bo przecież w takim zakładzie nie tylko potrzeba ludzi do rozładunku jabłek, ale i do wagonów, w magazynach do porządkowania brudów i do wykonywania całej furzy roboty, która w takim molochu jest nie do przerobienia. Trzeba było jednak pogodzić się z tym, co nadchodziło i znów przestawiać na inny tor. Gdy Przewodnik przyszedł nam podziękować w imieniu dyrekcji za dobrą pracę i wręczył nawet Recydywie dyplom uznania dla naszej grupy, to już nikt z nas nie miał złudzeń, że jesteśmy ostatni dzień w Jabłkownie. Przyjemnie

było usłyszeć pochwały i obejrzeć dyplom, ale co z tego? Wszystko się kończyło. Wracaliśmy do nory i człowiek nie miał nic do gadania. Wcale mnie ten powrót nie cieszył. Znalazłem się znowu na stajni, teraz już bez Baśki i zły, że złote czasy się skończyły. Świat wyglądał zupełnie inaczej. Z jednej strony nie mogłem się otrząsnąć ze wspomnień o Jabłkowninie, a z drugiej, za każdym razem kiedy patrzyłem na puste miejsce po mojej kobyłce chciało mi się płakać. Czułem się parszywie. Wpadłem w jakąś czarną dziurę i nie potrafiłem znaleźć z niej wyjścia. Do tego ciągnęło mnie do wina i wciąż łąziłem rozdrażniony. Jak przychodziłem rano na stajnię, to już nie witałem koni ciepłymi słowami i nie klepałem żadnego z nich po szyi, ale kląłem je wszystkie, na czym świat stoi. Robota też jakoś nie szła. Wciąż coś się psuło przy wozie, złodzieje wydawali mi się jacyś inni, niechętni, a radość, którą odczuwałem każdego ranka przed wyjazdem do Jabłkowninu, znikła bez śladu. Zacząłem nawet używać bata. Wtedy zrozumiałem, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Miałem dość stajni, koni, pegeeru i samego siebie. Nawet Smolarz wydawał mi się kimś innym. Już wcale nie myślałem o nim: „O, to jest równy i mądry gość, od którego można się sporo nauczyć”. Mój podziw do niego zupełnie zniknął. Miałem czasem ochotę uderzyć go w zęby, żeby ta jego równowaga wreszcie się zachwiała, żeby powiedział tak jak ja, że ma dosyć życia, roboty i samego siebie. Ale on chyba wiedział, co się ze mną dzieje. Robił to, co zwykle i nie zwracał na mnie uwagi, tak jakby dopiero przywieźli mnie na ozet. Właściwie przez cały czas taki on był. Jak go się nie zagadało, sam nie szukał z nikim rozmów. Przed Jabłkowninem jednak

zachowywał się inaczej. Pierwszy nie pchał się do pogaduszek, ale gdy widzieliśmy się, zawsze się uśmiechał, albo spojrzał przyjaźnie, a teraz nic. Zupełnie jak w dzień, w którym po raz pierwszy go zobaczyłem. Wnerwiał mnie takim zachowaniem. Jak zapytałem, co jest grane, wzruszył ramionami i powiedział, że jak mam problem, to żebym szedł ze swoim płaczem nie do niego, ale do siebie. No i gadaj tu z takim. Fijoł zupełny. Teraz już wiedziałem, że on wcale nie jest jakimś porządnym facetem, co wie wszystko i oleju w głowie ma pod dostatkiem, ale jest zwyczajnym głupkiem, który przybrał pozę kozaka, żeby wydać się mądrzejszym od Pana Boga i że troski tego świata jego nie dotyczą. Machnąłem na niego ręką i zająłem się własnymi sprawami.

Wreszcie nadszedł dzień, na który, tak naprawdę, czekałem od chwili, gdy usłyszałem wyrok w sądzie. Już wtedy, dwa lata temu, uczepiłem się myśli o wcześniejszym wyjściu i dopiero teraz zobaczyłem, że ona wcale mnie nie opuszczała. Często w snach widziałem siebie przed sędzią penitencjarnym, który nie pozwala mi wrócić do domu. Nie chciałem w to wierzyć i liczyłem, że mimo wszystko wypuszczą mnie przed czasem. Kiedy naczelnik wezwał mnie i powiedział, że za trzy dni staję na wokandę, cieszyłem się jak dzieciak. Moje szczęście nie trwało jednak długo. Naczelnik od razu uprzedził mnie, żebym na wiele nie liczył, bo tutejszy sąd nie ma zaufania do grypsujących i przed terminem ich nie wypuszcza, nawet jeśli wniosek o warunkowe zwolnienie jest pozytywnie zaopiniowany przez naczelnika. Jednak tak do końca nie

pozbawił mnie nadziei i powiedział, że istnieje jeszcze szansa, ponieważ sędzia, zanim przystępuje do rozpatrzenia wniosku o przedterminowe zwolnienie, pyta skazanego, czy należy do podkultury więziennej. Jeśli ktoś wyprze się grypsowania, podpisze oświadczenie, wtedy istnieje prawie sto procent szansy dokończenia swojej kary na wolności. Wybór należał do mnie. Teraz miałem twarde orzech do zgryzienia. Do mojej depresji doszła jeszcze rozterka. Co miałem zrobić? Zostały mi trzy dni. Po raz pierwszy od dwóch lat mój los leżał w moich rękach. Mogłem wybrać: zostaję w kryminale, lub wracam do domu.

Już od rana Star, którym przyjechałem do Chojnic, stał przed bramą ozetu. Dwa dni wcześniej wyprałem sobie rzeczy, by wyglądać porządnie. Kumple zagadywali, coś mówili, ale do mnie nic nie docierało. Zapadłem się w sobie i niczego, ani nikogo nie chciałem słuchać. Z jednej strony prawie szalałem z radości, z drugiej zaś trzęsło mną, jak na dobrym kacu. Trzy dni to za mało, żeby rozstrzygnąć w sobie, jak postąpić. A może za dużo, bo wtedy rodzi się pełno wątpliwości, a gdy człowiek zadaje sobie mnóstwo pytań szukając na nie odpowiedzi, istota sprawy rozmywa się, ginie i już nie sposób jej odnaleźć. Zdałem się na los, na przypadek, na impuls chwili. Liczyłem na to, że decyzja podejmie się sama, jak już stanę przed sądem penitencjarnym. Swój wybór uzależniłem... – właśnie, nie wiedziałem od czego. Od pogody, od miny sędziego, czy od mojego nastroju? Zawiesiłem się i czekałem na cud, na coś, co za mnie rozstrzygnie sprawę, czy jeśli w przyszłości, chwając się, albo robiąc sobie wyrzuty, nie będę miał podstaw do

oskarżania siebie. W razie czego, gdyby sumienie gryzło, zważyłbym winę na to coś nieznanego, na nieistniejące, na los. Bo gdybym uznał, że postąpiłem zgodnie z tym, jak czuję, to wtedy nie byłoby problemu, przyjąłbym wyrok i nie wyzywał się od wszarzy, bo decyzja pochodziłaby ode mnie. Ale gdybym wybrał niezgodnie z własnym sumieniem i wyparł się wszystkiego za rok wolności, to pewnie starałbym się zrzucić wszystko na przypadek i los, żeby nie męczyły mnie wyrzuty, że jestem świnią. Zaplątałem się i już nie potrafiłem powiedzieć, który mój wybór miałby być dobry, a który zły. Nie miałem wiele do rozstrzygnięcia. Dwa słowa: grypsuję albo nie grypsuję. Tylko tyle, ale urosło to we mnie, rozbudowało się, rozprzestrzeniło i przestroniło cały świat. Chciałem uciec, żeby nie męczyło i nie bolało, ale nie było dokąd. W pewnym momencie miałem dość wokandy i niewiele brakowało żebym się wycofał, ale siedziałem już w samochodzie i jechałem do Suchej. Tylko ta radość, buzujące się emocje, które przynosiły wspomnienie wolności, ciągnęły jak magnes i zagłuszały wszystkie moje wątpliwości, co jest słuszne i co jest najważniejsze. Bo z tymi wspomnieniami, przychodził dom, wolność, swoboda, której tak pragnąłem i o której tak mocno marzyłem. W kryminale nie można schować się w samotność, zaszyć się w lesie albo wejść do opuszczonego, starego domu i zniknąć w jego chłodnych murach. Miałem konie i byłem czasem sam, byłem na oborach i tam też przesiadywałem w samotności, ale cóż to za samotność, skoro na gwizdek musiałem to albo tamto. A na wolności nie ma rozkazów. Musiałem mieć tę wolność, bo czułem, że bez niej umrę albo

zwariuję. Dwa lata to niewiele. Byli tacy, co siedzieli kilkanaście lat i jakoś tam sobie swoje życie układali – czasem było im z tym dobrze. Nie wiem, może ja też potrafiłbym się przyzwyczać do długiego siedzenia za kratami, bo już od początku człowiek ustawia się na przyszłość, jak usłyszy wyrok w sądzie. Wtedy już wie, rozkłada sobie siły, oswaja czas i wytwarza obraz dnia, kiedy będzie wychodził. Później, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, wydziela sobie porcje tego obrazu, aż wreszcie ten dzień nadchodzi i obraz z marzeń staje się prawdziwy. Tylko zawsze trwa to tak długo, za długo jak na moje życie. Wmawiałem sobie, że to wolność jest najważniejsza, bo jak wyjdę, ułożę życie od nowa, będę chciał być lepszy, a jak już nie lepszy, to chociaż postaram się żyć w zgodzie z samym sobą. Właśnie, w zgodzie z samym sobą, bo tylko wtedy człowiek może być szczęśliwy i czuć wielką miłość do wszystkiego: tak jak na stajni, przy koniach, na wozie, kiedy powoziłem Baśką i Kryśką.

Niczego nie widziałem. Czekałem tylko, aż ktoś mnie wyczyta. Potem znalazłem się w jakimś pokoju, powiedziałem dzień dobry, podszedłem do długiego stołu, za którym siedziało kilku facetów, zameldowałem, że nazywam się Adam Ciechań, że proszę o przedterminowe warunkowe zwolnienie, a potem usłyszałem pytanie, o którym mówił mi naczelnik:

– Czy wy, Ciechań, należycie do podkultury więziennej?

Nadal nie wiedziałem, co mam powiedzieć, jakbym nie rozumiał, o co mnie pytają. I ten, który zapytał, chyba właśnie tak pojął moje milczenie – że nie wiem, co się do mnie mówi. Znów się odezwał:

– Słuchajcie, pytam czy grypsujecie?

– Nie, nie grypsuję – powiedziałem zdecydowanie, jakbym od samego początku, od chwili gdy usłyszałem, że zostałem skazany na trzy lata więzienia, wiedział, że zrobię wszystko by wcześniej wyjść, bo trzy lata to dla mnie za dużo i jeżeli taka szansa się trafi wykorzystam ją i nie zawaham się nawet sekundy.

– A w waszych aktach napisane jest co innego...

– Ale ja, proszę sądu, zrozumiałem teraz, że robiłem źle...

– I gdybyście jeszcze raz mieli zacząć wyrok, czy przystalibyście do podkultury więziennej?

– Nie.

Nie musiałem podpisywać żadnego papieru, że zrzekam się grypsowania. Kazali mi wyjść i czekać na decyzję. Po mnie weszło jeszcze paru złodziei i po godzinie usłyszałem, że mam iść do magazynu. „A więc po rzeczy” - pomyślałem. „Do domu”.

DO DOMU

Kiedy przebrałem się w cywilne ciuchy, kamień spadł mi z serca. Poczułem spokój, ale wcale nie sprawiał mi on radości. Wiedziałem na pewno, że koszmar kryminału skończył się i niedługo będę w domu, tylko czekałem na coś jeszcze, na niesamowite doznania, wielki wybuch szczęścia, o którym marzyłem i wyobrażałem sobie przez ponad dwa lata, a tutaj nic, tylko pustka i niewiadoma. Bo co robić, gdzie jechać i jak zacząć życie? Z kumplami przy herbacie łatwo gadało się o wolności, o pierwszym dniu bez klawisza i oknie bez krat. Tak, łatwo przychodziło takie klepanie na pocieszenie i na wzmocnienie, żeby się nie załamywać, ale gdy trzeba było temu sprostać, stanąłem bezradny i nie wiedziałem, co dalej. Czy w ogóle któryś ze złodziei zastanawiał się, co będzie robił po kryminale? Pewnie tak, i nie było dnia żeby o tym ktoś nie trąbił, ale co z tego się sprawdzało? Wszyscy mieli gotowe recepty na własne życie, plany na przyszłość i wszystkie one były doskonałe, wielkie i każdy dzięki swojej wizji miał stać się lepszym, bogatszym i naprawdę szczęśliwym człowiekiem. Ja też wmawiałem sobie, że kiedy wyjdę z kryminału, pojedę do domu, załapię się do jakiejś roboty, może się ożenię, założę rodzinę, ale jak tylko stanąłem przed tym wszystkim, przestraszyłem się, uznałem, że nie dam rady, bo projekty moich chęci migotały dopiero gdzieś w przyszłości i tak naprawdę wydały mi się nieprawdziwe. Zastanawiałem się, co w takim razie ma sens i zdziwiłem się, gdyż doszedłem do wniosku, że jedynie to, czego nauczyłem się w pegeerze, co

zobaczyłem na oborach, na stajni warto było wspominać. To był mój najlepszy czas życia i nigdzie indziej nie chciałem iść. Spokojny, nie nękanym już przez klawiszy i dyżury, rozumiałem, a raczej odczułem, wszystkie wesole chwile i te smutne, kiedy się cieszyłem bez opamiętania, albo wściekałem na wszystko i kłąłem bez żadnego pohamowania. Ozet, pegeer i Smolarz miały w sobie magię, której nigdy do tej pory nie doświadczyłem. Wcale nie chciałem rozstawać się z ozetem, paryską, koźmi i bukatami na oborach. Tak, wracałem na ozet, ale tylko po to, żeby się rozliczyć, a potem w pociąg i do domu.

Gdy chłopaki zobaczyli mnie w cywilkach, od razu wiedzieli, że dostałem wokandę. Trochę ze wstydem patrzyłem na nich, ale trwało to krótko. Nie miałem wyrzutów sumienia i nie czułem, że kogokolwiek oszukałem. Kumple odpłynęli w przeszłość, utkwili mi w pamięci jako wspomnienie, a raczej doświadczenie, które nauczyło mnie innego spojrzenia na ludzi. Myślami byłem już gdzie indziej. Koniecznie chciałem zobaczyć się jeszcze ze Smolarzem. Spytałem komendanta, czy będę mógł jechać do Kamicy pekaesem, ale on mnie wyśmiał i powiedział, że odstawią mnie, i tych co dostali razem ze mną wokandę, na dworzec PKP. Szlag by ich trafił. Liczyłem, że z wokandą w kieszeni będę mógł robić, co mi się podoba i zaraz po wyjściu odwiedzę Smolarza, a tu taki gips. Może się bali, że pójdę do sklepu, nakupię alpag, szługów i zostawię je chłopakom gdzieś w krzakach. Nawet gdybym tak zrobił, nic by się nie stało. Złodzieje mieliby co jarać przez kilka dni i wypić za moje zdrowie. Ale nawet gdybym chciał, nie kupiłbym niczego, bo miałem niewiele forsy. Tyle co na podróż, dobrą wódkę i

papierosy. Przez cały pobyt na oziecie siedział mi komornik na koncie i ściągał kasę za grzywnę. Dla mnie niewiele zostawało, cud, że cokolwiek było. Chyba dlatego, że mama wpłaciła trochę gotówki, bo musiałbym pewnie jeszcze odsiedzieć miesiąc.

Z drugiej strony czemu miałem się dziwić? Wolność miałem już w kieszeni, ale czy na pewno była to taka swoboda? Chciałem żeby tak było, ale zostawał mi jeszcze niecały rok do odsiadki. Wprawdzie w zawieszeniu, jednak łapę i tak trzymali na mnie i w dodatku zaraz po powrocie kazali się zameldować na komendzie. Nikt mi nie darował reszty kary i w razie jakiejś wpadki na powrót znalazłbym się za kratami. Nie miałem, oczywiście, zamiaru wracać do dawnego życia, ale nie wiedziałem też, jak to nowe miałyby wyglądać.

Do Kamicy jechaliśmy we czterech. Kierowca dowiózł nas na sam dworzec, tak jak zapowiedział komendant. Kumple ciągnęli mnie na wódkę, ale nie miałem zamiaru ani włączyć się po knajpach ani wracać jeszcze do domu. Musiałem spotkać się ze Smolarzem. Pożegnałem się z kumplami bez ceregieli, życzyłem najlepszego i poszedłem szukać dworca autobusowego. Nie spieszyło mi się. Czułem, że nie jestem jeszcze przygotowany do spotkania ze Smolarzem. Właściwie z nikim nie chciałem się spotykać. Po drodze natknąłem się na park. Usiadłem na najbliższej, wolnej ławce i patrzyłem na przechodzących ludzi. Na dworze było ciepło. Spacerowiczów dostrzegłem niewielu. Wiosna dopiero rozkręcała się na dobre. Po chwili dosiadł się do mnie jakiś chłopak. Nawet na niego nie

spojrzałem, dopiero gdy zagadał, łypnąłem w jego stronę okiem.

– Łyknieś coś, chłopaczyno?

– A masz co? – odpowiedziałem odruchowo i od razu pomyślałem, że wszędzie jest podobnie. Gdzie człowiek się ruszy, zaraz natrafia swój na swego. Byłem na drugim końcu Polski, a czułem się tak, jakbym siedział na własnych śmieciach.

– Jak się dorzucisz, to będzie co.

Chciałem mu powiedzieć, żeby spieprzał, ale właściwie nie przeszkadzał mi. Nawet się ucieszyłem, że widziałem nową twarz, chociaż byłem pewny, że niewiele różni się od moich kumpli, z którymi niedawno się rozstałem. Dorzuciłem mu parę groszy do wina. Wstał uśmiechnięty i zapewnił, że zaraz wraca. Nie bardzo w to wierzyłem, ale miło było popatrzeć na czyjąś szczerze uśmiechniętą gębę. Nie minęło dziesięć minut, a znów się pojawił z wypchaną kieszenią, z której wystawała szyjka butelki. Usiadł obok, rozejrzał się, widocznie obawiał się milicjantów, zębami wyciągnął plastikowy korek i podając mi butelkę, powiedział:

– Wal.

Roześmiałem się. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Gdybym zaczął wyjaśniać, że nie mam ochoty i nie piję, pewnie by nie uwierzył i przez najbliższe dziesięć minut przekonywał, zachęcając do zaprawki. Wybronilem się mówiąc, że jestem na esperalu. Zdziwił się. Nie mógł pojąć, jak w tak młodym wieku można się już szprycować podobnymi świństwami, ale już nie nalegał. Powiedział tylko, że jestem w porządku człowiek i zabrał się za wino. Patrzyłem jak pije i nagle przypomniałem

sobie, że przecież jeszcze dwa lata temu podobnie jak on siedziałem na ławce i wlewałem w siebie wino. „Co się stało?” przemknęło mi przez głowę. W pewnym momencie wdepnąłem w gówno i nie potrafiłem się z niego wydostać. Przecież nie musiałem przechodzić tego całego piekła, żeby, tak na dobrą sprawę, znaleźć się w tym samym miejscu. Bo tak to teraz wyglądało. Siedziałem na ławce i mogłem wybierać: wiedzieć co dalej, przyjmując punkt widzenia pijącego kolesia, albo pozostać na swoim miejscu i zaczynać wszystko od początku. Ale teraz byłem o niebo mądrzejszy, bo wiedziałem czym taki wybór pachnie. Jednak ciekawiło mnie, dlaczego zacząłem pić i co właściwie się ze mną stało. Pamiętałem tylko, że mój pech zaczął się dawno temu, w dzieciństwie, w momencie kiedy coś utraciłem, kiedy poczułem się samotny i opuszczony. Podobnie się czułem, gdy dowiedziałem się o śmierci Baśki. Płakałem prawie, gdy w pegeerze potwierdziły się słowa chlewniarza o mojej kobyłce. W Kamicach straciłem kogoś kochanego, ale i dawno temu wydarzyło się coś podobnego, tylko moja pamięć zawodziła. Chyba zbyt wiele czasu minęło, by przypomnieć sobie co wtedy, w dzieciństwie, utraciłem. Może szacunek do ojca, który karał mnie za wszystko sznurem od żelazka, niszcząc ciepło, którym go darzyłem? Może powodem mojego zagubienia była obojętność ludzi oraz układy w których musieli żyć i kombinować? Może codzienna szarzyzna doprowadzająca do szału, wepchnęły mnie do bagna? Nie wiedziałem.

Prawie dwa lata w pegeerze, to nie było co. Wracałem do domu o niebo mądrzejszy, ale czułem, że mógłbym się

jeszcze więcej nauczyć i dowiedzieć. Wyrzucałem sobie, że nie skorzystałem ze wszystkiego o czym wiedział Smolarz. Mogłem go bardziej przycisnąć do muru, nalegać do uprzykrzenia i wyciągać od niego rzeczy, które chował nie wiadomo po co. Nie miałem pojęcia, co ten gość skrywa jeszcze w sobie. Czułem niedosyt i miałem wrażenie, że mój wyrok jest niedokończony. Zapytałem chłopaka obok, jak dojść na dworzec autobusowy i nie zwlekając dłużej, podniosłem się i poszedłem. Bez problemów trafiłem na miejsce i po półgodzinnym czekaniu usiadłem w autobusie. Jadąc, bez przerwy wspominałem: robota na polówce w Kamicach, konie, obory, dom, rodzina – wszystko to traciło sens wobec niewiadomej, która, jak sądziłem, zostanie wyjaśniona u Smolarza. Gdzie właściwie byłem i czego chciałem dokonać? Zadymy na wolności już mnie nie pociągały jak przed wyrokiem. Złodziejstwo, bajery, rowery i kozackie nawijki zwiędły niczym podcięta trawa i nie kusity. Zawiesiłem się i nie wiedziałem, w którą stronę iść. Gdy człowiek ma pięć czy dziesięć lat, nie kombinuje, nie kalkuluje, ale zdany jest na instynkt, na prostą wiarę w samo życie i z radością cieszy się z tego, co zastaje wokół siebie. Dla dziecka jakikolwiek krok, w którą bądź stronę, jest ważny i słuszny. Ja, w tej chwili, nie potrafiłem się zdać nawet na taki dziecięcy odruch, bo gdy tylko przychodziło postanowienie i wydawało mi się, że dokonałem wyboru, pojawiała się zaraz wątpliwość, a za nim strach i moja wizja nowego życia padała jak domek z kart. Próbowiałem zakorzenić się w samym sobie, w wewnętrznym świecie, poszukać w nim pocieszenia, wielkich doznań, ale to, co w środku, niewiele różniło się od świata na zewnątrz.

Wspominałem przeczytane książki i przeżycia z nimi związane. Były wspaniałe, pozwalały lecieć w górę i czuć smak magicznego świata, ale w żaden sposób nie potrafiłem przełożyć tego na zwykłe patrzeć. Jak mógłbym doznawać czegoś podobnego przyglądając się komuś, czy też wykonując jakąś robotę. Słowa z powieści zawierały w sobie coś, co chciałem wyssać z życia, a nie potrafiłem. Zupełnie jak z kartoflami w parniku, które wybierałem pod okiem strażników. Ale kartofle były tylko wtedy dobre, gdy posypałem je solą. Musiałem chyba zrobić jeszcze jakiś krok, zdobyć przyprawę, żeby wydobyć prawdziwy smak, jaki niosło ze sobą życie. Przywoływałem obraz Smolarza, domyślając się, że on ma już sól i gdy tylko ma ochotę na radość, używa solniczki i w ten sposób załatwia sprawę od ręki. Zastanawiałem się, co on robi, jak żyje i o czym myśli. Nigdy nie chciał, skubaniec, powiedzieć, co tam w tej jego łepetynie się dzieje: chyba nie mógł niczego innego doświadczać niż ja? Przecież był takim samym człowiekiem, jadł nie inaczej ode mnie i pewnie do łóżka chodził też co wieczór, lecz mimo tak wielkiego podobieństwa różniliśmy się. Był niczym wielki dąb, mocno zakorzeniony, który wygina się i trzeszczy, gdy wieje wiatr, ale zawsze stoi dumnie. Rano, w południe, wieczorem czy w święto, Smolarz zawsze był gotowy do działania, bez niechęci czy niezadowolenia. A co najważniejsze i trochę dziwne zarazem, nie zobaczyłem w nim nigdy złości. Był uważny wobec każdego, nawet względem zwierzaków i trawy. Nie byłem pewny, ale domyślałem się, że ten hołd i szacunek dla wszystkiego, były jego potężnymi korzeniami, które pozwalały mu przetrzymać największe burze i nie rozpaczać z byle

powodu. Na wolności zdawało mi się, że zabawy, latanie za wizjami, wyszukiwanie podniet i trzymanie się ich na siłę, są sensem i radością mojego życia, ale w kryminale szybko zorientowałem się, że nie tędy droga. Potem przyszedł zachwyty nad pięknem świata, urok wewnętrznego spokoju, pławienie się w nim, ale wystarczył mały pstryczek, zmiana miejsca pracy, przejście ze stajni na Jabłkowin, utrata Baški, a cudowny, nowy świat równie szybko stracił sens i wcale nie różnił się od dawnego. Odczuwałem to jednak raczej jako wyzwanie, jako zagadkę, którą trzeba rozwiązać, a nie jako porażkę. Zdobyłem już tak wiele, wiele rozumiałem, a co najważniejsze – nauczyłem się dzięki książkom nazywać wydarzenia, które działy się wewnątrz mnie i te które miałem przed oczami. Gdzieś tkwiło rozwiązanie. Może trzeba było iść w ślady Smolarza, poddać się mozołowi codziennego, zwyczajnego życia, pokornie i życzliwie odnosić się do wszystkiego, co stanie na drodze? Tylko skąd pewność, że właśnie tak muszę zrobić? Smolarz nie zostawiał po sobie żadnych śladów, nie pisał ściągawek ani nie spisywał rad. A może zostawiał je, tylko ja nie mogłem ich dojrzeć? Trochę miałem żal do niego, że nie mówił niczego o sobie. Mógł przecież usiąść ze mną po ludzku, gdzieś w trawie albo w oborze, szepnąć to i owo lub coś doradzić. Czasu i okazji było zawsze sporo. A może sposobność miała się nadarzyć dopiero teraz, kiedy przy udziale własnej woli miałem porozmawiać ze Smolarzem nie jako skazany, lecz jak cywil z cywilem?

Bez trudu trafiłem do domu Smolarza. Było już dobrze

po południu. Złodzieje skończyli swoją robotę w pegerze. Miałem pewność, że nie natknę się na klawisza. Zaraz pytania, domysły, że przywiozłem niedozwolone rzeczy i pewnie wezwałby straż graniczną, żeby mnie aresztowali za usiłowanie nielegalnego przejścia przez granicę.

Drzwi otworzyła mi żona Smolarza. Zdziwiła się i zapytała, co tu robię. Pewnie myślała, że nie zabrałem się paryską na ozet, ale gdy bardziej mi się przyjrzała i zobaczyła, że jestem w cywilnych ciuchach, odwróciła się i zawołała:

– To do ciebie.

Po chwili zjawił się Smolarz. Nie spodziewałem się, że mój widok go zdziwi i posypią się pytania. Pojawił się w drzwiach prowadzących do pokoju i nawet nie raczył uważniej spojrzeć na mnie, jakbyśmy dopiero przed godziną się rozstali, umówili na rozmowę, a teraz właśnie się spotykamy. Machnął ręką w moją stronę, mówiąc:

– Wchodź.

I to wszystko. Czegóż innego mogłem się spodziewać po nim? I chociaż w głębi serca wiedziałem, że tak będzie, po cichu liczyłem, że może teraz, kiedy jestem już cywilem, takim samym jak on, zacznie odnosić się do mnie z większą poufałością, a nawet przyjaźnią. Nic z tego. Smolarz był nadal Smolarzem. Usiadł przy stole i odezwał się do żony:

– Matka, zrób herbaty.

Pokój nie był żadnym luksusem, ba, nawet nie mogłem go nazwać nieźle urządzoną chatą. Na ścianie wisiał oleodruk Matki Boskiej, w rogu stał tapczan ze stosem poduszek na wierzchu, stół, cztery krzesła, w oknach czerwone begonie i

drewniana podłoga pomalowana brązową, olejną farbą. Usiadłem przy stole i nie wiedziałem, co mam zrobić. Było to trochę kłopotliwe. Przez chwilę miałem ochotę wstać i wrócić na przystanek. Zdawało mi się, że naprawdę jestem nieprzygotowany na tę rozmowę. Ciszę przerwała Smolarzowa. Przyniosła dwie szklanki herbaty, postawiła je na stole razem z cukiernicą i talerzem pełnym drożdżowego ciasta i odeszła.

Coś powiedziałem, ale mi nie szło. Smolarz popijał herbatę i wcale nie zachęcał mnie: „dobra, wal śmiało”. Wtedy byłoby mi lżej. Nie byłem przecież jakimś lebiegą. Gadanę, jak trzeba było, zawsze podkręciłem i nigdy nie miałem z tym problemów, ale teraz sprawa wyglądała inaczej. Bo o co miałem zapytać? O coś, co nie istnieje, czyli o sól, którą Smolarz rozsypuje po pegeerze, żeby lepiej mu się pracowało? Jednak jakoś zacząłem. Opowiedziałem mu o swoich obawach, pretensji do niego i o tym, że skrywa sekret i nie chce się z nim podzielić.

Słuchał uważnie, widziałem to. Przypalił sobie papierosa i dopiero, gdy wytworzyła się przed nim zasłona z dymu, spojrzał na mnie zza niej i uraczył historią sprzed lat, kiedy zaczął pracować w pegeerze.

– Nikogo nie znałem – wspominał. – Dali mi Betlejemkę w kuratelę, łopatę do ściągania łąjna i zachętę, żebym się nie martwił. Czułem się zagubiony i samotny, chciałem z kimś pogadać, zaprzyjaźnić się, ale jakoś do nikogo mnie nie ciągnęło. Zacząłem więc rozmawiać z bykami, a nawet jednemu, takiemu z mądrymi oczami, próbowałem tłumaczyć, czym jest radio. Bydlątko ni w ząb nie rozumiało. Myślałem, że machnie

choć ze zrozumieniem ogonem, albo pokiwa łbem na znak, że choć troszkę pojmuje z tego, co się do niego mówi. Od tamtej pory przyrzekłem sobie, że nigdy więcej nie opowiem żadnemu stworzeniu o czymś, czego nie potrafi zrozumieć, bo po co? Byk jest stworzony do tego, żeby stać w oborze, czekać kiedy go wypędzą, dadzą żarcia, picia i właśnie te rzeczy są dla niego zrozumiałe. Skrzynka, gałki, głośnik i jakieś tam dźwięki pewnie istniały dla byka, ale kojarzyły mu się ze złobem, a muzyka nie była niczym innym, jak przeżuwaniami kisonki albo siana.

Smolarz zamilkł i zamyślił się.

Zrozumiałem, o co mu chodziło i cały żal, niechęć i oskarżanie go o głupotę, odeszły ode mnie, a w to miejsce pojawiła się wdzięczność. Usiłowałem mu powiedzieć, że narodziłem się na nowo, a wszystko dzięki niemu, ale on zaprzeczył.

– Gdybyś dobrze patrzył, wcześniej czy później zobaczyłbyś, co trzeba – burknął. – Złodziei na ozecie i w pegeerze zawsze było dużo, też patrzyli, oglądali, ale jakoś nikt niczego nie dojrzał.

Chyba zacząłem go rozumieć. Dodał, że człowiek przygotowany na pewne rzeczy, niezależnie czy spotka na swojej drodze złodzieja, klawisza czy byka, zawsze będzie się czuł jak uczeń, odrobi lekcję ze szkoły życia i zobaczy to, co zobaczyć powinien.

Zapytałem go jeszcze, jaki sens w takim razie miało moje czytanie, zachwywanie się nad wszystkimi cudami, które zobaczyłem w książkach. Myślałem, że starał się mnie

przekonać, że najważniejsze jest życie i doświadczanie go, ale on znowu powiedział, że się mylę. Słowa były dla niego tak samo ważne jak codzienna harówka w pegeerze. Bez nich nie można byłoby zrozumieć ani siebie, ani świata. Zapytał mnie czy potrafiłbym przerzucać siano bez wideł.

– Pewnie, że tak – odpowiedziałem. – Rękami.

– Z jednym pokosem jakoś by ci poszło – odpowiedział.

– Ale gdybyś miał obrobić sto hektarów, zabrakłoby ci życia.

Smolarz czuł się wiecznym uczniem, dla którego każda chwila stanowiła nową lekcję, z nową lekturą do przeczytania. Kawałki życia, które wydawały mi się wciąż nowe, inne, musiały być dla niego jednakowe, chociaż twierdził, że każdy dzień jest kolejną lekcją. No bo jak wytłumaczyć, że wciąż był taki sam, bez względu na to, czy ktoś go opieprzał, czy nagradzał? Musiał widzieć, że to, co działo się wokół niego, posiada jakąś wspólną cechę, a zmiana kolorów, ubrań, sierści, okazywanie płaczu, gniewu albo radości, są powierzchowną osłoną, za którą kryje się – co? Ja też chciałem „to” zobaczyć i poczuć smak, który rozplątywał się na języku Smolarza. Wychodziłem na wolność i myślałem, że doznam jakichś zmian. A tu – zupełnie jakbym znalazł się na komendzie i za chwilę miał dostać sankcję i jechać na łąki. Jedynie świadomość tego, że przeżyłem cudowne chwile, które chciałbym powtarzać, kiedy to możliwe, różniły mnie obecnego od dawnego. Miałem przed sobą jakby nowy wyrok. Właściwie to nigdzie nie wychodziłem, a raczej wchodziłem jeszcze głębiej, do cięższego więzienia, bo im więcej świadomości, tym więcej pytań i niewiadomych. Tak, dobrze to określiłem – miałem nową pajdę przed sobą. „A

może dożywocie?” – przemknęło mi przez myśl. Znów zwierzyłem się Smolarzowi i spytałem, czy mógłbym zostać w Kamicach, pracować tutaj i nauczyć się, jak odsiedzieć dożywotkę za życia, tak jak on, bo wiedziałem, że on odsiedział już swój wyrok i jest naprawdę wolny.

Smolarz kiwał głową.

– Gdy się dąży do czegoś na siłę – powiedział – to jak ktoś jest wytrwały, pragnienie często się spełnia i wtedy człowiek myśli, że złapał pana Boga za nogi. Ale życie wcale takie nie jest. Żeby było pełne, trzeba jeszcze chwytać diabła za rogi i dopiero w tym tańcu człowiek rozumie, o co chodzi. Bez takich zapasów traci się czucie.

Przez cały mój pobyt w kryminale chciałem uchwycić się czegoś stałego, żeby przestać się bać. Bałem się, że będę nikim, a kto chce być zerem? Ale i zmiany, i siedzenie wciąż w tym samym, rodziły strach. Smolarz odkrył przede mną, że samo patrzenie, dostrzeganie świata przetaczającego się przed oczami i jednocześnie spoglądanie w siebie, pozwala czuć, że między jedną chwilą a drugą, czy to podczas pracy w pegeerze, czy to w marzeniach, istnieją momenty bez myśli, które zawsze wyglądają jednakowo. Jeśli człowiek chociaż przez chwilę znajdzie się tam i będzie o tym wiedział, wtedy stanie się wolny. Bo nic nas tam do niczego nie zmusza, ani my sami nie napieramy na cokolwiek.

Już teraz nie chciałem wracać do pegeeru. Rozumiałem, że jeśli zostanę obok Smolarza, z niczym się nie zmierzę, bo będę jak człowiek w fortecy, który w chwili niebezpieczeństwa chowa się za murem.